

**BIEDNIE JEMY,
WIĘC TYJEMY**

**SEKRETARZ
UDERZA W PAPIEŻA**

**KRZYSZTOF MEISSNER:
WSZECHŚWIATY I BÓG**

Kraków 22 stycznia 2023 nr 4 (3837)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

**SZCZEPAN
TWARDOCH**

**Dobrze,
że człowiek
jest**



Irlandia – zielona wyspa Celtów

Niezwykła wyprawa, podczas której odkryjemy wspaniałe zabytki i cuda natury, poznamy sympatycznych mieszkańców, skosztujemy piwa Guinness i najlepszej whiskey.

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot Warszawa-Dublin. Wycieczka po mieście autobusem, a następnie krótki spacer. **Dz. 2** Zwiedzanie Dublina i Newtown Jerpoint oraz pokaz psów pasterskich. **Dz. 3** Miasto Wikingów – Waterford. Zamek Cahir. **Dz. 4** Piersień Kerry, posiadłość i ogrody Muckross. **Dz. 5** Kerry – prom do Killimer – Klify Moheru – Burren – Galway. **Dz. 6** Malowniczy region Connemara, zwiedzanie miasta Galway. **Dz. 7** Clonmacnoise – destylarnia whiskey. **Dz. 8** Dublin – Warszawa. Powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy 17/05 2023

6.998,-



New York, New York

Pełna przygód podróż do jednego z najbardziej fascynujących i tętniących życiem miast na świecie.

7 dni | Wyloty z Warszawy
15/09, 13/10 2023

od **7.998,-**



Uzbekistan – na Jedwabnym Szlaku

Tajemniczy świat wschodu i pustynne piaski, którymi przez wieki ciągnęły karawany, zatrzymując się we wspaniałych miastach jak Buchar czy Samarkanda.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Polski do Uzbekistanu. **Dz. 2** Przyłot do Taszkentu. Zwiedzanie miasta oraz polskiego kościoła. **Dz. 3** Taszkent – Chiwa. Przelot do Urgenczu, miejsca narodzin Anny German oraz zwiedzanie starówki Chiwy, Ichan Kala. Czas wolny. **Dz. 4** Chiwa – Buchar. Przejazd szybką koleją i zwiedzanie miasta, występy wieczorne i stara, miejska medresa. **Dz. 5** Buchar. Zwiedzanie miasta, twierdza Ark, Minaret Śmierci i bazar Toqi Sarrofon. **Dz. 6** Buchar. Wycieczka do Bahouddin Nakshbandi i mauzoleum Chor-Bakr oraz patacu letniego Sitorai-Mokhi-Hossa. **Dz. 7** Buchar – Shakrisabz – Samarkanda. Miejsce narodzin Timura Lenka, Shakrisabz i przyjazd do Samarkandy. **Dz. 8** Samarkanda. Zwiedzanie miasta oraz placu Registan, Grobowca Emira i meczetu Bibi Khanum. **Dz. 9** Przelot Taszkent – Warszawa.

9 dni | Wyloty z Warszawy
25/04, 03/10 2023

8.998,-



Ryga i relaks w Jurmale

Poznaj Rygę i jej uroczę Stare Miasto wpisane na listę UNESCO oraz odpocznij w komfortowym hotelu SPA w nadbałtyckim kurorcie Jurmala.

5 dni | Wyloty z Warszawy
06/05, 16/09 2023

2.998,-



Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP01

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

KS. ADAM

Boniecki: *Day na dziś*

ODOROTHY DAY NAPISAŁ PO RAZ PIERWSZY w „Tygodniku” Jerzy Turowicz w 1982 r. (artykuł jest w tomie „Bilet do raju” i w zbiorze jego pism wybranych przez Annę Mateję). W 2015 r. pisała tu o niej Zuzanna Radzik. Turowicz kilkakrotnie spotkał Dorothy Day. Zuzanna przeczytała jej pisma. Jeden i drugi tekst są wspaniałe, oba zmuszają do myślenia o chrześcijaństwie i Kościele, jakim jest i jaki będzie. Bo Dorothy Day do takiego myślenia wręcz – właśnie – zmusza. Może dlatego, że w młodości nie była uformowana w rodzinie katolickiej, że sama przeszła drogę, jaką przeszła, od młodej, zdolnej damy z charakterem do wiary katolickiej, do zaangażowanej redaktorki lewicowego „Catholic Worker”, odbiegającej od schematów panujących nie tylko wtedy w Kościele. Może właśnie dlatego, że – jak pisze Turowicz – jej religijność „przy całym pogłębieniu duchowym i intelektualnym miała charakter bardzo tradycyjny, można rzec – ludowy”, może dlatego, że „w sprawach Kościoła i wiary, doktryny i liturgii była bardzo konserwatywna” przy „bardzo radykalnych poglądach społecznych”.

Może właśnie to szokujące i budzące sprzeczności połączenie jest znakiem wyprzedzającym jej czas. Turowicz doskonale to wyczuł. Napisał: „Jej dzieło »The Catholic Worker« wyrosło nie tyle z poglądów społecznych czy politycznych, ile po prostu z Ewangelii”. Stwierdzenie Turowicza, że była „apostolem, nauczycielem, prorokiem”, doskonale streszcza to, co we właściwy sobie, subtelny sposób chciał powiedzieć. Pozostawał pod jej wrażeniem, co więcej, widział w niej „jedną z piękniejszych, najwspanialszych postaci katolicyzmu amerykańskiego, i nie tylko amerykańskiego, naszych czasów”.

W tym numerze po raz kolejny piszemy o Dorothy Day, tym razem przy okazji wydania jej pierwszej polskiej (i nie najlepszej) biografii. Taka była Dorothy Day, według Agnieszki Piskozub-Piwoż: „Już jako początkująca dziennikarka chciała czegoś więcej niż tylko obserwowanie rzeczywistości. Od początku wybierała tematy bliskie życiu najbied-



niejszych mieszkańców Nowego Jorku i Chicago, pracując dla lewicowych tytułów. Od początku pragnęła nie tylko opisywać, ale także zmieniać świat na lepsze. Stąd np. decyzja o podjęciu szkolenia i (niedługiej) pracy pielęgniarki. Stąd udział w proteście sufrażystek, zakończony kilkoma tygodniami za kratami – pierwszym spośród siedmiu aresztowań Dorothy; do ostatniego doszło, gdy była już po siedemdziesiątce”.

Peter Maurin – dziwny włóczęga, samouk, apostoł – odegrał wielką rolę w życiu Dorothy Day.

Przyjechał do Stanów, by ją odnaleźć. Jego wizja niewątpliwie wpłynęła na jej drogę życiową. Jej działalność była zainspirowana jego wizją i bez niej pewnie nie byłoby dzieła Dorothy. Myślę, że w jednym mógł się Maurin mylić, w tym mianowicie, że jego wizja obejmowała wszystko i wszystkich. Myślę, że ona i on wskazali wielu ludziom drogę. Ale wielu nie oznacza – wszystkim. Zresztą nawet w „Bilecie do raju”, opracowanej przez Michała Okońskiego książce Turowicza, w której jest tekst o Dorothy Day, mamy jeszcze opisane inne osoby i drogi, jak choćby dzieło Małych Sióstr, historie księdza Jana Ziei i Héldera Câmamy. Chodzi w tych tekstach o sposób działania, o sposób rozumienia misji chrześcijaństwa, by nie powiedzieć – Chrystusa.

Znamienne, że wielcy świadkowie wiary, którzy ten świat uczynili nieco znośniejszym dla ludzi widzących i doświadczających w nim tylko zła i krzywdy, porywali za sobą innych. Dziwne, że budowanie świata opartego na miłości wydaje się dziełem beznadziejnym, a jednocześnie porywającym. Trudno nam sobie wyobrazić świat oparty na wzajemnej miłości, a jednocześnie za nim uparcie tęsknimy.

Ludzie tacy jak Dorothy Day nie zajmują się najpierw zmianą całego świata, ale zmianą w zasięgu rąk. Osobliwość ich zaś polega na tym, że są w tym niemożliwie konsekwentni. W przeciwieństwie do większości z nas. Niestety.

©P



Podkastu
Tygodnika Powszechnego
słucha już ponad
20 000 osób.

Dziękujemy!



OGŁOSZENIE WŁASNE
WYDAWCY

dołącz!





22 System do wymiany

KLAUS BACHMANN

Nawet jeśli koalicja partii opozycyjnych zakończy epokę PiS, prawdziwie rządzić nie będzie.



34 Piętno sekretarza

EDWARD AUGUSTYN

Po opublikowaniu wspomnień bezpardonowo atakujących urzędującego papieża abp Gänswein nie ma nic do stracenia – jego dni w Watykanie są policzone.



44 Ostatni promień słońca

MARCIN ŻYŁA

ZE STATKU RATOWNICZEGO NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Nie dla wszystkich płynących z Libii Europa jest celem. Czasem pozostaje jedyną możliwością ucieczki.



64 Jądro jasności

ROZMOWA
ZE SZCZEPANEM
TWARDOCHEM

Pomimo mojego nihilistycznego nastawienia wobec świata myślę, że istnienie człowieka jest czymś niesłychanym i niezwykłym.



78 Dzikie napar

KRZYSZTOF STORY

Zanim herbata dotarła do Polski, nasze prababki doskonale sobie radziły nie tylko susząc zioła, ale też robiąc herbaty z tego, co rosło koło domu.

FELIETON

63 Napieram na kontakt

ELIZA KĄCKA

Dołączyła pani do mediów zaprzeczających, wycierających sobie łamy katolicyzmem.



6 Wojna i pojednanie

WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

33 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

22 System do wymiany

KLAUS BACHMANN

25 Historia bez hysterii

ROZMOWA Z ANTONIM DUDKIEM:
18 lat po debacie, która ukształtowała
nasz system polityczny, Polacy pójdą
na wybory, w których główne role
nadal odgrywać będą Kaczyński
i Tusk. To mistrzostwo Europy, tak
zdominować scenę polityczną

29 Przywileje na talerzu

ANNA GOLUS: Na nadwagę i otyłość
najbardziej narażone są osoby
z niższych warstw społeczno-
-ekonomicznych

■ ■ WIARA

34 Piętno sekretarza

EDWARD AUGUSTYN

38 Życie zwielokrotnione

AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ:
Między pracą w redakcjach albo
szpitalu a nocami w barach szukała
w kościołach pokoju serca. Ukazała
się właśnie pierwsza polska biografia
Dorothy Day

40 Dom z różnymi pokojami

ROZMOWA Z KS. ŁUKASZEM
OSTRUSZKĄ: Nigdy nie mówię,
że w naszym Kościele jest pełnia
środków zbawienia.
Trzeba się wyzbyć pychy myślenia,
że u nas jest lepiej

■ ■ ŚWIAT

44 Ostatni promień słońca

MARCIN ŻYŁA

NASA.GOV

TEMAT TYGODNIKA



12 W co wierzy fizyk

KRZYSZTOF A. MEISSNER

Świat materialny podlega prawom,
które są niezmiennie, doskonale
i uniwersalne. Nauka nie może
i nigdy nie będzie mogła tego faktu
wytłumaczyć.

■ ■ FELIETONY ■

32 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK 63 ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDĄ 77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
SZCZEPAN TWARDUCH
FOTOGRAFIA: SZYMON SZCZEŚNIAK
DLA WYDAWNICTWA BAUER / TWÓJ STYL

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

48 Puszkina na cenzurowanym

TOMASZ OTOCKI: W krajach
bałtyckich coraz mniej Rosji.
Już nawet Deszcz tam nie mży

51 Mąki zabrakło w Stepanakercie

JAKUB OSIECKI: Wojska
Azerbejdżanu od miesiąca blokują
Górski Karabach. O co chodzi w tej
rozgrywce i kto na niej zyskuje

■ ■ HISTORIA

56 Rybaczenie

PIOTR OLEKSY: Oto wędrówka
z nadbałtyckimi rybakami przez
osiem ostatnich dekad

■ ■ NAUKA

60 Ptaki mają nosa

JUSTYNA KIERAT: Węch nie jest
zmysłem, który na ogół kojarzymy
z ptakami, ale wiele gatunków
świetnie się nim posługuje

■ ■ KULTURA

64 Jądro jasności

ROZMOWA ZE SZCZEPANEM
TWARDOCHEM

68 Genialna przyjaciółka

KRZYSZTOF UMIŃSKI: Uwaga, dyskretna, wrażliwość, lojalność,
empatia – to cechy dobrego redaktora
i dobrego przyjaciela. Maria Ofierska
miała je wszystkie

71 Jak sobie wyobrażasz Kielce?

DARIUSZ KOSIŃSKI: Jedyny teatr
w mieście musi czasem pogodzić
sprzeczne oczekiwania

74 Słomiany krzyż

ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Godland” Hlynura Pálmasona

75 W innym świecie

LEKTOR o książce „Głusza” Anny Goc

■ ■ ZMYŚŁY

78 Dziki napar

KRZYSZTOF STORY

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Co obejrzeć w weekend

Czy można być bliskim kumplem swojego psychoterapeuty? I czy można
nakręcić o nim film dokumentalny? – w nowym cyklu **ANITA PIOTROWSKA**
polecia filmy i seriale na VoD. | tygodnikpowszechny.pl/weekend

➔ Rosyjska ruletka

Dlaczego Putin zmienił głównego dowódcę na wojnie
w Ukrainie? – ruchy na wojennej szachownicy analizuje
ANNA ŁABUSZEWSKA | tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka



Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

WOJNA I POJEDNANIE

Spotkanie prezydentów Dudy i Zełenskiego na cmentarzu Orłąt we Lwowie symbolizuje głębokie zmiany w stosunkach polsko-ukraińskich – zmiany, które tak gwałtownie przyspieszyła agresja rosyjska.

WOJCIECH KONOŃCZUK

PRZEZ ZNACZNĄ CZĘŚĆ NAJNOWSZEJ HISTORII relacji między Polakami i Ukraińcami cmentarz Orłąt był miejscem wywołującym głównie napięcia i spory, wynikające również z deficytu zaufania. Dość przypomnieć długie negocjacje z Kijowem dotyczące kształtu jego odbudowy czy działania

lwowskich radnych, które tego nie ułatwiały, a czasami miały jawnie prowokacyjny charakter. W ostatnich latach uwagę mediów przykuwało zamknięcie cmentarnych posągów lwów w „klatkach” z dykty. Zostały uwolnione dopiero w maju 2022 r., co mer Lwowa Andrij Sadowyj skomento-

*Prezydenci Polski
i Ukrainy
na cmentarzu
Orłąt Lwowskich.
Lwów,
11 stycznia
2023 r.*

wał wówczas słowami, że powinno to być „krokiem do ostatecznego wzajemnego wybaczenia win za krzywdy z przeszłości”. Dodał zarazem: „Ta wojna pokazała, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem”. I jest to bodaj najkrótsze wytłumaczenie odbywającego się w ostatnich miesiącach bezprecedensowego zbliżenia polsko-ukraińskiego.

Agresja Rosji spowodowała błyskawiczną reakcję Polski, która stała się najważniejszym po Stanach Zjednoczonych dostawcą uzbrojenia dla walczącej Ukrainy, przyjęła miliony uchodźców, niezmiennie dostarcza pomoc humanitarną i finansową oraz zabiega o wsparcie międzynarodowe dla Kijowa. Natychmiast zostało to zauważone przez społeczeństwo ukraińskie i wzmocniło – już przed wojną znaczące – pokłady sympatii dla Polaków. Żadne inne państwo nie cieszy się tak pozytywnymi ocenami nad Dnieprem (97 proc. Ukraińców uważa nasz kraj za przyjazny), prezydent Andrzej Duda jest zaś najpopularniejszym zagranicznym przywódcą (87 proc. respondentów deklaruje zaufanie do niego).

Polska odpowiedź na wojnę zniwelowała wciąż istniejące problemy z zaufaniem. Wszystko wskazuje na to, że jest to moment zwrotny w długim i trudnym procesie pojednania polsko-ukraińskiego. Znaczenie mają również świetne relacje między prezydentami Dudą i Zeleńskim, którzy często podkreślają łączącą ich przyjaźń.

Ich najnowsze spotkanie we Lwowie miało zresztą nie tylko wymiar dwustronny, gdyż odbył się również szczyt przywódców Trójkąta Lubelskiego, tworzonego od 2018 r. przez Polskę, Litwę i Ukrainę. W przyjętej wspólnej deklaracji znalazła się trafna wykładnia inicjatywy, głosząca, iż strony „potwierdzają wielowiekowe strategiczne więzi między Litwą, Polską i Ukrainą, które w przeszłości tworzyły jedno państwo, szaniec przeciw tyranii ze Wschodu”. Podkreślono zarazem, że do spotkania doszło w przededniu 160. rocznicy powstania styczniowego. Wyjątkową wagę ma zapis, że „Litwa i Polska będą wspierać Ukrainę tak długo, jak to będzie konieczne”.

Czy w relacjach polsko-ukraińskich możemy ogłosić trwały przełom? Najpewniej tak, choć to nie oznacza, że po zakończeniu wojny będą one w pełni wolne od napięć. Tak nie jest nigdy między sąsiadami, nawet najbliższymi sobie sąsiadami. Wciąż kluczowym testem dla procesu pojednania będzie kwestia stosunku do zbrodni wołyńskiej, a jej lipcowa rocznica bez wątpienia wywoła wiele emocji. Ukraińcy powinni zrozumieć, że bez załatwienia tej sprawy i jednoznacznego nazwania przez Kijów rzeczy po imieniu sprawa sprzed 80 lat będzie się kładła cieniem nawet na najlepszych stosunkach polsko-ukraińskich. ©

PROF. IRENA E. KOTOWSKA, DEMOGRAFKA:

Polki nie rodzą dzieci, bo się boją

PRZEMYSŁAW

WILCZYŃSKI: Nieco mniej niż co trzecia kobieta w wieku 18-45 lat deklaruje chęć posiadania dziecka, zaalarmowały w zeszłym tygodniu niemal wszystkie portale, powołując się na badania CBOS-u.

IRENA E. KOTOWSKA: Ten faktycznie niski odsetek kobiet planujących ciążę albo w najbliższych 3-4 latach, albo później, traktuję jako „pomiar temperatury”; obraz nastrojów, które nie muszą dokładnie przełożyć się na późniejsze decyzje. Z drugiej strony, to naturalna odpowiedź na atmosferę niepewności, która istniała już wcześniej, a nasiliła się w związku z wojną i inflacją.

Nawiasem mówiąc, żałuję, że w sondażu pytań o plany posiadania potomstwa nie zadano także mężczyznom: podejmują przecież ważne decyzje wspólnie z kobietami.

W grupie wiekowej 25-29 lat rodzić planuje już połowa pytaných, w wieku 30-34 zaś – niemal połowa. Przy czym w tej drugiej grupie zauważalny jest nawet wzrost gotowości prokreacyjnej w porównaniu z rokiem 2017. Taki wzrost występuje też wśród kobiet w wieku 35-39 lat. To jest zgodne z podwyższaniem się przeciętnego wieku rodzenia dzieci. W miastach współczynnik płodności kobiet w przedziale 30-34 lata zrównał się z tym dla wieku 25-29 lat.

To oznacza też, że rośnie – obok innych czynników, jak bezpieczeństwo bytowe, sytuacja na rynku pracy czy dostępność żłobków – waga czynnika zdrowotnego w decyzjach o posiadaniu potomstwa. A tu mamy kryzys. Chodzi nie tylko o pandemię i jej pokłosie, ale też o to, co ma bezpośredni związek z pocuciem bezpieczeństwa dotyczącego prokreacji: wyrok Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji czy głośnie przypadki śmierci ciężarnych kobiet. Rosną obawy o zdrowie własne



TOMASZ URBANEK / EAST NEWS

i dzieci, o to, że nie otrzyma się pomocy w sytuacji zagrożenia.

Równocześnie powtarza Pani od lat, że Polki deklarują chęć posiadania większej liczby dzieci, niż później faktycznie rodzą. A to oznacza

przez państwo na decyzje prokreacyjne.

Tylko że nie da się tego uczynić, nie poprawiając opieki okołoporodowej, radykalizując antyaborcyjne prawo czy unikając tematu refundacji *in vitro*. Zwłaszcza że z problemem niepłodności boryka się w Polsce co najmniej półtora miliona par. Zachwycamy się Czechami, gdzie współczynnik dzietności jest wyższy niż u nas. Tylko że tam za blisko 6 proc. urodzeń odpowiadają właśnie zapłodnienia pozaustrojowe.

Bez tych wszystkich elementów liczba nowo narodzonych dzieci – w ubiegłym roku było to 315 tys., czyli znowu wyraźnie mniej niż w roku poprzednim – będzie nadal spadać?

I tak będzie spadać, gdyż coraz mniejsza będzie liczba kobiet w wieku 15-49 lat. Dzieje się tak z prostego powodu: kobiety urodzone w fali wyżu na przełomie lat 70. i 80. przekroczyły albo właśnie przekraczają czterdziestkę, a w wieku największej aktywności prokreacyjnej, czyli 25-34 lata, są obecnie panie ze znacznie mniej licznych roczników. Nie jesteśmy więc w stanie zahamować spadku liczby urodzeń, możemy jedynie – poprawiając infrastrukturę zdrowia reprodukcyjnego – próbować sprawić, by ten spadek był mniejszy. Na razie jednak nie dostrzegam, by władze państwa rozumiały znaczenie takich działań. ©

PROF. IRENA E. KOTOWSKA jest ekonomistką i demografką Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, honorową przewodniczącą Komitetu Nauk Demograficznych Polskiej Akademii Nauk.

Daleka droga do KPO

DO PRZEGŁOSOWANIA w Sejmie zmian w ustawie o Sądzie Najwyższym, która ma odblokować 158 mld zł z KPO, wystarczyła zwykła większość. W takim głosowaniu do rachunku nie wlicza się głosów wstrzymujących. Tak właśnie zrobiła większość opozycji, choć w ostatniej chwili przeciw zagłosowała Polska 2050. W efekcie nawet opór 20 posłów Solidarnej Polski (wcześniej część z nich odrzuciła też rządowy projekt zmian w kodeksie wyborczym) nie pomógł w uratowaniu reform Zbigniewa Ziobry.

Sprawy dyscyplinarne sędziów mają teraz trafić z SN do nieopanowanego przez władzę Naczelnego Sądu Administracyjnego, będą też zmiany w tzw. teście niezawisłości sędziego. Kłopot w tym, że wobec nowych przepisów wątpliwości zgłaszają nie tylko posłowie Ziobry, ale też prezydent i opozycja, która chciałaby unieważnienia przepisów ustawy kagańcowej oraz żeby spraw sędziów nie oceniał NSA, ale Izba Karna SN. Za nowelą ustawy będzie jednak Senat, a to oznacza, że albo władza musi ją zaakceptować, albo przekonać posłów Ziobry do zmiany zdania. Poprawki Senatowi trzeba bowiem odrzucić bezwzględnie większością. Wygląda na to, że droga do pieniędzy z KPO będzie jeszcze mocno wyboista. © P KES

Edukacyjny ranking i przewlekła rankingoza

WARSZAWSKIE SZKOŁY wygrały w jubileuszowej, 25. odsłonie najpopularniejszego zestawienia szkół ponadpodstawowych, organizowanego przez miesięcznik edukacyjny „Perspektywy”. Chodzi o XIV LO im. Stanisława Staszica, czyli zwycięzcę rankingu liceów, a także stołeczne Technikum Mechatroniczne nr 1. W czołówce budzącej największe emocje listy placówek ogólnokształcących znalazły się jak co roku uznane miejskie marki: krakowska „piątka” (lokata druga) i szczecińskie XIII LO (trzecia).

Ale ćwierć wieku popularnego rankingu można też czytać jak historię nasilania się w Polsce groźnej choroby – sprowadzania jakości szkolnictwa do wyników testowych. Właśnie testowe kryteria (45 proc. – matury z przedmiotów dodatkowych; 30 proc. – z obowiązkowych; 25 proc. – wyniki olimpiad) przyjmują „Perspektywy”. A to, jak wskazują od lat krytycy podobnych zestawień, tylko nakręca rywalizacyjny obłęd, oddalając polskie szkolnictwo od celów takich jak współpraca czy przyjazna atmosfera.

W ścisłej czołówce zestawienia „Perspektyw” zabrakło miejsca dla szkół niepublicznych, mimo że do sektora tego ucieka coraz więcej młodzieży (np. w Krakowie to mniej więcej co czwarty uczeń). Najwyraźniej uciekają nie wiedzeni wskazówkami rankingów, ale w poszukiwaniu szkół z zaletami, których żadne zestawienie nie zmierzy. © P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE

NIEKONSTYTUCYJNA

Sejm przyjął ustawę o Sądzie Najwyższym, co ma pozwolić na zakończenie sporu PiS z Komisją Europejską i odblokowanie pieniędzy z KPO. Podczas głosowania doszło do rozłamu zarówno w łonie rządu („Nie zamierzamy oddawać władzy Donaldowi Tuskiowi i tej zgrai kolaborantów niemieckich” – grzmiał Zbigniew Ziobro, choć Mateusz Morawiecki nawoływał do „trudnego kompromisu”), jak opozycji: przeciw niekonstytucyjnej ustawie była Polska 2050, a PO wstrzymała się od głosu („powrót rządów prawa w Polsce będzie możliwy po wygranych wyborach” – tłumaczył Tusk).

NIEPROFESJONALNA

„Nigdy telewizja publiczna nie była tak profesjonalna, jak jest dzisiaj, tylko profesja, jaką się zajmuje, jest niszczeniem na zlecenie władzy przeciwników politycznych tej władzy. I robią to perfekcyjnie, są tak profesjonalni, że tylko pozazdrościć” – powiedział Donald Tusk. Telewizja publiczna nadała tę wypowiedź w postaci: „Nigdy telewizja publiczna nie była tak profesjonalna, jak jest dzisiaj”.



MICHAŁ WOJCIECHOWSKI / REPORTER

NIEZASTĄPIONA

Profesjonalna jest również Janina Goss (na zdjęciu): zasiadająca już w przeszłości w radach nadzorczych TVP czy Polskiego Radia, PGE czy BOŚ, przyjaciółka Jarosława Kaczyńskiego tym razem znalazła się w radzie nadzorczej Orlenu.

Exxon wiedział, nie powiedział

NOWE DANE POKAZUJĄ, że amerykański gigant paliwowy ExxonMobil nie tyle od 50 lat wiedział o ociepleniu klimatu, ile był wręcz jednym z pionierów w badaniu nadchodzącego kryzysu klimatycznego. Naukowcy pod kierunkiem Geoffreya Suprana z Uniwersytetu Harvarda przeanalizowali ponad 100 dokumentów i prac naukowych przygotowanych przez pracowników Exxona w latach 1977-2003, a efekty opublikowali w magazynie „Science”. Wyników tych badań nie powstydziłby się dzisiaj żaden instytut: korporacja trafnie przewidziała wzrost temperatury o 0,2 stopnia Celsjusza na dekadę, odrzuciła popularną wtedy perspektywę nadejścia kolejnej epoki lodowcowej, dobrze oszacowała, kiedy zobaczymy skutki naszych emisji i ich wpływ na nasze życie. Sam Supran powiedział, że dokładność modeli Exxona „zapiera dech”.

Już pod koniec lat 70. na jednym ze swoich tankowców Exxon zamontował najnowszą aparaturę do pomiaru stężeń CO₂ w wodzie i powietrzu. Mimo takich badań firma przez następne dekady sponsorowała denializm klimatyczny i bagatelizowała ryzyko, prawdziwe wyniki zamykając w wewnętrznych dokumentach. Jeszcze w 1999 r. ówczesny CEO firmy Lee Raymond twierdził publicznie, że projekcje globalnego ocieplenia „są oparte na kompletnie niesprawdzonych modelach lub zwykłych spekulacjach”.

Wcześniejsze śledztwa dziennikarskie pokazały, że problem dotyczy nie tylko Exxona. Większość firm z branży paliwowej i motoryzacyjnej w latach 60. i 70. wiedziała, czym grozi ich działalność. Nowe dane pokazują, jak szczegółowa i dokładna była to wiedza. Hasło „Exxon knew” (Exxon wiedział) pojawia się więc nie tylko na strajkach klimatycznych na całym świecie, ale też w sądach. W USA dziesiątki miast, hrabstw, a nawet stanów (przykładem Nowy Jork) pozywa firmy paliwowe za to wielkie oszustwo. Przesłuchania odbyły się także przed Parlamentem Europejskim i amerykańskim Kongresem. Z każdym kolejnym pozwem coraz częściej wyobrazić sobie, że korporacjom takim jak Exxon uda się uniknąć odpowiedzialności.

© P KRZYSZTOF STORY



PIERRE CROW / GETTY IMAGES

W DNIEPRZE pocisk wystrzelony przez armię rosyjską uderzył w blok mieszkalny. Atak nastąpił w sobotę, gdy wielu mieszkańców było na miejscu. W 16-kondygnacyjnym budynku mieszkało ok. 1700 osób, w pionie, w który uderzył pocisk – do 200 osób. Ofiar śmiertelnych było co najmniej 30, dokładna liczba wciąż nie jest znana. Tego dnia Rosjanie przeprowadzili blisko 28 ataków z użyciem rakiet różnych rodzajów oraz 5 ataków z użyciem kierowanych rakiet lotniczych. Ostrzelane zostały m.in. Kijów, Charków i Odessa, wszędzie celami były obiekty cywilne. Na zdjęciu: kobieta uratowana spod gruzów swojego mieszkania na czwartym piętrze, 16 godzin po ataku raketowym, 15 stycznia 2023 r. © MAG

Afera garażowa, czyli prezent dla Trumpa

MARTA ZDZIEBORSKA



PIĘĆ MIESIĘCY PO TYM, JAK AGENCI FBI wywieźli tajne dokumenty z domu Donalda Trumpa, okazało się, że jego następca też nie jest krystaliczny. W minionym tygodniu wyszło na jaw, że Joe Biden nie zwrócił części akt z czasów, gdy był wiceprezydentem u boku Baracka Obamy. Papiery były w zamkniętej szafie w prywatnym biurze Bidena w waszyngtońskim Penn Biden Center, w jego domu w Wilmington w Delaware, a nawet... w garażu, gdzie trzymał zabytkowy samochód, zieloną corvetę.

Choć Biden tuż po odnalezieniu dokumentów zwrócił je Archiwom Państwowym, krytykowany jest za to, że zamiótł sprawę pod dywan. Na pierwszą serię dokumentów – w tym notatki wywiadu dotyczące Ukrainy i Iranu – jego prawnicy mieli natknąć się już 2 listopada 2022 r., czyli sześć dni przed wyborami uzupełniającymi do Kongresu, które przesądziły o utrzymaniu kontroli Demokratów w Senacie.

Sprawa, którą bada powołany przez Departament Sprawiedliwości prokurator specjalny, nadszarpnęła wizerunek Bidena i w oczach Amerykanów wrzuciła go do jednego worka z Trumpem, choć ten przez dłu-

gie miesiące ignorował żądania, by zwrócić tajne dokumenty. Kłopoty Bidena wykorzystują już Republikanie. W minionym tygodniu wszczęli w jego sprawie kongresowe śledztwo, co ułatwi odwrócenie uwagi elektoratu od problemów prawnych Trumpa i konfliktów wewnętrznych w partii.

Afera nazywana przez złośliwych „garażową” (*Garage Gate*) to także krok w tył dla prezydenta, który jeszcze na początku stycznia świętował spadek inflacji i po raz pierwszy od dawna przychylnie dla jego rządów wyniki sondaży. Wreszcie wydarzenia ostatnich dni mogą utrudnić Bidenowi kampanię o reelekcję, którą według doniesień planował ogłosić w najbliższych miesiącach. „W zasadzie... to wielki prezent dla Donalda Trumpa” – komentował w wywiadzie dla Reutersa były doradca Baracka Obamy David Axelrod. I trudno się z tym nie zgodzić. Biden, który tak głośno krytykował Trumpa za przywłaszczenie tajnych dokumentów, dziś jedzie na tym samym wózku. To, czy obecny prezydent działał z premedytacją, czy też dopuścił się zwykłego niedbalstwa, może mieć teraz drugorzędne znaczenie. ©

Autorka jest dziennikarką „Press”

Wielka Brytania: zastępca i przyszłość monarchii

AUTOBIOGRAFIA KSIĘCIA HARRY’EGO była jedną z najbardziej wyczekiwanym książką w Wielkiej Brytanii, ale Pałac Buckingham z pewnością oczekiwał jej pełen obaw. I częściowo obawy te okazały się uzasadnione – Harry opisał życie w królewskiej rodzinie, nie szczędząc czytelnikom aż nader intymnych szczegółów. I książka, i towarzyszące jej wywiady telewizyjne Harry’ego są mieszaną poważnych zarzutów, osobistych wyznań i dość trywialnych detali. W pierwszym dniu „Spare” (z wyrażenia „the heir and the spare”, czyli „następca tronu i jego zastępca”) sprzedano w 1,4 mln egzemplarzy, z czego w Wielkiej Brytanii było to 400 tys.

A zatem sukces? Ponad 40 proc. Brytyjczyków uważa, że motywacją Harry’ego były pieniądze, jednak on sugeruje w wywiadach, że chodzi mu o zrozumienie i pojednanie. Z tym drugim może być trudno – i to nie tylko jeśli chodzi o relację z jego własną rodziną, ale też z Brytyjczykami. Według ostatnich sondaży YouGov notowania Harry’ego w kraju spadły do rekordowo niskiego poziomu. Negatywną opinię o nim ma aż 68 proc. ankietowanych, pozytywną tylko 24 proc. Jego brata, księcia Williama, pozytywnie ocenia 70 proc. Brytyjczyków.

Istotne jest pytanie o wpływ książki Harry’ego na przyszłość brytyjskiej monarchii. Sądząc po pierwszych reakcjach, rewolucji na Wyspach nie będzie, a przynajmniej nie prędko. Choć od września z 55 do 43 proc. spadł odsetek ludzi dumnych z monarchii, to większość nadal chce ją zachować (64 proc.). Co jednak dalej? Tylko 12 proc. Brytyjczyków jest pewnych, że Zjednoczone Królestwo nadal będzie monarchią za sto lat. Znacznie wcześniej jednak, bo już w maju, Brytyjczyków czeka koronacja króla Karola III – nie wiadomo, czy Harry zostanie zaproszony. © PATRYCJA BUKALSKA



JUSTIN TALLIS / AFP / EAST NEWS

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POSŁUGI

W obchodzoną po raz czwarty Niedzielę Słowa Bożego (22 stycznia) papież udzielił posługi lektora trzem, a posługi katechisty siedmiu świeckim mężczyznom i kobietom z Włoch, Konga, Filipin, Meksyku i Walii.

STATYSTYKI

Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego opublikował dane za rok 2021. W stosunku do 2020 r. nastąpiły spadki: pracujących w Polsce księży o ponad 200 (do 23 984), liczby alumnów o 300 (do 1,3 tys.), siostr w żeńskich klasztorach o 500 (do 16,3 tys.), a uczęszczających na katechizację o 3,3 pkt. proc. (do 82 proc. uczniów).

PYTANIA

Duchowieństwo Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego zażądało od swoich biskupów ujawnienia dokumentów określających status Kościoła względem rosyjskiego prawosławia. Księża m.in. pytają, czy Święty Synod UKP potwierdził swą decyzję z maja 2022 r. o pełnym wyjściu z Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego.

ANONIM

„Ten pontyfikat to katastrofa – przekonywał krążący wśród kardynałów rok temu anonim. – Pierwszym zadaniem nowego papieża będzie przywrócenie jasności doktrynalnej w wierze i moralności”. Jego autorem okazał się zmarły niedawno kard. George Pell – ujawnił watykanista Sandro Magister.



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY
„TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chłasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM | Siedlce 103,4 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM

Cierpliwość skrzywdzonych

ARTUR SPORNIAK



WPŁYWOWY W ARCHIDIECEZJI SZCZECIŃSKIEJ kapłan, ks. Andrzej Dymier, który wykorzystał seksualnie wielu chłopców, m.in. Tarsycjusza Krasuckiego (dzisiaj franciszkanina) – jest winny zarzucanych mu czynów i otrzymał czasową karę. Taką informację – dopiero po dwóch latach od wydania wyroku – otrzymał adwokat o. Krasuckiego. Wcześniej prowadzący dochodzenie arcybiskup gdański odmawiał ujawnienia wyroku, ponieważ ks. Dymier zmarł wkrótce po jego wydaniu.

W Watykanie w tej sprawie interweniował m.in. delegat Episkopatu ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży abp Wojciech Polak. Dykasteria Nauki Wiary zareagowała dopiero po kilkunastu miesiącach, wyrażając zgodę na enigmatyczną informację o wyroku. „Smutne i zawstydzające jest to, że pokrzywdzeni tak długo musieli czekać na prawdę. To podważa wiarygodność zapewnień, że jako Kościół na pierwszym miejscu stawiamy dobro ofiar” – skomentował sytuację abp Polak.

Ten kompromitujący Kościół zwyczaj ignorowania ofiar początkowo był uzasadniany dziwnym statusem pokrzywdzonego w postępowaniach kanonicznych – nie jest on stroną, tylko świadkiem procesu (stronami są oskarżony i instytucja Kościoła). Jednak Franciszek w 2019 r. wprowadził przepisy nakazujące informować także pokrzywdzonych. Zachowanie arcybiskupa gdańskiego i watykańskiej dykasterii jest zatem niezrozumiałe. Dostrzec w tym można dziwną inercję przed zdrową transparentnością w Kościele. © P

Zostać mnichem na jakiś czas

WARUNKI SĄ TRZY: musisz być mężczyzną, mieć od 18 do 30 lat i zgodzić się na życie, jakie prowadzą benedyktyńscy mnisi przez okres od sześciu do dwunastu miesięcy. Masz do wyboru dwanaście klasztorów na czterech kontynentach (możesz odwiedzić aż trzy). By wziąć udział w inicjatywie „klasztoru tymczasowego”, nie trzeba być katolikiem. Jak wyjaśnia jej inicjator, o. Tomasz Fässler z szwajcarskiego klasztoru w Einsiedeln, wielu młodych ludzi po szkole lub studiach robi sobie wolne, by przez jakiś czas podróżować lub pracować jako wolontariusze: „Chcieliśmy wyjść tej potrzebie naprzeciw”.

Zakwaterowanie i wyżywienie jest darmowe, ale benedyktyni nie płacą za wykonywaną w klasztorze pracę. W akcję włączyły się m.in. klasztory Montserrat w Hiszpanii, Sant’Anselmo w Rzymie, opactwo Dormition w Jerozolimie, Los Toldos w Argentynie czy Waegwan w Korei Południowej. Przez cztery lata funkcjonowania „klasztoru tymczasowego” skorzystało z niego trzynastu mężczyzn. Więcej informacji na stronie klosterzeit.org. © P ASK

COLLEGE OF THE HOLY CROSS



UKŁADANIEM 800-LETNICH PUZZLI zajmowała się ponad 20 lat Amanda Luyster, wykładowczyni College of the Holy Cross w Worcester (USA). Po odkryciu w połowie XIX wieku fragmentów posadźki angielskiego opactwa Chertsey historycy skupili się na odtwarzaniu ilustracji. Luyster, z pomocą algorytmów cyfrowych, zrekonstruowała część napisów. Płytki przedstawiają sceny z III krucjaty – jedna z nich obrazuje fikcyjny zwycięski pojedynek Ryszarda Lwie Serce z sultanem Saladynem. Badacze podkreślają, że twórcy wzorowali się na sztuce arabskiej, co dowodzi, że ludzie średniowiecza byli zafascynowani kulturą islamu. © P MAM

KULTURA W SKRÓCIE

PIERWSZA
GALERIA

Wernisażem prac Janusza Jutrzenki Trzebiatowskiego zainaugurowała działalność pierwsza w Polsce wiejska galeria sztuki nowoczesnej. Placówka powstała w Siennicy Różanej (Lubelskie) i obok wystawy stałej znajduje się w niej Sala Wystaw Zmiennych, w której prezentowane będą prace artystów młodego pokolenia.

PIERWSZA
REZYDENTKA

Irlandzka poetka Alice Lyons zwyciężyła w naborze na rezydencję w dawnym mieszkaniu Czesława Miłosza w Krakowie – spędzi w nim kilka tygodni pod koniec tego roku. Lyons urodziła się w USA, ale od ponad 20 lat mieszka w zachodniej Irlandii. Wydała trzy książki poetyckie.

PIERWSZA
NAGRODA

Krótkometrażowy dokument „Gruba Kaśka” Julii Petki zwyciężył na sycylijskim festiwalu Versi di Luce. Na imprezie poza filmami prezentowane są także wideoklipy oraz twórczość poetki w formie wideo.

PIERWSZA
PIĄTKA

Od tygodnia na stronie olis.pl sprawdzać można zestawienia najpopularniejszych singli i albumów, które obejmują sprzedaż płyt zarówno w streamingu, jak i na nośnikach fizycznych – także winylowych. Tu w pierwszej piątce pierwszego tygodnia nowego roku królują Pink Floyd, Zbigniew Wodecki i ścieżka dźwiękowa „Akademii Pana Kleksa”.



MARCIN ŻYŁA

będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w audycji „Światopodgląd” w radiu TOK FM w środę 18 stycznia o godz. 15.20.

Zapraszamy!

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



PIYAL ADHIKARY / EPA / PAP

BHAGIRATHAPRAJATNAM, czyli „dzieło Bhagirathy”, mitycznego króla Ajodji (obecnie Fajzabad), który udał się w Himalaje i namówił boginię Gangę do zstąpienia wodami Gangesu w dolinę, to jeden z najważniejszych toposów literatury hinduskiej. Dla uczczenia tego wydarzenia w Gangasagarze, położonym w ujściu Gangesu do Zatoki Bengalskiej, co roku w połowie stycznia odbywa się jedno z głównych świąt hinduistycznych, podczas którego tysiące wiernych zanurza się w wodach odnogi Gangesu zwanej Bhagirathi. Wydarzeniu towarzyszy wspomnienie 60 tys. synów pradziadka Bhagirathy, króla Sagara, których dusze zostały uwolnione dzięki pielgrzymce i pokucie Bhagirathy. © MR

Dobra wiadomość
dla starych myszy

BADANE GRYZONIE miały 124 tygodnie i były jedną łapą w grobie: średnia długość życia tego szczepu myszy to 129 tygodni. Genetycy z firmy Rejuvenate Bio z San Diego zaczęli podawać im jednak regularnie koktajl białek znany jako OSKM, wpływający na przeobrażanie dojrzałych komórek w komórki macierzyste, czyli takie, które mają możliwość dowolnej specjalizacji w organizmie.

Po takim zabiegu, jak przekonują autorzy w udostępnionym w sieci raporcie z badań, myszy dożyły średnio 142,5 tygodnia życia, zatem ich pozostały na tym świecie czas przedłużył się do 109 proc. Co więcej, wydawały się być w doskonałej formie – ich parametry zdrowotne wyglądały jak u zdecydowanie młodszych zwierząt.

Zachęteni tymi wynikami autorzy badania podobnej terapii poddali też komórki pobrane z głowy 65-letniego mężczyzny. Potraktowane OSKM komórki „odmładniały” – markery określające ich fizjologiczny wiek uległy zdecydowanej poprawie. Naukowcy piszą o „głębokim” odwróceniu ich starzenia i dodają, że te ustalenia „budzą ostrożny optymizm, iż terapia częściowego odmładzania będzie mogła być bezpiecznie stosowana u ludzi”. © WB

Niech żyje pseudokrólowa!

CHOĆ ROBOTNICE I KRÓLOWE mrówek mają niemal identyczne genomy, to czas ich życia różni się drastycznie. U indyjskich mrówek skaczących robotnica żyje 7 miesięcy, królowa – 5 lat. Czasem jednak robotnica może stać się pseudokrólową i zyskać lata życia.

W opisanym w „Science” badaniu Hua Yan z New York University i współpracownicy ustalili, że przyczyną tej długowieczności może być wytwarzane przez pseudokrólowe białko Imp-L2. Jego główną funkcją wydaje się być zmiana sposobu przetwarzania przez organizm insuliny. To ważne, bo królowe muszą jeść naprawdę po królewsku, by produkować tysiące jaj. Skutkiem ubocznym metabolizmu jest pojawienie się w organizmie wolnych rodników, przyspieszających proces starzenia. Imp-L2 wydaje się jednak hamować starzenie, nie wpływając na mrówczy apetyt.

Niezależne niemieckie badanie skupiło się na innym gatunku mrówek, budującym gniazda w żółędziach. Jego robotnice bywają infekowane przez larwy tasiemca, które drastycznie wpływają na ich zachowanie – i długość życia. Pasożyt pompuje do hemolimfy (odpowiednika krwi) owadów koktajl 250 białek, w tym przeciwutleniaczy, które sprawiają, że zainfekowane robotnice żyją pięć razy dłużej niż zdrowe. Zaczynają się też obijać i jedzą jak królowe, choć nie produkują jaj – co dla tasiemca oznacza mnóstwo zasobów do wykorzystania. © MICHAŁ GIKOWSKI

W CO WIERZY FIZYK

KRZYSZTOF A. MEISSNER, FIZYK:

Świat materialny podlega prawom,
które są niezmiennie, doskonałe i uniwersalne.
Nauka nie może i nigdy nie będzie
mogła tego faktu wytłumaczyć.

ŁUKASZ KWIATEK: Rozpoznają Pana
na ulicy?

KRZYSZTOF A. MEISSNER: Czasem ktoś
podejdzie podziękować za wykład obej-
rzany w internecie.

Ten najpopularniejszy widziało kilka
milionów osób. A nagrań z Pana
udziałem jest dużo więcej. W jednym
powiedział Pan, że dla Pana jako
fizyka nie ma żadnych wątpliwości:
istnieje nie tylko świat materialny,
ale także transcendentja.

Czy mógłby Pan to wyjaśnić?

Punktem wyjścia jest dla mnie zadzi-
wienie faktem, że świat materialny pod-
lega prawom, które są niezmiennie, do-
skonale i uniwersalne. Nauka nie może
i nigdy nie będzie mogła tego faktu wy-
tłumaczyć. Korzysta z niego, opiera się
na tym, że takie prawa istnieją. Jeśli
zbadamy jakieś zjawisko i ustalimy, ja-
kie prawo nim rządzi, to możemy być
pewni, że tym samym zjawiskiem w in-
nym miejscu i czasie, ale w tych samych
okolicznościach, będzie rządzić to samo
prawo.

Dla mnie to silny argument za tym,
że musi istnieć coś, co te prawa prze-
kracza i z czego one wynikają, chociaż
nie wiem, czy słowo „wynikają” jest
właściwe. Prawa muszą być jakoś zwią-

zane z bytem, który „przekracza” świat
materialny. Tylko wtedy mogę ja-
koś zrozumieć to, że one istnieją.
Stwierdzenie, że prawa „istnieją, bo ist-
nieją”, czy też że istnieją od zawsze, mnie
nie przekonuje. To nie jest oczywiście →

PROF. KRZYSZTOF ANTONI MEISSNER jest
fizykiem teoretykiem, zajmuje się fizyką
cząstek i kosmologią. Pracuje na UW,
związany jest także z Narodowym Centrum
Badań Jądrowych i Europejską Organizacją
Badań Jądrowych (CERN). Razem ze
współpracownikami opublikował wiele
artykułów naukowych, dotyczących
m.in. czarnych dziur, grawitacji,
symetrii pojawiających się w teoriach
fizycznych czy (wspólnie z noblistą
Rogerem Penrose'em) struktur na mapie
kosmicznego promieniowania, które
mogą być świadectwem wcześniejszej
ery wszechświata. Jeden z najbardziej
cenionych polskich popularyzatorów nauki
– transmisje i nagrania jego wykładów
były oglądane w internecie ponad
10 mln razy. W Bibliotece Więzi ukazała
się właśnie książka „Fizyk w jaskini
światów” – zapis rozmów z nim Jerzego
Sosnowskiego.



→ żaden dowód i nie każdego to rozumowanie musi przekonywać.

A transcendencja to?

Z łaciny *transcendere* to po prostu „przekraczać”. Fakt istnienia praw przyrody nie determinuje w żaden sposób tego, czy transcendencja istnieje, czym jest ani czy możemy wejść z nią w kontakt albo w ogóle ją poznać.

Skąd mamy pewność, że prawa przyrody są niezmiennie w czasie – że na żadnym etapie ewolucji wszechświata nie obowiązywały inne prawa?

Gdyby prawa przyrody zmieniały się chaotycznie, z wtorku na środę, a ta zmiana nie wynikałaby z jakiegokolwiek głębszego powodu – wtedy powiedziałbym, że prawa nie są uniwersalne i niezmiennie. Jeśli zaś prawo albo się nie zmienia, albo ewoluuje zgodnie z jakimś porządkiem – po prostu oznacza to, że istnieje jakieś głębsze prawo i do niego się powinniśmy odwoływać. Mówię tu o rzeczywistych prawach rządzących światem materialnym, a nie o naszej znajomości tych praw, która w sposób oczywisty się zmienia, ale mamy nadzieję, że przybliży nas stopniowo do rozumienia tych „prawdziwych” praw.

Jak dotąd nie mamy żadnych wskazówek, które świadczyłyby o tym, że prawa przyrody się zmieniają. Były np. próby zbadania, czy wartość ładunku elektronu nie zmienia się z czasem. Gdyby to się działo w sposób kontrolowany, a nie chaotyczny, to musieliśmybyśmy odkryć nowe prawo, uogólnić obecną elektrodynamikę, której równania zakładają, że ładunek elektronu jest stały, do takiej postaci, w której ten ładunek byłby zmienny. I musieliśmybyśmy zapytać, jakie prawo rządzi tą zmiennością. Do tej pory badania nawet bardzo odległych kwazarów czy galaktyk – odległych zarówno w przestrzeni, jak i czasie – nie wskazują na to, że stała grawitacji Newtona czy wartość ładunku elektronu się zmieniają. Wygląda na to, że te wartości są stałe i uniwersalne. Nie mamy teorii, w której ich „płynięcie” byłoby zadane przez jakieś prawo, więc przyjmujemy teorię, którą znamy – że stałe przyrody są faktycznie stałe i najlepszym założeniem jest to, że „prawdziwe” prawa elektrodynamiki mają tę samą własność.



Mamy więc prawa, w dodatku niezmiennie. Czy to oznacza, że musi istnieć prawodawca?

To już za dużo powiedziane. Jedynym atrybutem transcendencji, o której mówię, jest to, że istnieje ona poza światem i go przekracza. A mówienie o prawodawcy zakłada, że prawa zostały jakoś nadane, że stoi za tym jakaś świadomość. Jako fizyk nie mogę się w ten sposób wypowiadać. Mogę tylko powiedzieć, że istnienie bytu związanego z istnieniem praw uspołnia mój obraz rzeczywistości.

Jeśli nie mówimy o prawodawcy, to jaka jest alternatywa?

Nic na ten temat nie wiemy. Mamy tylko jeden punkt styku z transcendencją – to właśnie ten fakt, że istnieją prawa, które są niezmiennie, doskonałe

i uniwersalne. Na podstawie jednego punktu stykowego nie mogę jako fizyk niczego więcej powiedzieć. Nie wiem, czy ten punkt jest fragmentem linii albo powierzchni.

Jeśli coś więcej o tym mówię, nie wypowiadam się jako fizyk, tylko jako człowiek, który wierzy, że transcendencja istnieje, i próbuje się zastanawiać, jak to istnienie może wpływać na moje życie i moje wybory. Święty Augustyn powiedział, że cokolwiek na ten temat pomyślisz, na pewno będzie chybione. Tu się kończy moja pewność. Mówienie „transcendencja” jest bezpieczniejsze. Takie słowa jak „Bóg” czy „prawodawca” mają cały bagaż konotacji i atrybutów związanych z wiarą, są uwikłane w rozmaite konteksty kulturowe i historyczne – i przez to mówią o tym bycie o wiele więcej, niż chcę powiedzieć jako fizyk.



„Filary stworzenia” – mgławica sfotografowana przez teleskop Webba. Sierpień 2022 r.

To proszę powiedzieć prywatnie, parę milionów osób chętnie posłucha.

Musimy wtedy zapomnieć, że od ponad 40 lat zajmuję się fizyką, bo to przestaje mieć znaczenie. Moje przekonania na temat transcendencji pozostają jedynie moimi przekonaniami. Jestem wierzący, chociaż bardziej istotne od „czy wierzę w Boga?” jest dla mnie pytanie „czy ufam Bogu?”. Uważam, że byt odpowiadający za prawa przyrody ma pewne właściwości – choć pewnie je sobie fałszuję wyobrażam. Mam nadzieję – wierzę w to – że ten byt z jakichś powodów się z nami kontaktuje. Powtórzę – ta wiara nie wypływa z fizyki. Raczej z refleksji nad naszą kondycją.

Bo choć popełniamy mnóstwo błędów i psujemy wszystko, co możemy zepsuć, to mamy szczególną cechę. Sa-

moświadość. Zwierzęta, rośliny czy bakterie mogą reagować na bodźce, przetwarzać je, dopasowywać swoje reakcje, pamiętać – a te osobniki, które reagują bardziej adekwatnie, mają większe szanse przeżycia. To nazwałbym świadomością. Człowiek tymczasem potrafi nie tylko adekwatnie reagować na bodźce, ale też zastanawiać się zarówno nad swoim myśleniem, jak i nad bodźcami, które do tego myślenia doprowadziły, a także nad swoją reakcją na te bodźce i nad skutecznością tej reakcji. I to nazwałbym samoświadomością.

Nie wydaje mi się jakkolwiek uzasadnione ewolucyjnie, że powinienem mieć coś takiego, by w tym świecie przeżyć. Obecność tej sfery w nas jest dla mnie całkowicie niezrozumiała. Nie widzę żadnego łańcucha przyczyn, który doprowadziłby do tego, że coś takiego musiało

się wytworzyć w jakimkolwiek gatunku, i który wyjaśniłby, jak mogłoby to się wytworzyć. Jeżeli już mamy taką niebywałą właściwość samoświadomości i jednocześnie pragnienie sensu, którego nauka nie dostarcza, i tęsknotę za duchowością przekraczającą świat materialny, której także w nauce nie ma, to może jednak to jest znaczące...

Psychologowie mówią już dziś o metapoznaniu u zwierząt. U małp w zaaranżowanych eksperymentach np. wykazano, że zdają sobie sprawę z tego, że inny osobnik może mieć fałszywą wiedzę o świecie, a nawet potrafią tę wiedzę wykorzystać. To znaczy, że rozróżniają pomiędzy tym, co jest w ich umyśle, a tym, co jest w cudzym. Stąd chyba blisko do ludzkiej samoświadomości?

Takie badania są bardzo antropomorfizujące – patrzymy na zwierzęta przez pryzmat tego, jak my sami myślimy i jak myślimy o naszym myśleniu. A zwierzęta mogą funkcjonować inaczej. Poza tym w naszej samoświadomości kluczowe jest nie to, że zdajemy sobie sprawę, że czegoś nie wiemy – tylko to, że możemy się zastanawiać, dlaczego czegoś nie wiemy. Takiej umiejętności chyba u zwierząt nie pokażemy. Różnica nadal jest kolosalna.

Pana zdaniem nauka nigdy nie wyjaśni samoświadomości?

Postawiłbym hipotezę, że powstanie ludzkiej samoświadomości jest w najbliższej przewidywalnej przyszłości nie do wyjaśnienia. Mówiłem o zwierzętach, możemy też przywołać przykład sztucznej inteligencji, która jest już bardzo zaawansowana. Potrafi dużo sprawniej przetwarzać informacje niż my, może mieć dostęp do gigantycznych baz danych, których my nigdy nie wchłonimy, ale ona nie spojrzy na swój algorytm z poziomu meta w taki sposób, w jaki my możemy zastanawiać się nad własnymi myślami. Sztuczna inteligencja może się uczyć, pod wpływem tej nauki algorytm może się zmieniać, coraz bardziej przypominać „ludzkie” zachowanie, ale nie będzie się zastanawiać nad tym, czy sama idea stworzenia takiego algorytmu jest sensowna.

Wróćmy do kosmologii. Pytałem, jakie mamy alternatywne wyjaśnienia istnienia praw przyrody, ➔

→ **jeśli odrzucimy prawodawcę.
Czy wieloświat nie byłby jakąś
odповідzią?**

Pojawiła się kiedyś taka koncepcja fizyczna, że ciągle rodzą się nowe wszechświaty, których nie można obserwować z zewnątrz. Zakłada się tam, że fundamentalne „stałe” fizyczne – takie jak wartość ładunku elektronu, stosunek masy protonu do masy elektronu – mogą w tych wszechświatach zmieniać się w czasie. To jest całkowicie sprzeczne z tym, co wiemy obecnie o fizyce, ale przyjmijmy na chwilę tę hipotezę. Ogromna większość powstających wszechświatów miałaby taki układ stałych, w którym nie może powstać nasz wszechświat – z gwiazdami, planetami i ewolucją biologiczną. Czekamy więc przez dowolnie długi czas, aż pojawią się wszechświaty z zestawem praw przyrody bardziej przyjaznych życiu i w dodatku te sprzyjające warunki będą utrzymywać się wystarczająco długo, by życie w tym wszechświecie powstało i przetrwało. Powiedzieć, że taki zestaw warunków jest ekstremalnie mało prawdopodobny, to nic nie powiedzieć, ale założmy, że mamy naprawdę bardzo dużo czasu i bardzo dużo prób.

Założmy, że tak się stało w naszym wszechświecie i że w naszym otoczeniu wszystko zadziało tak, by umożliwić nasze powstanie. Nie powinno mnie w tej sytuacji dziwić, że w bezpośrednim otoczeniu wszystkie „stałe” fizyczne wyglądają na naprawdę stałe, bo inaczej byśmy nie powstałi. Ale pytając, jakie prawa obowiązywały w przeszłości wszechświata na granicy tego, co możemy zobaczyć, poddajemy obserwacji obszary tak odległe, że nic nie mogło przeszkodzić naszemu powstaniu jako istot myślących. I widzę, że tam te „stałe” są dokładnie takie same jak w naszym otoczeniu, mimo że mogłyby być różne i nic by się w moim otoczeniu nie zmieniło. Po tej obserwacji hipoteza zmienności „stałych” przestaje być dla mnie w jakikolwiek sposób atrakcyjna – to jednoznacznie wskazuje, że „stałe” są naprawdę stałe i nawet jeżeli rodzą się nowe wszechświaty, to stałe muszą mieć te same wartości, które rzeczywiście w naszym świecie obserwujemy.

A czy nie można sobie wyobrazić istnienia równoległych wszechświatów, z których każdy



FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP”

Jestem wierzący,
choć bardziej istotne
od „czy wierzę w Boga?”
jest dla mnie pytanie
„czy ufam Bogu?”.

I ta wiara nie wypływa
z fizyki. Raczej z refleksji
nad naszą kondycją.

**posiada inny zestaw niezmiennych
praw fizyki? Domyślam się,
że dla osób niereligijnych taka wizja
może być łatwiejsza do przyjęcia
od transcendencji.**

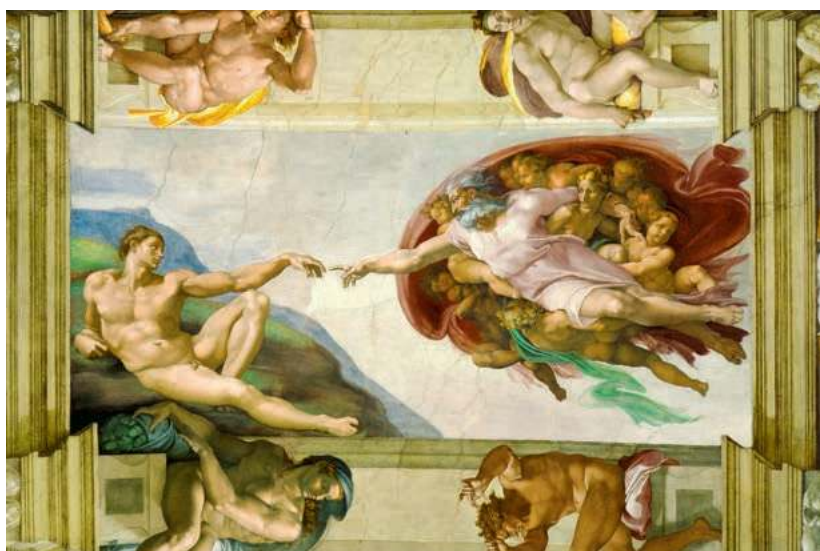
W modelach fizycznych każdy rodzący się wszechświat musi być przyczynowo związany z wszechświatem-rodzicem, postuluje się konkretny mechanizm, dzięki któremu nowe wszechświaty powstają. Mechanizm ten jest niezgodny z obecnie znanymi prawami fizyki, ale w każdym wypadku musi zakładać zmienność stałych fizycznych.

Argument, który przed chwilą przytoczyłem powoduje, że nie uważam tej koncepcji za jakiegokolwiek wyjaśnienie, dlaczego wielkości tych stałych w otaczającym nas wszechświecie są takie, że umożliwiają nasze istnienie. Nie sądzę, żebyśmy na obecnym etapie naszej wiedzy byli w stanie na gruncie fizyki naprawdę ten fakt wyjaśnić, ale gdybym musiał wybierać, to łatwiej byłoby mi wyjść poza fizykę i uwierzyć w jeden transcendentny byt odpowiadający za wszechświat z „dobrymi” stałymi niż pozornie wewnątrz fizyki uwierzyć w dowolnie dużo nieobserwowalnych bytów – innych wszechświatów, które przez dążącą do nieskończoności ich liczbę rzekomo miałyby takiego wyjaśnienia dostarczać.

**Zatrzymajmy się przez chwilę
w naszym wszechświecie. On jest
nieskończony?**

Nie wiemy. Wiemy, że wszechświat się rozszerza, i gdy dziś, po 14 miliardach lat od Wielkiego Wybuchu, obserwujemy coraz dalsze regiony wszechświata, to wchodzimy również coraz głębiej w przeszłość. Naszą granicą jest jednak ten „punkt zero”. Są też obszary wszechświata istniejące równoległe z naszym obszarem wszechświata, ale o nich dowiemy się dopiero w przyszłości – np. o tym, co dzieje się w Galaktyce Andromedy obecnie (*nota bene* wymaga doprecyzowania, co to znaczy), dowiemy się za dwa i pół miliona lat. Oddalimy się wtedy bardziej od „punktu zero”, a nasz horyzont troszkę się poszerzy i dowiemy się trochę więcej o wszechświecie.

Jednak znowu nie będzie to wszystko: granica naszych obserwacji, chociaż się przesunie, wciąż będzie ograniczona przez prędkość światła, bo sygnał z odległych miejsc we wszechświecie musi zdążyć do nas dotrzeć. Trzeba zrozumieć, że każdy ma swój obserwowalny wszechświat przez sam fakt, że każdy jest w innym miejscu. Przesunięcie o parę metrów niewiele zmieni nasz stożek przeszłości, ale już ktoś przesunięty o miliard lat świetlnych może mieć inną perspektywę – w jednym kierunku nie będzie widział obecnie tego, co my na krańcach naszych obserwacji już widzimy, natomiast w przeciwnym kierunku my nie widzimy tego, co on widzi na swoich krańcach.



„Stworzenie Adama”, fragment fresku Michała Anioła, Kaplica Sykstyńska, Watykan

Bóg luk i pytanie Leibniza

W DYSKUSJACH na temat metafizyki wyłaniającej się z naukowego obrazu świata ścierają się często dwa stanowiska. Pierwsze opiera się na tym, że nauka w toku rozwoju sukcesywnie rugowała boskość ze swojej wizji rzeczywistości. Starożytne mitologie potrzebowały postaci posiadających nadprzyrodzone moce, by wytłumaczyć zjawiska (zmiany pór roku, burze, zaćmienia słońca), które dziś nazywamy naturalnymi; biolodzy przed Darwinem nie mieli lepszego pomysłu, jak wytłumaczyć różnorodność gatunków, niż odwołując się do ingerencji stwórcy.

Dziś jest inaczej: znamy mechanizmy, które doprowadziły się do powstania Ziemi, gwiazd, galaktyk czy gatunków. W naszej wiedzy o zjawiskach przyrodniczych nie ma już takich luk, które musiałyby zostać uzupełnione stwórcą. Nawet założenie, że nauka wyjaśni kiedyś pochodzenie życia czy samoświadomości, nie wydaje się kontrowersyjne. Można więc zadać pytanie: czy w nowoczesnym, ufundowanym na nauce obrazie świata pozostaje jeszcze miejsce na Boga? Osoby o światopoglądzie ateistycznym zaprzeczają.

NIE WSZYSCY jednak się z tym zgodzą. Są bowiem pytania, na które przy użyciu metody naukowej odpowiedzieć nie sposób. Najważniejsze z nich – „dlaczego istnieje raczej coś niż nic?” – zadał niemiecki filozof Gottfried Leibniz. Można pytać także o to, dlaczego matematyka tak dobrze nadaje się do opisu wszechświata, czyli dlaczego „księga przyrody”, jak ujął to Galileusz, zdaje się „napisana językiem matematyki”. Zdaniem m.in. Krzysztofa Meissnera czy Michała Hellera to właśnie miejsca, w których nauka ciągle zderza się z transcendencją.

© © ŁK

Przy czym jeśli istnieje tzw. stała kosmologiczna – a wszystko wskazuje na to, że istnieje – to ona powoduje, że rozszerzanie się wszechświata przyspiesza. Okazuje się, że w tej sytuacji pewne fragmenty wszechświata będą zawsze poza granicą naszych obserwacji. To tak, jakby ktoś stał na biegunie i na ko-

niec mógł obserwować wszystko jedynie do koła podbiegunowego. Co jest dalej? Czy to się wszystko domyka do kuli, czy się wypłaszcza? Czy jest granica wszechświata? Nigdy się nie dowiemy. Jeżeli jest stała kosmologiczna, to nawet gdybyśmy czekali nieskończenie długo, zobaczymy tylko kawałek wszechświata

i nic o reszcie nie będziemy mogli powiedzieć.

Mówił Pan, że obserwacje nigdy nie wyjdą poza „punkt zero” – poza tzw. Wielki Wybuch. Ale są teoretyczne pomysły, które próbują określić, co mogło być przed „punktem zero”. Jeden z nich szczególnie się Panu podoba.

To koncepcja Rogera Penrose’a. Żeby ją zrozumieć, pomyślny najpierw o najdalszej przyszłości naszego wszechświata. Wszystkie cząstki masowe, w tym my sami, potrzebowałyby nieskończenie długiego czasu, by do tej przyszłości dotrzeć. Ale, jak wskazuje teoria względności, dla cząstek bezmasowych nie płynie czas – fotony i fale grawitacyjne (które być może też są cząstkami) mogą dotrzeć do tego końca i nie upłynie im nawet nanosekunda. Penrose zauważył, że akurat w czterech wymiarach czasoprzestrzeni dla cząstek pozbawionych masy istnieje pewna szczególna właściwość – nie reagują one na rozszerzanie albo kurczenie wszechświata. Penrose mówi, że może to jest jakaś wskazówka, dlaczego żyjemy w czterech wymiarach, i przyjmuje, że na końcu, korzystając z tej możliwości, wszechświat się kompresuje i odległości bardzo wielkie stają się bardzo małe. Jeśli dokonuje takiej kompresji, to w czterech wymiarach fotony nie mogą zaprotestować. Natomiast ich energia z bardzo małej robi się po kompresji bardzo duża i fotony są bardzo blisko siebie. Wtedy zaczynają zderzać się ze sobą, produkując dowolnie energetyczne cząstki, również masywne.

Brzmi to bardzo podobnie do opisu młodego wszechświata. W obecności cząstek masywnych zaczyna płynąć czas i rodzi się nowy wszechświat, który jest bardzo energetyczny. On stopniowo zaczyna się rozszerzać, stygnąć, a te fotony, które przeszły przez kompresję, zaczynają wpływać na ewolucję wszechświata. Opis końcowych etapów ewolucji naszego świata przemienił nam się więc w opis jego pierwszych etapów, zupełnie jak gdyby po naszym wszechświecie miał nastąpić kolejny. Penrose nazywa kolejne wszechświaty enonami.

Ta koncepcja to wyłącznie „zabawa” matematyczna?

Jeśli ten model jest pełnoprawną teorią fizyczną, to powinniśmy go móc →

→ empirycznie przetestować. Jeżeli założymy, że przed naszym wszechświatem był poprzedni, to powinno dać się zaobserwować w naszym wszechświecie pewne ślady tego poprzedniego – jakieś struk-

tury, które przeszły stamtąd do nas i zaburzyły warunki w naszym wszechświecie, np. rozkład materii. Zaczęliśmy więc wspólnie szukać takich wzorców, które są śladem po poprzednim wszechświecie.

Znalazły się?

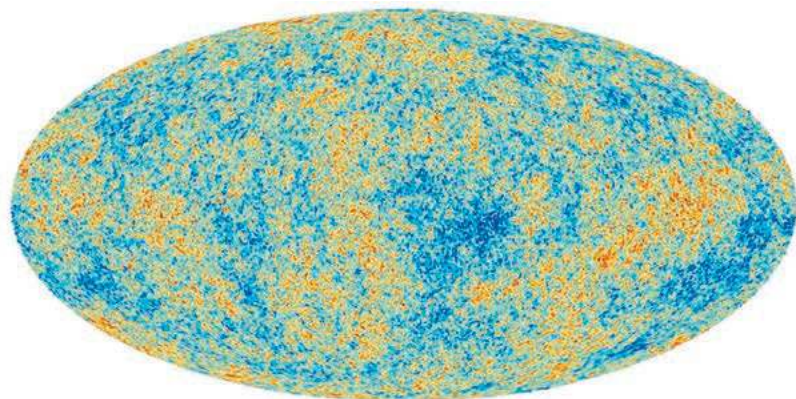
Jakiś czas temu opublikowaliśmy, jeszcze z dwoma współpracownikami, pracę, w której szukaliśmy specyficznych pierścieni na mapie promieniowania tła, które jest szczególnym śladem po bardzo wczesnym wszechświecie. Z teorii wynika, że jeśli w poprzednim eonie zdarzyły się czarne dziury, które wyemitowały fale grawitacyjne, to fale te, podobnie jak fotony, też mogą przetrwać kompresję wszechświata, o której mówiłem, a po przejściu do naszego wszechświata dadzą na mapie promieniowania tła obserwowalne pierścienie. I my na mapie te pierścienie widzimy. Problem stanowi to, że jest tylko jedna mapa, wykonana przez satelity najpierw COBE, potem WMAP, a ostatnio Planck. A na jednej mapie może się zdarzyć wszystko – nie wiemy, czy te pierścienie są śladem po poprzednim eonie czy jakimś przypadkowym zjawiskiem.

Stworzyliśmy więc tysiąc map sztucznych, czyli takich, które odtwarzają mniej więcej to, co widzimy na mapie prawdziwej, ale wiemy, że nie wbudowujemy tam żadnych struktur. To metoda statystyczna. Patrzymy, ile na takich sztucznych mapach zaobserwujemy pierścieni. I porównujemy. Tylko jedna mapa na tysiąc miała więcej pierścieni niż mapa prawdziwa. Pozostałe miały mniej.

Była też druga Panów praca, pokazująca ślady poprzedniego eonu.

Drugi nasz pomysł opiera się na gromadach galaktyk. One tworzą z czasem czarne dziury. Jest taka hipoteza Stephena Hawkinga, że czarne dziury w końcu wyparują. Jeśli doszło do kompresji wszechświata, to parowanie czarnej dziury w poprzednim eonie byłoby jak wstrzyknięcie całej energii z gromady galaktyk do nowego eonu. U nas – na mapie promieniowania tła – wyglądałoby to tak jak dysk, który jest cieplejszy w środku, a na zewnątrz chłodniejszy. Nazwaliśmy to „punktami Hawkinga”, ponieważ uważamy, że gdyby zostały znalezione, to byłyby to pierwszy dowód na parowanie czarnych dziur.

Zrobiliśmy to samo co wcześniej. Stworzyliśmy tym razem dziesięć tysięcy map, na których szukaliśmy takich dysków – i pytaliśmy, na ilu mapach sztucznych



Mapa mikrofalewego promieniowania tła. Różnice w kolorach odpowiadają różnicom temperatur

Łuna Wielkiego Wybuchu

W POŁOWIE LAT 60.

przypadkiem odkryto, że z każdej strony kosmosu dociera do nas słabe promieniowanie elektromagnetyczne, głównie w zakresie mikrofal.

Szybko zdano sobie sprawę, że owo mikrofalewe promieniowanie tła (ang. *cosmic microwave background*, w skrócie CMB) jest świadectwem ognistych początków wszechświata, swoistą „łuną Wielkiego Wybuchu”, która w wyniku rozszerzania się przestrzeni w ciągu kilkunastu miliardów lat ochłodziła się do niecałych 3 stopni powyżej zera bezwzględnego.

Z CZASEM, dzięki coraz dokładniejszym obserwacjom kolejnymi teleskopami kosmicznymi

(COBE, WMAP, Planck) ustalono, że CMB nie jest idealnie jednorodne – z niektórych kierunków dociera do nas odrobinę „gorętsze”, a z innych „chłodniejsze” (przy czym mowa tu o różnicach rzędu 1:10 000). Charakterystyka tej tzw. anizotropii mikrofalewego promieniowania tła okazała się kopalnią wiedzy o bardzo młodym wszechświecie, dostarczając kosmologom bezcennych informacji o jego wieku, kształcie, zawartości i przebiegu wczesnej ewolucji, ujętych w tzw. standardowym modelu kosmologicznym, znanym także jako model Λ CDM (czyt. „lambda-ce-de-em”).

NIETYKLUKOWANE JEDNAK, że rozkład anizotropii kryje w sobie znacznie więcej, w tym – jak twierdzą Roger Penrose

i Krzysztof Meissner – mocne przesłanki na rzecz istnienia wszechświata przed Wielkim Wybuchem. Między innymi o tym świadczyć pewne subtelne, pierścieniowe wzory i koliste „ciepłe” obszary zwane punktami Hawkinga, które badacze ci dostrzegli na mapie anizotropii za pomocą zaawansowanych metod statystycznych, a których model Λ CDM nie przewiduje. Przewiduje je natomiast zaproponowana przez Penrose’a konforemna kosmologia cykliczna, matematyczny model, w ramach którego pierścienie i punkty Hawkinga byłyby swoistym „odciskiem palca” parujących czarnych dziur z poprzedniego eonu, czyli cyklu życia wszechświata.

© TOMASZ MILLER

jest więcej dysków niż na prawdziwej mapie. I znaleźliśmy jedną na dziesięć tysięcy.

Dla fizyków to przekonujący dowód?

W fizyce trzeba uważać na słowo „dowód”. W matematyce każdy poprawny ciąg twierdzeń prowadzący od założeń do tezy jest dowodem. Natomiast w fizyce ten sam ciąg, nawet jeżeli prowadzi do tezy zgodnej z obserwacjami, czyni jedynie założenia bardziej prawdopodobnymi, ale ich nie dowodzi. Jeśli chodzi o dyski, to uważamy, że te mapy są bardzo poważnym argumentem za poprawnością założeń modelu Penrose’a. Nie wszystkim spodobał się nasz pomysł ze sztucznymi mapami, więc ten argument nie został do końca przyjęty. Przygotowujemy jednak nową pracę, w której ilościowo pokażemy, jaką temperaturę powinno powodować wstrzyknięcie energii z parowania takiej wielkiej czarnej dziury – i porównamy to z tym, co mamy na mapie. Jeśli wszystko się zgodzi, to byłoby to silny argument.

Pan już nie ma wątpliwości?

Zaczynam ich mieć coraz mniej. Ale i tak pozostaną rzeczy trudne do wytłumaczenia. Możemy się zastanawiać, czy całą mapę promieniowania tła, na którym obserwujemy jaśniejsze i ciemniejsze punkty, da się wytłumaczyć takimi wstrzyknięciami energii czy zderzeniami czarnych dziur w poprzednim eonie. Zwracamy uwagę tylko na najbardziej znaczące dyski. Na mapie promieniowa-

Jeżeli założymy,
że przed naszym
wszechświatem był
poprzedni, to powinniśmy
móc zaobserwować jego ślady.
Postanowiliśmy
ich poszukać.

nia tła obserwujemy także pewną nierównowagę pomiędzy dużymi strukturami a małymi. Skąd ona się wzięła? To też musielibyśmy wyjaśnić.

Jeśli teoria Penrose’a o tym, że istniały poprzednie eony, jest prawdziwa, to co ona zmienia?

Teoria mówi nie tylko o tym, że poprzednie eony istniały, ale że miały taką samą fizykę co nasz eon. To jest dużo silniejsze stwierdzenie. Według mnie byłby to swoisty przewrót kopernikański. Obecnie myślimy o naszym wszechświecie jako o jednokrotnym strzale – coś się zdarzyło na początku, potem się zakończy. Jeśli uda się nam pokazać, że nasz wszechświat stanowi jedynie część łańcucha wszechświatów, to będzie to radykalna zmiana widzenia świata.

A konsekwencje światopoglądowe? Biolog John Haldane zażartował kiedyś, że stwórca musi mieć niezdrowe upodobanie do chrząszczy, skoro mamy ich trzysta tysięcy gatunków. Ciekaw jestem, co o stwórcy świadczyłoby istnienie poprzednich eonów.

To, czy były inne eony czy nie, musi być konsekwencją praw fizyki. Prawa te są doskonałe, niezmiennie, piękne, proste, eleganckie – są takie, że przy nich nie trzeba już grzebać. Wiadomo, że będą działały najlepiej jak to możliwe – są platońskimi ideami obiektywnymi. Jeżeli zakładamy, że stwórca istnieje, to właściwszym pytaniem jest, co o nim mówią prawa, a nie istnienie eonów. Doskonałość tych praw mówiłaby choćby to, że on przekracza nas w sposób niemożliwy do wyobrażenia.

Wszechświat budzi w Panu wyłącznie zachwyt?

Te wszystkie ogromne odległości, wielkie energie, potężne zderzenia, puste przestrzenie. Nie przeraża to Pana?

Że jesteśmy jedynie pyłkiem? Nie myślę w ten sposób. Jeśli wszechświat wynika z doskonałych praw – a jestem przekonany, że tak jest – to być może nie mógł być mniejszy ani istnieć krócej. I dzięki temu możemy dzisiaj rozmawiać.

© Rozmawiał ŁUKASZ KWIATEK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik),
Małgorzata Nocui, Michał Okoński, Marek Rabij,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik),
Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
(kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Piotr Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomałowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Zumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
Redakcja @TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama @TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata @TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Sakwa Beniamina



„TEN, W KTÓREGO RĘKU KIELICH ZNALEZIONY, ten będzie mi niewolnikiem; wy zaś idźcie w pokoju do ojca waszego!” (Rdz 44, 17; Cylkow) – wydaje dyspozycję wicefaraon, gdy po przeszukaniu bagaży synów Jakuba puchar znajduje się u Beniamina. Przypomnijmy: w Ziemi Izraela, a właściwie w całym regionie, panuje głód. Żywność można nabyć jedynie w Egipcie, gdzie przezorny faraonowy namiestnik Józef w ciągu siedmiu lat tłustych gromadził zapasy na mające nadejść po nich siedem lat chudych. Synowie Jakuba wyruszyli więc po aprowizację do Egiptu.

Starszy syn Racheli – którego najwidoczniej nie sposób teraz rozpoznać – wszystko ukartował: wpierw oskarżył braci o szpiegostwo i wtrącił ich na trzy dni do więzienia. Potem wypuścił ich i zatrzymał jedynie Szymona jako zakładnika, lecz nakazał im sprowadzić Beniamina. Teraz umieścił swój kielich w jego sakwojażu. W tradycji żydowskiej Józef nosi przydomek *ha-cadik* (tzn. sprawiedliwy) – czy takie postępowanie przystoi sprawiedliwemu?

Co chce swoimi działaniami osiągnąć? Za pomocą machinacji zdaje się odtwarzać sytuację sprzed 22 lat, kiedy bracia sprzedali go wędrownym kupcom. Ponownie chodzi o Jakubowego faworyta, syna jego ukochanej Racheli – jak to ujmuje Juda: „dusza zaś jego [ojca] przywiązana do duszy jego [Beniamina]” (wers 30). Nie wiemy, czy „chłopię starości młode” (wers 20) – jak wcześniej Józef – jest obiektem zazdrości starszego rodzeństwa. W każdym razie to „przez niego” – czego dowodem odnaleziony puchar – wszyscy bracia wracają do Egiptu, by znów stanąć oko w oko z nieprzychylnym namiestnikiem faraona. Ten chce zatrzymać jedynie chłopca jako niewolnika, pozostali mogą odejść wolno.

Jak zachowają się bracia? 22 lata temu wrócili do domu ze zbroczoną krwią koźlęcia szatą Józefa. Do akcji wkracza Juda, przywódca i rzecznik Jakubowych synów, który wziął na siebie odpowiedzialność za bezpieczny powrót Beniamina. „I przystąpił doń Jehuda” (wers 18), ofiarując siebie jako niewolnika w zamian za chłopca. Zaszła w nim kardynalna zmiana. Kto wie, czy nie miała w tym również udziału jego synowa, a zarazem matka jego dzieci – Tamar (zob. Rdz 38).

Józef precyzyjnie wyreżyserował próbę, której poddał Judę. Wedle prawa żydowskiego dowodem na dokonanie pełnej teshuwy (dosł. powrotu, z braku dokładnego odpowiednika – to skrzyżowanie pokuty, skruchy i odkupienia winy) jest znalezienie się powtórnie w tych samych okolicznościach, w których pierwotnie przewiniliśmy, i tym razem nieulegnięcie pokusie. Bracia, gotowi błagać, a nawet walczyć o Beniamina, zdali egzamin śpiewająco. Nie dziwi więc, że wzruszony tym sprawiedliwy Józef wybaczył im to, co mu uczynili, i wreszcie ujawnił swoją tożsamość. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Panie, czy mamy uderzyć mieczem?



IZAJASZ ZAPOWIADAŁ: „DZIECKO SIĘ NAM narodziło, syn został nam dany! Na jego barkach spoczęła władza! I nazwano go imieniem: Przedziwny Radca, Bóg Mocny, Ojciec na wieki, Księżę Pokoju. Wielka będzie jego władza, w pokoju bez granic, na

tronie Dawida i w jego królestwie. (...) Zazdrość Pana Zastępów to sprawi”. W przekonaniu chrześcijan to proroctwo zostało spełnione, tym dzieckiem jest Jezus Chrystus. Gorzej z zapowiedzią o pokoju bez granic. Jeszcze na dobre nie skończy się jedna wojna, a już wybuchają trzy następne. Wciąż „ciężkie jarzmo” wrzyna się w niejednen kark, „różga smaga plecy”, a „but żołnierza” miażdży ziemię. Wystarczy popatrzeć na Ukrainę albo na granicę z Białorusią, gdzie okłamanych ludzi, uciekających przed głodem, chłodem i śmiercią, z powrotem wypycha się w ręce oprawców.

Niosąc pomoc, trzeba jednak pamiętać, że „kiedy wykonać wszystko, co wam polecono, mówcie: Jesteśmy nieużytecznymi sługami. Wykonaliśmy to, co było naszą powinnością”. To nie Ukraińcy nam, ale my im powinniśmy dziękować. Oni za nasze życie płacą swoim życiem. Niosąc pomoc jednemu, nie zapominajmy o drugich. Katarzyna Wappa, która – podobnie jak działający w Grupie Granica, Polskiej Akcji Humanitarnej, KIK-owskim Punkcie Interwencji Kryzysowej, Caritas Polska – przez wiele miesięcy niosła pomoc uchodźcom, mówi: „Ratowanie ludzi to nie jest zadanie mieszkańców. To ponad ludzkie siły, wszyscy są niewyobrażalnie zmęczeni. Na granicy powinny działać duże organizacje humanitarne, mające swoją renomę i wykwalifikowanych pracowników, dla których ratowanie życia jest etatową pracą. Zwykły obywatel nie powinien się chować po krzakach i bagnach, żeby kogoś ratować. Nikt nie powinien żyć otoczony przemocą i cierpieniem”. W ludzkim świecie za los człowieka odpowiada również państwo.

Mówi się, że papież Franciszek „pogubił się” w podejściu do wojny w Ukrainie. Sam zresztą zauważył, że sprawę wojny trzeba na nowo przemyśleć. Wraca więc pytanie: czy rzeczywiście niemożliwe jest kochać i walczyć?

Podczas Ostatniej Wieczerzy Jezus powiedział apostołom: „Teraz jednak kto ma sakiewkę, niech ją weźmie. (...) A kto nie ma, niech sprzeda swój płaszcz i kupi miecz! Bo mówię wam, że (...) to, co napisano (...) spełnia się na Mnie. Oni zaś rzekli: Panie, oto tutaj są dwa miecze. Odpowiedział im: Wystarczy!”. Na innym miejscu: „Schowaj miecz tam, gdzie jego miejsce, bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną”. Mamy też: „Nie myślcie, że przyszedłem przynieść pokój na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz” oraz „Kto wierzy we Mnie, będzie dokonywał takich samych dzieł, jakie Ja czynię, a nawet dokona większych od nich”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Dyscyplina Objawienia

To, co znamy, jest niczym,
jeśli nie Kochamy Boga
we wszystkim.

MECHTYLDA Z MAGDEBURGA



Oby dobro,
które jest we mnie, połączyło
się z dobrem, które jest
w innych – a świat zostanie
przemieniony siłą miłości.

NACHMAN Z BRACŁAWIA



„WIELOKROTNE I NA różne sposoby przemawiał niegdyś Bóg do ojców naszych przez proroków, a w tych ostatecznych dniach przemówił do nas przez Syna. (...) Do którego bowiem z aniołów powiedział kiedykolwiek (...): Ja będę Mu Ojcem, a On będzie Mi Synem” (Hbr 1, 1-6). Pozwalam sobie spośród wersetów otwierających List do Hebrajczyków wybrać dwa – takie, którym warto przyjrzeć się w greckim oryginale, a także w łacińskim tłumaczeniu św. Hieronima.

Najpierw pierwszy. W Wulgacie czytamy w nim, iż Bóg przemawiał do naszych ojców *in prophetis*, a do nas przemówił ostatecznie *in Filio* (w greckim oryginale mamy odpowiednio: *en tois prophetais* oraz *en Hio*) – dosłownie w języku polskim: „w prorokach” i „w Synu”. Nie „przez proroków” i „przez Syna”. Autorowi natchnionemu nie chodzi więc jedynie o to, jaką prawdę Bożą prorocy byli w stanie „wypowiedzieć”; raczej chodzi o to, jaką prawdę można było „przeczytać” z ich życia, postawy, postępowania. Czym innym jest przecież wyrecytowanie wyuczonej na pamięć lekcji, a czym innym ukazanie danej prawdy wpisanej w naszą osobę – od tego, co potrafię powiedzieć, ważniejsze jest to, kim jestem.

W najpełniejszym stopniu odnosi się to do „Syna” – do Jezusa Chrystusa, który jest wcielonym Słowem Boga. Pełnię prawdy o Ojcu poznaje ten, kto Go „widzi”, a nie tylko słucha (zob. J 14, 9: „Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca”).

Taka jest dyscyplina przekazywania Bożego Objawienia: „przekazuj prawdę, która działa w tobie – którą najpierw sam przyjąłeś na tyle, że choć trochę ją widać z twojego życia”. Ewangelizacja jest przekazem życia.

Także drugi z przytoczonych fragmentów („Ja będę Mu Ojcem, a On będzie Mi Synem”) nieco inaczej się czyta w greckim i łacińskim tekście. W greckim oryginale mamy: *eis Patera* oraz *eis Hion*; w wersji św. Hieronima – konsekwentnie – *in Patrem* oraz *in Filium*. Greckie *eis* oraz łacińskie *in* – użyte wraz z *accusativem* – wprowadza nas w pewną dynamikę, i najlepiej się tłumaczy jako „do (czegoś)”, „ku (czemuś)”, „w stronę (czegoś)”. Może więc należałoby przetłumaczyć ten zapis: „Ja (coraz bardziej) będę Mu Ojcem, a On (coraz bardziej) będzie Mi Synem”?

Nie chodzi w nim bowiem o fakt jednorazowy, dokonany i przeszły; chodzi o relację, która staje się coraz bardziej intensywna i angażująca, która stopniowo ogarnia mnie całego i na całego. To również – choć postrzegany z innej perspektywy – zapis dyscypliny Objawienia. Jest ono bowiem nie tylko przekazem „treści” – zbioru abstrakcyjnych prawd, „podanych do wierzenia”; jest ono przede wszystkim spotkaniem osobowego Boga z osobą człowieka – spotkaniem, które nie jest jednorazowe, lecz przekształca się w prawdziwą więź (*religio*), coraz bardziej intensywną i pełną miłości.

Właśnie takiej relacji z Ojcem wszystkim życzę w roku, w który dopiero weszliśmy. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (22 – 29 I)

3. niedziela zwykła: Iz 8, 23b – 9, 3;
Ps 27; 1 Kor 1, 10-13. 17; Mt 4, 12-23;
Poniedziałek: Hbr 9, 15. 24-28; Ps 98; Mk 3, 22-30;
Wtorek: Hbr 10, 1-10; Ps 40; Mk 3, 31-35;
Środa: Dz 22, 3-16 lub Dz 9, 1-22;
Ps 117; Mk 16, 15-18;

Czwartek: Hbr 10, 19-25; Ps 24; Mk 4, 21-25;
Piątek: Hbr 10, 32-39; Ps 37; Mk 4, 26-34;
Sobota: Hbr 11, 1-2. 8-19; Ps:
Łk 1, 69-75; Mk 4, 35-41;
4. niedziela zwykła: So 2, 3; 3, 12-13;
Ps 146; 1 Kor 1, 26-31; Mt 5, 1-12a.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

SYSTEM DO WYMIANY

Nawet jeśli koalicja partii opozycyjnych
zakończy epokę PiS, prawdziwie
rządzić nie będzie. Znajdzie się między
oczekiwaniem elektoratu,
wyzwaniami cywilizacyjnymi
i sabotażem części instytucji.

KLAUS BACHMANN



ZWOLENNICY PO, PSL, LEWICY I POLSKI 2050 chcą, by nowy rząd natychmiast i radykalnie odwrócił wszystkie reformy i deformy PiS z ostatnich ośmiu lat oraz rozliczył kierownictwo tej partii. Jednocześnie powinien odpowiedzieć na wyzwania, które PiS zignorował: politykę klimatyczną, finanse państwa, rynek pracy, system emerytur i rent, ochronę zdrowia. Z trzeciej strony taka koalicja, o ile w ogóle dojdzie do władzy, napotka na silny opór ze strony instytucji, które PiS opanował, podporządkował i których obsady kolejna ekipa nie będzie mogła szybko zmienić.

Każda inicjatywa ustawodawcza może być jeszcze przez kolejny rok blokowana przez prezydenta i Trybunał Konstytucyjny, który w tej chwili składa się już tylko z nominatów PiS, prawidłowo i nieprawidłowo wybranych. Nawet jeśli się uda nowemu rządowi zakończyć urzędowanie Julii Przyłębskiej jako prezeski TK, wymagać to będzie sporego wysiłku i ustępstw przed Andrzejem Dudą – i w rezultacie niewiele zmieni. Bo każda nowa ustawa, w tym ta o funkcjonowaniu Trybunału, podlega jurysdykcji jego samego. Z Julią Przyłębską czy bez niej – i tak będzie w całości oceniana przez środowisko poprzedniej władzy. Nowy rząd może oczywiście stosować taktykę PiS i publikować tylko te wyroki TK, które są dla niego wygodne, ale to wydaje się nie do pomyślenia. Byłoby wejściem w buty poprzedników i groziłoby kolejnym konfliktem z UE, z organizacjami sędziowskimi i sądami międzynarodowymi, rozbijając zarazem jedność rządzącej koalicji.

Nowy rząd może też udawać, że jest królową Anglii: panuje, ale nie rządzi. Ale wtedy, wobec rozczarowania swoich elektoratów, ta nowa, kolorowa, heterogeniczna, skłócona koalicja w końcu upadnie. Do władzy wróci PiS (albo jakiś nowy, populistyczny twór) i ujrzymy to samo, co stało się ostatnio w Izraelu. Duch Jarosława Kaczyńskiego będzie straszyć nas jeszcze bardzo długo, nawet jeśli PiS się rozpadnie po jego odejściu. Przynajmniej tyle będzie miał wspólnego z Piłsudskim i Dmowskim, których cienie do dziś unoszą się nad Polską.

70. posiedzenie Sejmu IX kadencji.
Warszawa, 1 stycznia 2023 r.

Po co jest władza

Zwyczajny obywatel, który musi zarabiać na życie poza polityką, wiązać koniec z końcem i marzy o stabilności i obliczalności życia codziennego, może się w tym momencie głośno zastanowić: po co opozycji w ogóle rząd? Po co długie narady o tym, jak dostosować się do ewentualnych zmian kodeksu wyborczego szykowanych przez PiS, po co analizowanie sondaży pod kątem liczby list wyborczych, po co kompromisy programowe i negocjacje na temat obsadzania okręgów wyborczych, które po dwóch tygodniach już nie mają znaczenia wobec nowego układu wewnątrz opozycji, zmian w sondażach albo nowych pomysłów władzy? Po co to wszystko, jeśli potem opozycja tylko „panuje, ale nie rządzi”? Odpowiedź jest chyba prosta: w polskim systemie politycznym od dawna nie chodzi o to, aby rządzić. To przecież nawet PiS-owi się nie udało, mimo że panował przez osiem lat.

Kaczyński nie osiągnął żadnego z długofalowych celów. Utrzymał się u władzy i korzystał z jej przywilejów – tyle. Społeczeństwo zmieniło się w tym czasie dokładnie odwrotnie do zamierzeń lidera PiS: jest dziś o wiele bardziej tolerancyjne, otwarte, świeckie (albo wręcz antyklerykalne), mniej nacjonalistyczne, mniej katolickie, i ogólnie mniej wierzące. A słynny wyrok TK na temat prawa aborcyjnego ustawił przeciwko władzy także większość młodzieży.

Kryzys idei promowanych przez PiS widać też na rynku mediów, w które PiS pchał gigantyczne środki z budżetu państwa i państwowych firm. I nie chodzi tylko o TVP i Polskie Radio, ale też o przejęte wydawnictwo Polska Press. Propaganda ma się w nich dziś dobrze, ale same media tracą widownię, słuchaczy, czytelników i reklamodawców, często na rzecz mało przyjaznych dla PiS prywatnych, ale lepiej zarządzanych firm. I tu tkwi sedno sprawy, które wyjaśnia, dlaczego dla opozycji zdobycie władzy może być grą wartą świeczki, nawet jeśli potem będzie tylko panować, zamiast rządzić. Panowanie może dać jej więcej korzyści.

Elity do wykarmienia

Polska nie jest krajem o bardzo silnym rozwarstwieniu dochodów, ale jednocześnie państwo nic nie robi, aby systemowo niwelować te nierówności, które są. Jest tylko jeden obszar, gdzie biedni (jako liczniejsza grupa) mogą liczyć na szybką po-

prawę swej sytuacji, a bogaci na kłopoty: to system polityczny.

W tym kontekście wybory służą nie tyle do wyłonienia nowej większości parlamentarnej, ile do kupowania poparcia społecznego transferami pieniędzy oraz redystrybucji władzy i dochodów w swoich elitach politycznych. Te elity są jednocześnie dość szerokie, o wiele szersze niż zwykły wyborca zazwyczaj dostrzega: rozciągają się od Sejmu i Senatu, rządu i prezydenta aż do najmniejszych urzędów i przedsiębiorstw. Wszędzie tam wynik wyborów rozstrzygnie, kto dostanie i kto straci dodatkowy (a czasami jedyny) dochód w instytucji państwowej, spółce Skarbu Państwa, spółce z jego częściowym udziałem albo w innej, założonej przez zaprzyjaźniony z władzą samorząd.

To jest przysłowiowe „koryto”, o którym z pogardą mówią obywatele. Tu się skupia cały gniew i cała pogarda ludu dla elit. I mimo że każde ugrupowanie, które dostaje się do władzy, z tych mechanizmów korzysta i stara się przekazywać ochłapy zwolennikom, to oni i tak potrafią mówić z pogardą o tym systemie. Traktują go jako mechanizm, który niesłusznie pozwala bogacić się – oczywiście głównie przeciwnikom. Mało kto dostrzega, że jest to system, który jest niezależny od tego, kto rządzi – ale silnie wpływa na funkcjonowanie całego kraju. Nazwę go neopatrymonializmem. Politolodzy znają go głównie z Afryki i Ameryki Południowej, choć on istnieje też w niektórych państwach azjatyckich, a niektóre jego cechy można też odkryć w Europie.

Jest to system, w którym jedna siła polityczna, zazwyczaj skupiona wokół charyzmatycznego wodza, opanowuje wszystkie ogniwa władzy, ale też środki produkcji, wydobywanie surowców i handel. Nie rusza jednak ani prywatnej własności, ani drobnej przedsiębiorczości, lecz przejmuje tylko strategiczne firmy i gałęzie, wyciskając z nich maksymalne zyski, które potem trafiają na konta członków elity władzy, często w zagranicznych bankach, albo są transferowane w postaci kontraktów dla zaprzyjaźnionych z władzą firm. Kiedy trzeba, część z nich wraca do państwa, a przewodnia siła kupuje za nie poparcie kluczowych grup interesu, związków zawodowych albo zapewnia sobie bierność opozycji, dzieląc się z niektórymi jej członkami swoistą rentą.

Jeśli w takim systemie opozycja czasem współrządzi, to w postaci przekupionych →

→ pojedynczych polityków, kooptowanych do ministerstw i urzędów – nigdy jako samodzielna siła z własną hierarchią i przywództwem.

W takich krajach rzadko spotyka się więźniów politycznych, choć i to może się zdarzyć dzięki lojalnym wobec władzy prokuratorom i sędziom. Nie trzeba więc uchylać restrykcyjnego prawa dla oponentów politycznych, jeśli można ich posadzić za przestępstwa podatkowe. Oczywiście, przedstawiciele władzy się za to nie karze, bo podporządkowana władzy prokuratura jest ślepa na jedno oko.

Takie systemy w tej chwili istnieją w Zimbabwie, na Białorusi, w Rosji, w Kazachstanie, Burundi, Egipcie, na Węgrzech i w Turcji. Taki system też próbuje od ośmiu lat budować PiS. Ale trzeba mu przyznać: buduje na mocnych podstawach. I może tak robić, bo część narodu tak właśnie woli.

Kapitalizm bez kapitalistów

Taka postawa ma swoje źródła w transformacji lat 90. XX wieku, którą obecnie krytykuje zarówno prawica, jak i część lewicy – ale rzadko ze znajomości ówczesnych realiów. Jednym z nieobecnych faktów tej debaty jest olbrzymie poparcie, jakie na początku transformacji miały kapitalizm i gospodarka rynkowa w Polsce. Centralne planowanie, socjalizm, interwencjonizm państwa, wysokie podatki – uchodziły wtedy za wymysły nieskuteczne, niemoralne. Tak uważali nawet ci, o których było jasne, że na transformacji rynkowej tylko tracą: rolnicy, rzemieślnicy, mali handlowcy, których potem zmioły wielkie koncerny zagraniczne.

Później, w trakcie trwania procesu odchodzenia od socjalizmu, szybko ujawniło się dziwaczne zjawisko: Polacy pokochali kapitalizm, ale znienawidzili kapitalistów. Stało się to jasne wtedy, kiedy kolejne rządy próbowały prywatyzować przedsiębiorstwa państwowe. Z obawy przed gniewem ludu przeciwko „wyprzedaży majątku narodowego”, jak ognia zaczęto unikać słowa „prywatyzacja”. Pod wpływem propagandy z lewa i z prawa powstała koncepcja „komercjalizacji” przedsiębiorstw państwowych: najpierw przekształcono je w spółki prawa handlowego, gdzie dane ministerstwo objęło całość albo większość akcji. Celem było przygotowanie ich do prywatyzacji, tak aby po restrukturyzacji właściciel (rząd) mógł otrzymać za nie lepszą cenę albo

Kaczyński nie osiągnął żadnego z ważnych celów.

Społeczeństwo zmieniło się w czasie rządów PiS odrotnie do jego zamierzeń.

wpuścić je na giełdę. Zamiary były dobre, ale skutki fatalne: skoro ministerstwa miały największe pule akcji, to mogły też obsadzić rady nadzorcze i zarządy. W ten sposób powstały synekury dla funkcjonariuszy partii rządzących, które umieściły tam swoich ludzi. Oni zaś mieli wszelkie powody, by maksymalnie opóźnić prywatyzację tych firm. Było to możliwe z powodu kolejnego paradoksu: Polacy bardzo polubili demokrację, ale niekoniecznie demokratów.

Demokracja bez demokratów

Cały trzydziestoletni okres po 1990 r. cechuje głęboka pogarda ludu dla elit politycznych: polityk to wyobcowana postać, która na drodze do władzy kłamie, jest skorumpowana i korumpuje innych, a kiedy już tę władzę zdobywa, to zapomina o ludzie, z którego się wywodzi. I dba tylko o własny interes. Ten ludowy opis chciał odmienić PiS, kupując poparcie biedniejszych grup społecznych, ale nie zmienił samego systemu, odseparowującego społeczeństwo od polityki.

Partie w Polsce są – w porównaniu z innymi krajami – uzależnione od pieniędzy z budżetu, słabe, mają mało zwolenników, niekoniecznie też oczekują na nowych członków, którzy mogliby próbować je zmieniać od środka. W efekcie bardziej niż partie polityczne z prawdziwego zdarzenia przypominają kluby skupione wokół charyzmatycznych liderów, którzy, jak Palikot, Kukiz, Ziobro czy Gowin – czasem umieszczają nawet w nazwach swych partii lub ruchów własne personalia. Te „kluby” często się rozpadają, po czym formują na nowo.

Trochę to przypomina system polityczny Francji, ale tam za przetasowania partii odpowiada też silna prezydentura: po każdej zmianie na najważniejszym fotelu system partyjny dopasowuje się do nowej sytuacji. W Polsce zmienność struktur partyjnych wynika jednak z ich słabości, a nie z siły prezydenta. Rekompensują to sobie wykorzystywaniem zasobów

państwa (i samorządów), bo inaczej nie znajdą środków na przetrwanie.

Nie ma w Polsce hojnie wyposażonych fundacji partyjnych, jak choćby w Niemczech, gdzie politycy po utracie władzy mogą przetrwać. Jeśli partie w Polsce chcą pić mleko, to muszą doić państwo. Robią to po cichu, nietransparentnie, gdyż obywatele uważają, że politycy powinni pić tylko wodę. Widać to i słysząc przy każdej debacie o refundacji wydatków wyborczych, wysokości subwencji na partie i podwyżkach dla posłów, senatorów i ministrów. Polacy są im przeciwni, więc politycy ich okłamują. W ten sposób obywatele sami przyczyniają się do wzrostu populizmu i tworzą byt, którego tak nie znoszą: łasę na pieniądze, bezideowego polityka, który angażuje się w walkę polityczną tylko po to, by się dostać do koryta.

Partie w Polsce tylko wtedy mają własne zasoby spoza budżetu, które pomagają im przetrwać klęski w wyborach, kiedy są mocno osadzone w samorządach. Tam jednak stosują te same metody. Burmistrz albo wójt zapewnia sobie większość w radzie, rozdając synekury radnym i członkom ich rodzin. Ale decentralizacja i niezależność samorządów od władzy centralnej to i tak jedyny mechanizm nieco osłabiający negatywne skutki w tym polskim neopatrymonializmie. Dzięki niemu zwycięzca w wyborach parlamentarnych i prezydenckich nigdy nie może brać wszystkiego. Przegrany (przynajmniej tym większym) zostają miasta i gminy. To jest jeden z powodów, dla których środowiska PO i PSL przetrwały ośmioletni okres PiS bez większych strat.

Paradoks polega na tym, że przez cały okres po 1989 r. Polacy w świetle sondaży popierali demokrację, ale partie – niezbędny jej element – uważali za szkodliwe. Instytucji kontrolnych, które hamują zapędy zwycięzców po wyborach i ograniczają pole manewru rządu, naród też nie uznał za zbyt ważne. Zwycięzca zmienia wszystko, więc co cztery lata wyborcy wybierają sobie nowego dyktatora, który przez następną kadencję narzuca mniejszości swój świat wartości, swoje akty prawne i swoje podatki, a potem opozycja może się mu odplacić tym samym. Wybory to nie transfer władzy zgodny z wolą elektoratu, ale spektakl o tym, jak jeden obóz upokarza i poniewiera drugim; rodzaj publicznej wendety, która kładzie podstawę pod kolejną zemstę – za cztery albo osiem lat.

W stronę Zimbabwe

Po ośmiu latach PiS Polska nie stanie się ponownie demokracją tylko dlatego, że tym państwem będą rządzić inne partie (o ile wygrają). Nadal egzekutywa królować będzie nad wszystkim, prokuratura będzie upartyjniona, mechanizmy kontroli nie będą funkcjonować. Fakt, Polska stanie się bardziej pluralistyczna – choćby w mediach państwowych – ale to tylko wynik podziału władzy między PiS (prezydent i TK) oraz nową koalicją (która przejmie Sejm, Senat i rząd). Nie będzie to wynik demokratyzacji systemu. Nie ma bowiem powodu, aby nowa koalicja sama pozbawiła się atutów, jakie on daje. Choćby możliwości pozbawienia ludzi z PiS synekur i rozdania ich swoim. To zaś oznacza, że Polska nie przestanie być państwem neopatrymonialnym tylko dlatego, że PiS przegra wybory.

Jesteśmy na równi pochyłej, ale na jej końcu nie musi być bagno, może też być w miarę ładne jezioro. Są bowiem na tym świecie państwa neopatrymonialne, które się całkiem szybko i sprawnie rozwijają (Kenia, Rwanda, Chile), i takie, które coraz bardziej upadają: Burundi, Zimbabwe, Wenezuela. Wszystkie łączy to, że chcą one uchodzić za demokracje, przeprowadzając wybory, i rzeczywiście, jak ostatnio w Burundi i Zimbabwe, dochodzi w nich do zmiany władzy.

Wszędzie tam jednak wąskie elity zawłaszczają państwo i wyprowadzają z niego pieniądze do swych struktur, a czasem wręcz na prywatne konta. Różnica polega na tym, gdzie te konta są i co się potem dzieje ze środkami na nich zgromadzonymi. W niektórych państwach znikają one w rajach podatkowych czy w luksusowych pałacach ich właścicieli – tak robią elity Rosji albo Zimbabwe. Gdzie indziej są reinwestowane w kraju jako środki prywatne członków elity albo stają się środkami inwestycyjnymi dla środowiska partyjnego.

Czy to jest strona, w którą powinniśmy zmierzać? Nie prowadzi ona ani do kapitalizmu, ani do demokracji. Umożliwia co najwyżej powolny rozwój i względną stabilizację tym, którzy trzymają się z dala od świata polityki. Skoku cywilizacyjnego żadne państwo w ten sposób nie zrobi.

© KLAUS BACHMANN



WOJCIECH OLKUŚNIK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Donald Tusk i Jarosław Kaczyński przed debatą wyborczą w studiu TVP.
Warszawa, 12 października 2007 r.

Historia bez hysterii

ANTONI DUDEK, HISTORYK:

Osiemnaście lat po debacie, która ukształtowała nasz system polityczny, Polacy pójść na wybory, w których główne role nadal odgrywać będą Kaczyński i Tusk. To absolutne mistrzostwo Europy, żeby tak zdominować scenę polityczną.

STEFAN SĘKOWSKI: Czy III RP to już historia?

ANTONI DUDEK: Historia niezakończona. Mamy nawet dwa dowody personalne tej trwałości. To Jarosław Kaczyński i Donald Tusk, którzy wtedy wkroczyli na scenę polityczną i mają się na niej świetnie do dziś. Dlatego wielu historyków uważa, że to nie jest jeszcze historia. Z kolei politolodzy rzadko uznają

lata 90. za współczesną polską politykę. W efekcie to jest naukowa ziemia niczyja.

Dlaczego III RP stała się kukutczym jajem nauki?

Historycy lubią okresy zamknięte – ostatnim jest PRL, a w wymiarze globalnym „zimna wojna”. W przypadku politologów grzebanie się w historii →



HALEY / SIPA / EAST NEWS

Głosowanie w wyborach parlamentarnych. Warszawa, 4 czerwca 1989 r.

→ najnowszej nie jest dobrze widziane, bo brak w niej tzw. teorii, która niestety zdominowała politologię. W rezultacie publikuje się prace naskórkowe, analizuje wyniki wyborów albo porównuje system partyjny do systemów innych krajów. Nie próbuje się wchodzić głębiej w istotę jego funkcjonowania.

Od 2005 r. Polską na zmianę rządzą dwie partie – Prawo i Sprawiedliwość oraz Platforma Obywatelska. Tymczasem ostatnie książki próbujące całościowo opisać PiS i PO ukazały się jako prace zbiorowe ponad dekadę temu pod redakcją Marka Migalskiego. Od tego czasu pojawiały się artykuły traktujące o takim czy innym aspekcie działalności obu tych formacji, ale znamienne, że politolodzy nie podejmują się próby opisanie, jak te partie funkcjonują od wewnątrz.

A jest o czym i dla kogo pisać. Jesienią pójdą głosować osoby młodsze niż ten podział.

Tak. W listopadzie 2005 r., tuż po wyborach odbyła się w Sejmie debata, pod-

czas której Donald Tusk demaskował powstanie „moherowej koalicji”, a Jarosław Kaczyński odpowiedział mu koncepcją niszczącego Polskę czworokąta (politycy-biznes-służby-przestępcy), którego częścią ma być PO. 18 lat później Polacy pójdą na wybory, w których główne role nadal odgrywać będą Kaczyński i Tusk. To absolutne mistrzostwo jeśli nie świata, to przynajmniej Europy, żeby tak zdominować scenę polityczną. Polacy mają tendencję do stabilizacji, choć nie lubią tych liderów, to i tak ich sobie osławiają.

Wyborcy wyborcami, ale nadal nie rozumiem, dlaczego naukowcy rzadko biorą się za taki wdzięczny temat.

Historycy mają wymówkę, że nie da się badać historii bez archiwów. Mają sporo racji, aczkolwiek to też przestaje mieć znaczenie, ponieważ w Polsce karcenia archiwalna wynosi 30 lat i można już dostawać materiały z początku lat 90. Politolodzy uważają zaś, że badanie bieżących procesów politycznych jest ryzy-

kowne i że lepiej, żeby robili to socjologowie. Ci z kolei napisali trochę ciekawych prac, ale i w nich tylko wyjątkowo próbowano opisać zakulisowe mechanizmy. Przykładem praca Kai Gadowskiej sprzed dwóch dekad o klientelizmie w spółkach węglowych. Takich książek jest niewiele, a obszarów jak ten węglowy – znacznie więcej. I nawet jeśli to nie jest czysta polityka, to ona tam ciągle wylazi.

Jakie są najciekawsze „białe plamy” ostatnich lat?

W polityce zagranicznej na pewno historia wchodzenia Polski do amerykańskiej strefy wpływów, a w polityce krajowej Program Powszechnej Prywatyzacji, szczegółowy przebieg tej największej afery gospodarczej na przykładzie konkretnych funduszy. Ciekawe byłoby też opisanie relacji państwo-Kościół albo rzeczywistego finansowania polityki. Mógłbym długo wymieniać tematy z okresu po 1989 r., czekające na swojego autora. Dopiero od kilkunastu lat zaczynamy na większą skalę porządnie opisywać PRL, a III RP to wciąż *terra incognita*.

Pan opisuje tę ziemię nieznaną na kanale „Dudek o Historii” na YouTube. Łatwo o czytelne wnioski w tych sprawach?

Przykładowo w kwestii „Olina” niczego twardego się nie dowiemy, dopóki coś się nie ruszy po stronie rosyjskiej, która ma na ten temat najciekawsze źródła. Ale na to się nie zanosz. Zaskakuje mnie jednak, że nie powstała solidna monografia o znacznie łatwiejszej źródłowo aferze Rywina.

O innych tematach, o których mówiłem w youtubowych wykładach, wiadomo więcej. Najwięcej oczywiście o genezie stanu wojennego – tu jest kilka książek, sam napisałem duży rozdział o rządzie Olszewskiego i jego upadku. Nie przypadkiem rozkręcając kanał biorę się za tematy przyciągające uwagę, jak rozmowy Okrągłego Stołu, o których też ukazało się kilka dobrych książek. Niebawem pojawią się odcinki o wyborach czerwcowych 1989 r. i „wojnie na górze”, nie zabraknie też planu Balcerowicza, który budzi potężne emocje.

Te tematy mają wspólny mianownik: budzą skrajne postawy. Jeśli mówimy o „nocy teczek”, to jedni twierdzą, że „olszewicy” chcieli

obalić prezydenta, a drudzy, że postkomuna z agentami chciała powstrzymać przemiany.

Spór o rząd Olszewskiego to tak naprawdę spór o bieżącą politykę. Jak ktoś dziś popiera PiS, to Olszewski jest dla niego bohaterem i za prawdę uznaje to, co Jacek Kurski ukazał w „Nocnej zmianie”, najbardziej wpływowym filmie propagandowym w dziejach III RP. Obecna opozycja uważa natomiast Olszewskiego za nieudacznika. Mnie zależy na tym, aby ten kanał studiował emocje i skłaniał, zwłaszcza młodszych widzów, do samodzielnej refleksji, że historia rzadko bywa czarno-biała. Stąd motto kanału: „O historii bez hysterii”.

À propos historii: Balcerowicz jest ratownikiem czy grabarzem polskiej gospodarki?

Z planem Balcerowicza sprawa jest skomplikowana. Zwolennicy PiS jednoznacznie go potępiają, ale i po stronie anty-PiS jest coraz mniej liczne grono obrońców; pojawiło się też zróżnicowane grono krytyków, od skrajnej prawicy po skrajną lewicę. Tymczasem Balcerowicz skończył rządy nad polską gospodarką pod koniec 1991 r., a odzyskał je pod koniec 1997, kiedy został ministrem finansów w rządzie Buzka. Przez te 6 lat zarządzili polską gospodarką różni ludzie i nikt nie odwrócił planu Balcerowicza, z Grzegorzem Kołodką na czele. Choć ostro krytykował Balcerowicza w szczegółach, to nawet gdyby chciał, i tak nie był w stanie zatrzymać zmiany geopolitycznej zachodzącej w latach 90., której częścią były przemiany gospodarcze.

Wielu krytyków Balcerowicza uważało, że można było zjeść ciastko i zostawić je na później. Czyli dołączyć do Zachodu politycznie i militarnie, ale już nie gospodarczo. A to było niewykonalne. Co do szczegółów oczywiście można było to zrobić lepiej, np. dać więcej pieniędzy na obszary popegeerowskie. Ale to by nie uratowało mnóstwa innych państwowych przedsiębiorstw, których produktów nikt nie chciał kupować, nawet ich pracownicy.

Balcerowicz, niekoniecznie ten realny, służy jako personifikacja transformacji i jako taki budzi skrajne emocje. Ale czy my, Polacy, mamy jakiś wspólny mianownik, patrząc na historię III RP?

Ukoronowaniem
nowej polityki historycznej
będzie ustanowienie
święta państwowego
w miejsce nieszczęsnego
11 listopada,
**opartego na zgniłej
i nieprawdziwej
historycznie podstawie.**

Nie. Poza tym, że wyraża większość się cieszy, że się ona pojawiła w miejsce PRL. I na tym koniec.

Nie mamy wspólnej tożsamości, jeśli chodzi o myślenie o historii?

Dotyczy ona wcześniejszego okresu. Przeważa myślenie martyrologiczno-powstańcze, idealizujące I RP jako unikat na skalę światową, zniszczony przez reżimy absolutystyczne: Prusy i Rosję. A potem zaczyna się chwalenie kolejnych powstań i odnoszonych w nich moralnych zwycięstw. To się układa w pewną całość, którą większość akceptuje. Mniejść próbuje to podważać, co widać najbardziej przy okazji dyskusji o powstaniu warszawskim.

Od lat mam wrażenie, że 1 sierpnia świętujemy zwycięskie powstanie, którym przecież nie było, a nie dzień pamięci o jego ofiarach. Rządy PiS stanowią dla mnie apogeum takiego myślenia, bowiem dla nich nawet żołnierze Armii Krajowej, która przegrała walkę o demokratyczną Polskę, nie okazali się optymalnym wzorem do naśladowania. PiS wybrał sobie do tej roli tzw. żołnierzy wykłetych, czyli nieliczną partyzantkę antykomunistyczną, która urosła do rangi symbolu patriotyzmu. Ale jakiego? Przecież to była na tle AK grupa desperatów, która przez chwilę liczyła na III wojnę światową, a potem – po amnestii z 1947 r. – już bardzo nieliczna i uważająca, że lepiej zginąć w walce, niż dać się zakatować w więzieniu przez UB.

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, pomysł Lecha Kaczyńskiego, zrealizował prezydent

Bronisław Komorowski. Pamięć o nich łączy chyba wszystkich?

Ja też byłem za tym, żeby o nich pamiętać i powiedzieć coś dobrego. Ale najpierw wypada mówić o tych naszych przodkach, którzy rozumieli, że trzeba wiedzieć, kiedy walka zbrojna ma sens. A zatem o legionistach i żołnierzach zwycięskiej wojny 1920 r. oraz działaczach pierwszej Solidarności i zapowiadającej ją opozycji demokratycznej. Później o tych, którzy próbowali ratować II RP, która była nie do uratowania. Czyli o uczestnikach wojny obronnej 1939 r., akowcach i działaczach PSL Mikołajczyka. A dopiero później o żołnierzach antykomunistycznej partyzantki, a nie odwrotnie. Trzeba ważyć racje, znaczenie i przesłanie. Tymczasem rząd PiS odwrócił to myślenie, każąc nam wielbić garstkę patriotów, rzekomo jedynych sprawiedliwych, wobec zdegenerowanej i zagenturyzowanej reszty. To ma być oczywiście analogia do dzisiejszej sytuacji, w której Jarosław Kaczyński serio opowiada, że jedyną polską partią jest jego formacja, a pozostali to albo agenci rosyjscy i niemieccy, albo w najlepszym razie pożyteczni idioci.

Pan chyba nie lubi wspólnego mianownika w historii. Jak się okazało, że o żołnierzach wykłetych pamięta i PiS, i PO, to jest Pan przeciw.

Ale jaki to wspólny mianownik? Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych zatwierdził Bronisław Komorowski, zgoda, ale czy tu występuje jakiś konsensus? Znam wielu ludzi, którzy wyzywają żołnierzy wykłetych od bandytów, morderców i degeneratów. Jeśli jest konsensus, to już raczej wokół powstańców warszawskich. Nawet jeśli ktoś krytykuje samo powstanie, to szanuje powstańców. Ja bym oczywiście chciał nieco szerszego konsensusu, tylko to jest nierealne. Nasza kultura polityczna jest oparta na permanentnej walce, więc spieramy się też o historię. Jakbyśmy się zgodzili w tej sprawie, to byśmy mogli się – nie daj Boże – zgodzić jeszcze w innych kwestiach. Cały mechanizm polaryzacyjny – to cudowne narzędzie, które upowszechniło PiS z PO, by mobilizować wyborców – straciłoby na znaczeniu.

Obie partie wywodzą się z Solidarności, i to mógłby być wspólny mianownik.

→ Tymczasem każdy chce być właścicielem tego sztandaru. Jedni mają Gwiazdów i Walentynowicz, drudzy Wałęsę i Borusewicza. Jedni powiedzą: po naszej stronie jest dziś Solidarność, drudzy odpowiedzą: marka została zawłaszczona. Jednak mam nadzieję, że akurat tradycja Solidarności będzie tym wspólnym mianownikiem. Przez najbliższe 10 lat będą odchodzili ostatni przywódcy historycznej Solidarności, którzy nigdy się nie zgodzą, by druga strona mogła się przyznać do tej tradycji. Ale już za 10 lat okaże się, że to kapitalny towar eksportowy polskiej polityki historycznej. Ukoronowaniem będzie ustanowienie nowego święta państwowego, w miejsce nieszczonego 11 listopada.

Nieszczonego? Akurat ono nie budzi sporów i łączy.

Łączy na zgniłej i nieprawdziwej historycznie podstawie. 11 listopada był sanacyjnym chwytem marketingowym, wymyślonym pod koniec lat 30. po to, by podtrzymać kult Marszałka. Gdyby nie spłot szczęśliwych dla Piłsudskiego okoliczności powojennych, czyli przejęcia władzy przez komunistów, którzy to święto zwalczyli, a później wzięcia go sobie na sztandar przez demokratyczną opozycję, nikt by o nim nie pamiętał. Teraz możemy je zastąpić nowym świętem – 31 sierpnia albo 4 czerwca. Wybory kontraktowe to wydarzenie będące udziałem milionów Polaków, którzy demokratycznie pokazali czerwoną kartkę komunistom.

Te wybory nie były jednak w pełni demokratyczne i były efektem zgniłego kompromisu z komunistami.

Nie były w pełni demokratyczne, ale były plebiscytem na temat dalszego istnienia PRL. A 11 listopada tym bardziej nie był demokratyczny. Kolaboracyjna Rada Regencyjna dała uzurpatorowi Piłsudskiemu pełnię władzy nad załóżkiem sił zbrojnych. Gdzie tu demokracja?

Także wybory kontraktowe czy porozumienia sierpniowe to wydarzenia, w których brała udział duża część obecnych uczestników sporów o historię i współczesność. Czy młodzi ludzie, którzy ich nie przeżywali, spierają się o nie tak samo zażarcie?

Zainteresowanie jest nieduże, ale mnie to nie dziwi. Nowoczesne społeczeństwa



ARCHIWUM PRYWATNE

ANTONI DUDEK jest historykiem, politologiem i publicystą, profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Autor kanału „Dudek o Historii” na YouTube.

co do zasady mało interesują się historią. To myśmy mieli taki okres w latach 80. XX wieku, kiedy istniało gigantyczne zainteresowanie historią, w ramach sprzeciwu wobec komunizmu i jego zakłamania. Stąd popularność drugiego obiegu wydawniczego, w którym więcej niż co druga pozycja dotyczyła historii. W latach 90. nastąpił odwrót, czego symbolem było hasło wyborcze Aleksandra Kwaśniewskiego „Wyberzmy przyszłość”. Ale nie mam poczucia, by to było coś złego. Dlaczego ludzie mają się interesować akurat historią, skoro jest tyle innych spraw?

Młodych ludzi nie zajmuje historia?

Nie mam wrażenia, by historia była dominująca w ich dyskusjach. Jak wynika ze statystyk YouTube'a, mój kanał najczęściej odwiedzają ludzie między 30. a 45. rokiem życia. W komentarzach pod filmami np. o aferze Rywina piszą: „byłem wtedy dzieckiem i starsi się o to kłócili, dzięki temu materiałowi dowiedziałem się, o co właściwie się kłócili”. To się powtarza. Mam wrażenie, że tak, jak wydłużyło się życie przeciętnego Polaka o ok. 10 lat od czasu upadku PRL – co jest zresztą największym osiągnięciem III RP – tak też wydłużył się okres dojrzewania. Sprawy publiczne, którymi interesowali się u progu III RP już dwudziestolatki, dziś nurtują raczej trzydziestolatków. Dlatego znacznie mniej studentów interesuje się obecnie polityką niż ich rówieśników sprzed 30 lat.

Może ta sytuacja daje nadzieję na „odhistorycznienie” debaty publicznej?

Jeśli Polska się nie stoczy w kierunku rządów populistyczno-autorytarnych i pozostaniemy na gruncie demokracji liberalnej, to nasza wspólnota powinna zbudować swoją tożsamość na demokratycznych wzorcach. Szeroki konsensus może opierać się na wspólnej tradycji pierwszej Solidarności. Była oddolnym, masowym ruchem społecznym, który skupiał ludzi o bardzo różnych poglądach. Jej program z 1981 r., „Samorządnej Rzeczypospolitej”, wskazywał jednak pewien wspólny mianownik, który zawiera się w słowach: decentralizacja i samorząd. Dlatego w ramach Inkubatora Umowy Społecznej, z którym jestem związany, przygotowujemy na maj książkę „Umówmy się na Polskę”, napisaną przez grono ponad dwudziestu osób o różnych poglądach. Kreslimy w niej wizję kolejnej reformy ustrojowej, opartej na paradygmacie samorządowym. Pokazujemy, jak w warunkach zdecentralizowanego, ale wciąż unitarnego państwa mogłoby wyglądać województwo konserwatywne, chadeckie czy progresywne. Mam świadomość, że ten projekt jest teraz nierealny, ale nie mam też wątpliwości, że obecna dekada w pełni ujawni, że nie da się utrzymać rozwoju Polski w dotychczasowych ramach ustrojowych. Czekają nas albo kontynuacja centralizacji, na końcu której może się pojawić system autorytarny, albo też – na co mam nadzieję – proces odwrotny.

W tym może pomóc tradycja Solidarności sprzed ponad 40 lat?

Tak, choćby właśnie ogólne przesłanie samorządu jako metody rozwiązywania wielu lokalnych problemów i samoorganizacji społecznej. Do zainteresowania się tą spuścizną może przekonać choćby zaczynający się właśnie kryzys, z którego ja-koś będzie trzeba wyjść.

Wtedy też był kryzys...

Ten kryzys, podobnie jak w PRL, nie ma tylko wymiaru gospodarczego. Gdy się PRL załamał, zrobiono nie tylko reformę gospodarczą, ale też polityczną. Myślę, że obecny kryzys, który moim zdaniem będzie najśmieszniejszy od 1989 r., wyzwole w Polakach myślenie o konieczności głębszych zmian.

© Rozmawiał STEFAN SĘKOWSKI

Przywileje na talerzu

ANNA GOLUS

Na nadwagę i otyłość najbardziej narażone są w Polsce osoby z niższych warstw społeczno-ekonomicznych. I to im najtrudniej zrzucić zbędne kilogramy.

WEDŁUG DANYCH NFZ JUŻ PONAD połowa dorosłych Polaków – 53 proc. kobiet i aż 68 proc. mężczyzn – ma nadwagę, co czwarty choruje na otyłość, a trzy miliony na cukrzycę typu 2. Problem nadmiernej masy ciała i związanych z nią chorób dotyka też coraz większej liczby dzieci i młodzieży – 20 proc. dziewcząt i 31 proc. chłopców żyje z nadwagą; w tej grupie jest też 5 proc. dziewcząt i 13 proc. chłopców cierpiących wręcz na otyłość. Problem stale rośnie, dotyczy coraz młodszych (nadwagę ma co trzeci polski ośmiolatek), a wśród wielu czynników ryzyka znajduje się – paradoksalnie – ubóstwo.

Siostra biedy

– Tzw. talerz zdrowego odżywiania, który zastąpił niedawno piramidę żywieniową i którego połowę powinny zajmować warzywa i owoce, jest przeznaczony dla osób o wysokim statusie społeczno-ekonomicznym – twierdzi Maria Mamczur, dziennikarka, socjolożka, autorka książki „Gruba. Reportaż o wadze i uprzedzeniach”. – One posiadają nie tylko pieniądze na zdrową żywność, ale również świadomość, jak bardzo jest ona ważna, a także istotne cechy i umiejętności, np. odporność na reklamy i nawyk czytania etykiet. Osoby, które nie mają takich zasobów, zazwyczaj nie czytają list składników, tylko po prostu wrzucają do koszyka najtańsze produkty, często wręcz szkodliwe dla zdrowia.

– Zdrowe odżywianie to przywilej – uważa psychodietetyczka Małgorzata Akkus. – Promujemy zdrowe nawyki,

wiedząc, że wiele osób nie może sobie na nie pozwolić. 400 gramów warzyw i owoców dziennie, zboża pełnoziarniste, dobre źródła białka i tłuszczu, orzechy, przyprawy, niekorzystanie z przetworzonych produktów, przygotowywanie posiłków w domu: to wszystko jest dobre i zdrowe, szkoda tylko, że nie dla każdego dostępne. Cała edukacja żywieniowa jest oparta na przywilejach.

Akkus osobiście doświadczyła, że – jak pisze na swoim blogu – „otyłość jest siostrą biedy”.

– Dorastałam w ubogiej rodzinie, w której jadano głównie węglowodany – mówi. – Biały chleb, makaron, dżemy, soki i ziemniaki. A jak chleb, to z margaryną, z dżemem, z pasztetem, odsmażany na oleju. Ziemniaki gotowane, odsmażane, z kapustą kiszoną. Makaron z olejem i bułką tartą. Mimo dużej aktywności fizycznej od trzeciego roku życia byłam gruba. Gdy w wieku 12 lat po raz pierwszy zaczęłam się odchudzać, bo wszyscy wokół tego oczekiwali, w domu bieda aż pisała. Przeszłam wtedy z kiepskiej diety na jeszcze uboższą, praktycznie głodówkę. Nie miałam wówczas wiedzy o zdrowym odchudzaniu, ale nawet gdybym miała, nie mogłabym jej zastosować, bo mojej rodziny nie byłoby na to stać.

Dr hab. Michał Brzeziński, pediatra i specjalista z zakresu leczenia otyłości, jeden z twórców realizowanego przez Uniwersyteckie Centrum Kliniczne w Gdańsku programu „6-10-14 dla Zdrowia”, uważa, że otyłość dziecięca to bar-

dzo świeży problem. – Nie istniał wcześniej, w biedzie, ale dziś bieda jest na tyle bogata, że można być w niej otyłym, na tyle jednak biedna, że nie można jeszcze być szczupłym. Staram się przekonywać pacjentów, że zdrowe odżywianie nie musi być kosztowne, bo np. kasze są tanie, sezonowe warzywa i owoce też są niedrogie i można je mrozić, a makaron pełnoziarnisty jest bardziej sycący niż biały. Ciężko mi jednak postawić się w sytuacji osoby, która ma na przeżycie 10 czy 15 zł dziennie. Do takich sytuacji w cywilizowanym kraju w ogóle nie powinno dochodzić.

Lepiej nie wiedzieć

Według GUS w 2021 r. w skrajnym ubóstwie (minimum egzystencji, stan zagrożenia zdrowia i życia) żyło 4,2 proc. Polaków. Poniżej „ustawowej” granicy ubóstwa (uprawniającej do korzystania ze świadczeń z pomocy społecznej) znalazło się 6,5 proc. naszych obywateli, a relatywnie ubogich osób było 12 proc. (próg stanowi tu 50 proc. średnich miesięcznych wydatków gospodarstw domowych w Polsce). W sferze niedostatku, czyli poniżej minimum socjalnego, żyło w sumie 41 proc. Polaków.

Jak wynika z badań przeprowadzonych w 2022 r. dla Szlachetnej Paczki, obecnie może być jeszcze gorzej. Aż 45 proc. ankietowanych przyznało, że oszczędza na jedzeniu.

– Jadłospis układałam tak, by się na jeść i by było tanio, i jestem świadoma tego, że nie odżywiam się zdrowo →

PIOTR KAMIONKA / REPORTER



Jedzenie sprzyjające tyciu łatwiej kupić. Jest szybsze w przyrządzaniu, wszędzie dostępne i wydaje się smaczniejsze.

→ – przyznaje Elżbieta, sprzątaczką z miasteczka w Małopolsce. – Warzyw i owoców jem bardzo mało, kupuję najtańsze produkty, głównie chleb, bułki, margarynę, wędliny, sery, dżemy. Wiem, że tanie żarcie jest byle jakie, że nie wiadomo, co w nim jest, i lepiej tego nie wiedzieć tak naprawdę. Tylko kiełbasę kupuję droższą, bo w tej chwili ta za 15 zł nadaje się tylko do wyrzucenia, nawet mój kot jej nie chce. I pokarm dla kota też kupuję droższy, bo tym z najniższej półki albo gardzi, albo je i wymiotuje.

– Gdy przez jakiś czas miałam problemy finansowe, nie wpłynęło to na moją wagę, za to przytył mój pies, bo zamiast wysokogatunkowej karmy musiałam kupować mu najtańszą – dodaje Maria Mamczur. – Inna sprawa, że nawet nie mając pieniędzy prowadziłam w miarę zdrowy tryb życia, ruszałam się, jadłam warzywa. Zamieszkałam też na wsi i korzystałam z przydomowego ogrodu, sama piekłam razowy chleb na zakwasie. Nie mogłam sobie tylko pozwolić na uzupełnienie diety w wysokogatunkowe białko, bo ryby czy owoce morza były poza moim zasięgiem. Obserwowałam jednak, jak trudno jest zadbać o formę innym, zwłaszcza tym, którzy po ciężkiej pracy fizycznej nie mają już ani siły, ani ochoty na ćwiczenia.

Mechanizmów, które powodują, że ludzie żyjący w niedostatku mogą borykać się z problemem nadwagi i otyłości, jest jednak więcej. – Jedną z niewielu przyjemności, na jaką mogą sobie pozwolić osoby doświadczające problemów finansowych, jest jedzenie, zwłaszcza słodczy – mówi dr hab. Brzeziński. – Gdy pieniędzy brakuje i nie możemy w żaden inny sposób podnieść poziomu zadowolenia, bo nie stać nas na wyjazd na wakacje, na kino, basen, kupujemy słodczy „na osłodę” życia. One nadal bywają bardzo tanie, bo tzw. podatek cukrowy dotyczy tylko napojów. Ale nie chodzi o to, że słodczy z założenia są złe, bo nie są – każdy z nas ma prawo raz na jakiś czas zjeść coś słodkiego. Jeśli jednak to jedyny sposób na poprawienie dzieciom humoru, może wytworzyć bardzo zły mechanizm zajądania stresów i smutków oraz uprzyjemniania sobie życia za pomocą cukru.

Małgorzata Akkus: – Jedzenie sprzyjające tyciu łatwiej kupić. Jest szybsze w przyrządzaniu, wszędzie dostępne

Wielu otyłych pacjentów ma niedobory żywieniowe.

Jedzą produkty bardzo tłuste
lub dosładzane,
bogate w energię,
ale ubogie w składniki
odżywcze.

i wydaje się przyjemniejsze. Jednak talerz zdrowego żywienia też możemy stworzyć tanio. Marchew, jabłka, kiszona kapusta, kasze i strączki nie są przecież tak drogie. Żeby jednak to wszystko było razem smaczne, potrzeba przypraw, dodatków, różnorodności, wiedzy, czasu, umiejętności i energii.

Warzywa dla bogatych

Martín Caparrós w głośnej reporterskiej książce „Głód” stwierdził, że obecnie osoby otyłe „nie są przeciwieństwem głodujących, są drugą stroną tego samego medalu”, i opisał amerykańskie getta biedy, w których nie ma sklepów ze zdrową żywnością, są jedynie najtańsze dyskonty. Obliczył też, że w Stanach Zjednoczonych za 3 dolary można kupić 300 kilokalorii w postaci owoców i warzyw albo 4500 kilokalorii w postaci frytek, ciastek i napojów gazowanych. W Polsce nie jest aż tak źle, ale różnica między ceną zdrowej i niezdrowej żywności stała się bardzo duża.

– Dzisiaj nie byłoby mnie stać ani na usługi dietetyczki, ani na dietę, którą dla mnie opracowała – przyznaje Szymon, który kilka lat temu odchudzał się, korzystając z profesjonalnej pomocy. – Teraz bym tego nie udźwignął, choć zarabiam więcej.

Problem nierównego dostępu do zdrowszych produktów spożywczych pogłębia jeszcze inflacja. GUS co roku prowadzi badania budżetów gospodarstw domowych i od lat opisuje uwarunkowane czynnikami społeczno-ekonomicznymi różnice w spożyciu wielu artykułów. W analizie budżetów za 2021 rok czytamy: „Podobnie jak w latach poprzednich w gospodarstwach domowych osiagających najwyższe dochody (...) w porównaniu z gospodarstwami domowymi o najniższych dochodach (...) spożywano

przeciętnie miesięcznie na osobę więcej ryb i owoców morza, owoców, masła, serów i twarogów, jogurtów, wód mineralnych lub źródłanych, soków owocowych i warzywnych, warzyw oraz mięsa. Natomiast w gospodarstwach domowych o najniższych dochodach (...) spożywano nieco więcej margaryny i innych tłuszczów roślinnych”.

Zgodnie z aktualnymi zaleceniami żywieniowymi należy spożywać co najmniej 400 gramów warzyw (oprócz skrobiowych) i owoców dziennie. Autorzy biuletynu VII Narodowego Kongresu Żywieniowego „Warzywa i owoce dla zdrowia”, który odbył się 26 listopada 2022 r., ubolewali (dokonując obliczeń na podstawie analiz GUS), że Polacy jedzą tych produktów za mało: „Średnie spożycie owoców, warzyw oraz ich przetworów (bez soków) w gospodarstwach domowych w Polsce w 2020 r. wyniosło 292 g/osobę/dzień, co stanowiło 73 proc. zalecanej ilości przez WHO. Dla porównania, w roku 2010 przeciętne spożycie w przeliczeniu na osobę wyniosło 281 g/dzień, czyli 70 proc. zalecanej ilości”. Autorzy nie porównywali jednak przeciętnego spożycia warzyw i owoców w najzamożniejszych i najmniej zamożnych gospodarstwach domowych w Polsce. A szkoda, bo zestawienie takich danych można by zatytułować „Warzywa, owoce i zdrowie dla wybranych”.

Według najnowszych danych GUS w 2021 r. średnie spożycie warzyw i owoców we wszystkich gospodarstwach w Polsce wyniosło 293 gramy dziennie na osobę, przy czym w gospodarstwach najzamożniejszych (20 proc. gospodarstw o najwyższych dochodach, przeciętny miesięczny dochód rozporządzalny na osobę: 4099 zł) spożywano średnio 380 gramów dziennie na osobę, a w niezamożnych (20 proc. gospodarstw o najniższych dochodach, przeciętny dochód na osobę: 652 zł/m-c) – 237 gramów dziennie na osobę. Pozostałe 60 proc. Polaków spożywało więcej warzyw i owoców niż przedstawiciele grupy ubogiej, ale mniej niż przedstawiciele najbogatszej – zarazem jedynej, która zbliża się do zalecanych 400 gramów warzyw i owoców dziennie. I to nie zmienia się od lat.

Jedynie, co ulega zmianie, to spożycie cukru: bez względu na dochody jemy go coraz mniej w postaci nieprzetworzonej, za to coraz więcej cukru przetworzonego, dodawanego do słodczy,

przekąsek, gotowych potraw i różnych produktów spożywczych, zwłaszcza słodzonych napojów, które wyjątkowo sprzyjają tyciu.

Ukryty głód

Komisja Europejska już w 2005 r. zwracała uwagę na fakt, że nierówności społeczne i ekonomiczne mają związek z rozwojem epidemii otyłości. W dokumencie pt. „Zielona Księga. Promowanie zdrowego żywienia i aktywności fizycznej: europejski wymiar zapobiegania nadwadze, otyłości i chorobom przewlekłym” czytamy: „Wybór żywności jest określony zarówno przez preferencje indywidualne, jak i czynniki społeczno-ekonomiczne. Pozycja społeczna, dochód oraz wykształcenie są podstawowymi determinantami wpływającymi na rodzaj stosowanej diety oraz aktywności fizycznej”. Dwa lata później w kolejnym dokumencie poświęconym temu problemowi („Biała Księga. Strategia dla Europy w sprawie zagadnień zdrowotnych związanych z odżywianiem, nadwagą i otyłością”) KE stwierdziła: „Problem otyłości występuje częściej wśród przedstawicieli niższych grup społeczno-ekonomicznych, co wskazuje na konieczność zwracania szczególnej uwagi na społeczny wymiar tego zagadnienia”.

Ten sam aspekt od dawna podkreśla również WHO (np. w Europejskiej Karcie Walki z Otyłością z 2006 r.) oraz UNICEF, który w raporcie z 2019 r. na temat odżywiania dzieci zauważa, iż ubóstwo

Średnie spożycie warzyw i owoców w Polsce wynosi 293 gramy dziennie na osobę.

Daleko nam do zalecanych 400 gramów.

To się nie zmienia od lat.

przyczynia się nie tylko do niedożywienia, ale również do otyłości najmłodszych. Oraz do tzw. ukrytego głodu, czyli niedoboru niezbędnych składników odżywczych, np. witamin czy mikroelementów, który nie wynika z braku pożywienia, tylko z jego nieodpowiedniej jakości. W praktyce to niedożywienie, którego nie widać.

– Wielu pacjentów cierpiących na chorobę otyłościową ma niedobory żywieniowe – mówi dr hab. Brzeziński. – Jedną z przyczyn ich choroby może być nieregularne spożywanie posiłków, np. niejedzenie w ciągu dnia i zjadanie głodu w godzinach popołudniowych lub wieczornych, zwłaszcza pożywieniem niskiej jakości. Takie produkty, z reguły bardzo tłuste i dosładzane rafinowanymi cukrami, są bogate w energię, ale ubogie w składniki odżywcze, i nie przynoszą żadnych korzyści zdrowotnych, a jedynie tzw. puste kalorie.

Niestety, te produkty bywają bardzo tanie, więc są wybierane przez osoby o niższych dochodach, co w długofalowej perspektywie może prowadzić do pogorszenia ich zdrowia, w tym wystąpienia nadmierowej masy ciała czy choroby otyłościowej.

– Ja mam otyłość i anemię – przyznaje Elżbieta. – Pracuję fizycznie i kiedyś powiedziała lekarzowi, że skoro tak „zapierdzielam”, to powinnam być chuda jak szczapa. A on na to, że od ciężkiej pracy się nie chudnie, trzeba jeszcze poćwiczyć. Tylko że ja po pracy nie mam już siły! Lekarz wysłał mnie do dietetyczki, ale nie stać mnie na jej usługi. Uważam, że jeśli otyłość jest chorobą cywilizacyjną, to dietetyk powinien przyjmować na NFZ. Choć przy tych cenach zdrowego jedzenia pewnie nic by to nie dało.

Narodowy Fundusz Zdrowia nie refunduje usług dietetyków, ale problem widzi. I dlatego na stronie diety.nfz.gov.pl publikuje opracowane przez specjalistów gotowe plany żywieniowe. Wystarczy się zarejestrować i wpisać dane (wzrost, wiek, płeć), by system obliczył nasze BMI oraz zapotrzebowanie energetyczne, po czym wybrać rodzaj diety. Do wyboru są „Nadwaga i otyłość”, „Wege + ryby”, „Cukrzyca”, „Depresja”, „Senior” i „Rodzina”. Aby poznać szczegółowy jadłospis z przepisami i listą zakupów, trzeba jednak korzystać z internetu. Elżbieta, choć może wydawać się to dziwne w obecnych czasach, dostępu do sieci nie ma.

© ANNA GOLUS

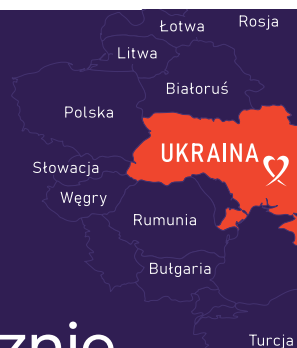
REKLAMA



 Polska Misja
Medyczna

By rodzić bezpiecznie.
Na całym świecie.

www.pmm.org.pl



TOMASZ

Stawiszyński:

Ktoś po drugiej stronie



KIEDY TYLKO NATRAFIAM NA KOLEJNĄ wzmiankę o sztucznej inteligencji, mającej ponoć już niebawem zastąpić artystów i filozofów, nieodmiennie przypominam sobie oszałamiającą literacką wizję, która, jak sądzę, może być dla współczesnych debat całkiem ożywym kontekstem. Chodzi o „Bibliotekę Babel” niezrównanego Borgesa, opowiadanie, które, gdy się z nim w wieku kilkunastu lat zetknąłem, fundamentalnie zmieniło mój sposób widzenia świata. Jak? Do dziś trudno mi to jednoznacznie ująć. Ale że sprawy się mają dalece nie w ten sposób, w jaki nam to podpowiada zwodnicze poczucie oczywistości charakterystyczne dla codziennej rutyny – tego od czasu lektury Borgesa jestem niemal pewien. Niemal, bo być czegoś całkiem pewnym po tej lekturze już niepodobna.

Niepodobna także twórczości Borgesa jakkolwiek zaszufladkować, jest to bowiem coś z pogranicza prozy, eseju, mitu, legendy, traktatu filozoficznego, a także koanu czy mistycznej przypowieści. Z tymi ostatnimi gatunkami łączy genialnego Argentyńczyka zwłaszcza umiejętność doprowadzania czytelników i czytelników gdzieś do samej granicy tego, co w ogóle możliwe do wypowiedzenia. Język, którym się posługujemy, opowieści, które tworzymy, stanowią odrębne, wymykające się nam uniwersum, ale to, co poza nim – mówi Borges – jest bodaj jeszcze dziwniejsze. Swoimi tekstami – tak jak to z pomocą właściwych sobie środków czyniło wielu adeptów i adeptek prozy, poezji, filozofii, teologii, baśni, malarstwa, fotografii czy niezliczonych innych form sztuki – kieruje on naszą uwagę w stronę niewypowiadalnego. Co się zaś w nas z tym dzieje dalej – to już jest inna sprawa, to jest już intymne, unikalne, być może źródłowo niemożliwe do przekazania doświadczenie. Rodzi się ono jednak właśnie z tej nowej, nieznanej przedtem perspektywy, z której – za pośrednictwem tekstu czy obrazu – zaczynamy patrzeć na rzeczywistość. Perspektywę, którą ktoś nam nagle wskazuje jako możliwą, a której my sami wcześniej nie dostrzegaliśmy.

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie,
I Wydział Cywilny, pod sygnaturą akt I Ns 1393/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Mirosławie Halinie Jankowskiej, c. Edmunda i Ludmiły Wacławay, z d. Starzyńskiej, zm. 8 listopada 2021 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającej w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE

Czy taką perspektywę może wskazać sztuczna inteligencja? Czy rzeczywiście każda powieść, każde opowiadanie, każdy wiersz, każdy w ogóle tekst jest – jak brawurowo przekonuje narrator „Biblioteki Babel” – wyłącznie określoną kombinacją liter alfabetu oraz znaków przestankowych? Podobnie jak każdy obraz, utwór muzyczny czy rzeźba są tylko określoną kombinacją kolorów, dźwięków czy kształtów? Czy zatem, jeśli zadisponujemy odpowiednio zaawansowanym komputerem kwantowym – o gigantycznej, niewyobrażalnej dziś mocy obliczeniowej – a także wystarczająco zaawansowanym chatbotem, będziemy w stanie w ułamku sekundy uzyskać, poprzez automatyczny proces generowania nieskończenie wielu kombinacji, dajmy na to, komplet dzieł z Biblioteki Aleksandryjskiej? I w ogóle wszystkie napisane, jak również nienapisane jeszcze dotąd książki, które ktoś by kiedyś napisał, ale uprzedziła go w tym sztuczna inteligencja, sprytnie rachując literami, znakami przestankowymi, słowami, a także – *last but not least* – spacją? Oraz wszystkie namalowane i nienamalowane obrazy naszych ulubionych malarek i malarzy, wszystkie nagrane i nienagrane utwory naszych ulubionych zespołów i wykonawców? Bo przecież każde dzieło jest w ostateczności tylko efektem tasowania bazowych składników, a przynajmniej daje się do tego sprowadzić? I dlatego – co było do okazania – sztuczna inteligencja faktycznie już niebawem zastąpi nas wszędzie tam, gdzie stosujemy jakiejkolwiek środki stylistyczne, będzie bowiem posługiwać się nimi znacznie sprawniej i efektywniej (oraz efektowniej) niż najbardziej nawet utalentowany przedstawiciel lub przedstawicielka *homo sapiens*? Czy tak właśnie się stanie w nieodległej przyszłości?

Szczerze mówiąc – nie sądzę. Nie tylko dlatego, że – przynajmniej na razie – generowane przez sztuczną inteligencję teksty, obrazy, a nawet utwory muzyczne (sprawdźcie choćby „nowy kawałek Nirvany” pod tytułem „Drowned In The Sun”) noszą znamiona schematyzmu i przewidywalności. Po prostu są słabe i tyle. Ale także, a może przede wszystkim dlatego, że – tak mi się przynajmniej wydaje – w recepcji literatury, muzyki, malarstwa czy dowolnej innej sztuki unikalna jest właśnie ta szczególna wspólnota doświadczenia, jaka się rodzi pomiędzy twórcą a odbiorcą. Prawdziwie poruszająca sztuka – czy w ogóle każda prawdziwie poruszająca opowieść, niezależnie od tego, czy snuje się ją w języku obrazu, pojęcia czy dźwięku – nie jest przecież tylko grą szklanych paciorków, lecz również, w najgłębszym sensie, aktem komunikacji. Jeśli więc dzisiaj głęboko porusza nas grecka tragedia albo obraz namalowany kilkaset lat temu, to dzieje się tak dlatego, że... przemawia poprzez nie czyjś głos. Głos, który wyraża jakieś znajome nam emocje czy dylematy, bo – tak jak my – staje wobec niezrozumiałego, skomplikowanego świata i próbuje nadać mu jakiś sens, wypowiedzieć swój ból, zachwyt albo przerażenie.

Tego głosu nie słychać w twórcach sztucznej inteligencji, bo po drugiej stronie nie ma – przynajmniej na razie – żadnego podmiotu. A jeśli nawet kiedyś się on pojawi, będzie to podmiot od nas nieskończenie różny. Zapewne z zaciekawieniem posłuchamy, co ma nam do powiedzenia o świecie, w którym wtedy wspólnie będziemy mieszkać, ale przecież nie zastąpi on nigdy tych, którzy dzielą z nami fundamentalną kondycję czujących, myślących, cierpiących, przemijających i zdolnych do autorefleksji istot.

©



„TP” 1-2 / 2023

Algorytm nie ma szans

Zaintrygował mnie artykuł Łukasza Lamży dotyczący sztucznej inteligencji i możliwości generowania przez nią tekstu oraz grafik. Jednak po zapoznaniu się z próbkami śmiałem twierdzić, że autorki i autorzy „Tygodnika” nie mają się czym przejmować – już po nagłówkach wprawne oko czytelnika jest w stanie rozpoznać nieco zaczepny styl Edwarda Augustyna, nieosądzający Krzysztofa Storego czy aksamitny Anny Goc. Tutaj żaden algorytm nie ma najmniejszych szans. Po lekturze zamieszczonego kilka stron wcześniej artykułu Agaty Kaźmierskiej i Michała Gikowskiego na temat Twittera pojawiła się myśl: co się stanie, jeśli na tyle uwierzmy mediom społecznościowym, że będą

w stanie bardziej niż dotychczas sterować demokracją? Wystarczy kilka botów, które zaczęłyby rozmawiać z ludźmi, tak jak potrafi to obecnie ChatGPT, ba, dla niepoznaki boty mogłyby rozmawiać ze sobą i wchodzić w sztuczną interakcję, a nawet tworzyć fikcyjne zdjęcia czy wideo. Czy jeśli za tym będzie stała grupa ludzi chcących obalić demokrację, ktoś im stanie naprzeciw? Wyobraźmy sobie tyśiące kont, za którymi stoi sztuczna inteligencja, kont wchodzących w interakcję z innymi, za którymi stoi zwykły człowiek, często niczego nieweryfikujący. Cała nadzieja w prasie, zwłaszcza takiej jak „TP”, która nie wydaje łatwych osądów, a zmusza do myślenia, weryfikowania oraz poszerzania nie tylko poglądów. Za co Wam dziękuję.

RAFAŁ

Sylwester z innej bajki

Z przyjemnością przeczytałam artykuł Dariusza Kosińskiego „Daj mi tę noc” i przypominałam sobie sylwestra 1990 roku, ale z innej perspektywy. Pełniłam wówczas dyżur w ambulatorium chirurgicznym pogotowia. Była nas trójka

chirurgów, pracowaliśmy przez czterdzieści osiem godzin, czyli w sylwestra i Nowy Rok. Już przed północą zaczął się wzmożony ruch, a potem karetka za karetką, podpity tłum szturmujący drzwi zabiegówki, na podłodze wszędzie krew. Taki był skutek rozbijania butelek po szampanie – mnóstwo ciętych ran spowodowanych upadkami na chodnik, na leżące tam szkło. Pracowaliśmy do rana, potem też nie było wiele lepiej, bo skacowani uczestnicy zabawy sylwestrowej zjawiali się z rodzinami. Niestety w wielu przypadkach były to już rany zastarzałe, które nie nadawały się do szycia. Wiele było też ran powikłanych, z uszkodzeniem ścięgien i nerwów, co skutkowało odsuniętymi w czasie rekonstrukcjami w warunkach szpitalnych, wielomiesięczną rehabilitacją i do końca nieprzewidywanymi następstwami. Kolejno szliśmy się przespać na dwie-trzy godziny, bo po prostu padaliśmy ze zmęczenia. Rano poszliśmy „normalnie” do pracy. W następnych latach dyżurowali kolejni lekarze, ale – jak słyszałam – witanie Nowego Roku było już bardziej cywilizowane z powodu nadzoru policji i ograniczeń.

A wracając do artykułu, wtedy, ponad trzy dekady temu, to był wybuch radości, uczucie, że po tylu dekadach zamordyzmu „wszystko wolno”; pokazanie gestu Kozakiewicza obecnym przecież wtedy wokół „komuchom”. A teraz? Zamiast organizowania zabawy w gronie przyjaciół idzie się często na miejsce spędu z obcymi ludźmi, uczestniczy w obciachowych imprezach, których nie pamięta się następnego dnia. Ech, to już nie moja bajka.

BARBARA

Dziękuję i uzupełniam

Jako Wielkopolanka z radością przeczytałam dodatek poświęcony muzyce w Poznaniu. Cieszę się z przypomnienia w pierwszym artykule wielu zapomnianych może faktów i zasłużonych nazwisk. Zabrało wśród nich twórcy ruchu Pro Sinfonika – Alojzego Andrzeja Łuczaka. Ten ekonomista zafascynowany sztuką muzyczną był inicjatorem, filarem i fundamentem tego ruchu. Gdyby nie jego niezapomniane jednoosobowe kierownictwo, ruch pewnie by się szybko zamknął. Dziękuję całej redakcji za kolejne bardzo ciekawe numery.

MARIA

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarosławiu I Wydziałem Cywilnym toczy się sprawa pod sygnaturą akt I Ns 530/20 o stwierdzenie nabycia spadku po:

– Andrzeju Wacławie Mróz, s. Kazimierza i Zofii, ur. 3 sierpnia 1947 r. w Rudołowicach, zm. 17 lutego 2020 r. w Zaleskiej Woli, ostatnio zamieszkałym w Zaleskiej Woli, w skład spadku po nim wchodzi gospodarstwo rolne;
– Zofii Mróz, c. Jakuba i Marii, ur. 7 kwietnia 1921 r. w Markowej, zm. 7 czerwca 1982 r. w Jarosławiu, ostatnio zamieszkałej w Zaleskiej Woli, w skład spadku po niej wchodzi gospodarstwo rolne.

Wzywa się spadkobierców tych osób, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu pod sygn. akt I Ns 395/22 prowadzone jest postępowanie z wniosku Anny Terleckiej z udziałem: Krzysztofa Nosala, Stanisława Nosala, Danuty Grendus, Marii Mielniczek, Bartłomieja Nosala, Marcina Nosala i Urszuli Nosala o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia prawa własności nieruchomości zabudowanej, oznaczonej ewidencyjnie jako działka nr 1853, o pow. 0,0146 ha, położonej w Radymnie, a powstałej z nieruchomości objętych LWH 662 gminy katastralnej Radymno (zaginiona). Jako ostatnia właścicielka nieruchomości wpisana była Maria Dziedzic ze Smolińskich.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosiły się, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zgodnie z wnioskiem, jeżeli zostanie on udowodniony.

PIĘTNO SEKRETARZA

Po opublikowaniu wspomnień bezpardonowo atakujących urzędującego papieża abp Georg Gänswein nie ma nic do stracenia – jego dni w Watykanie są policzone. Ale wszystkie decyzje Franciszka będą już oceniane w świetle tej książki.

EDWARD AUGUSTYN

JAKO WIELOLETNI WSPÓŁPRACOWNIK Kongregacji Nauki Wiary, sekretarz kardynała Ratzingera i papieża Benedykta noszę na sobie »piętno Kaina« – pisze abp Georg Gänswein w wydanej w ubiegłym tygodniu książce „Nient’altro che la Verità” („Nic, tylko prawda”). Były sekretarz Ratzingera ma z pewnością wiele na sumieniu, jednak pomysł, by porównać się do biblijnego bratobójcy, zaskakuje. Chyba że autor trafnie ocenił skutki swojej publikacji: jego wspomnienia zabiły właśnie mit o papieżu emerycie, który przez 10 lat w cichości i modlitwie wspierał swego następcę.

Książka Gänsweina ukazała się tydzień po pogrzebie Benedykta XVI. Była zapowiadana jako obrona pamięci zmarłego przed „złowrogimi oszczerstwami, które próbowały rzucić cień na nauczanie i działanie niemieckiego papieża”. Tyle że w tej perspektywie wnosi niewiele nowego. Monumentalne dzieło Petera Seewalda dużo lepiej pozwala zrozumieć życie i pontyfikat Ratzingera, nie unikając tematów kontrowersyjnych i przytaczając nie mniejszą liczbę anegdot (jak choćby o apodyktycznej gospodyni domowej, Ingrid Stampie, zwanej „papieżką”, której histerycznych reakcji Benedykt bał się i zazwyczaj im ulegał).

Wspomnienia Gänsweina zaskakują czymś innym – drobiazgowym, choć oczywiście jednostronnym, opisem napiętych relacji pomiędzy Domem św. Marty, w którym mieszka urzędujący papież, a watykańskim klasztorem Mater Ecclesiae, gdzie spędził ostatnie 10 lat papież emeryt. Są także, co poniekąd zrozumiałe, próbą wybielenia się autora i przekonania czytelnika, że krążące po Watykanie opinie o jego bezwzględności, intrygach i zadufaniu wynikają z zazdrości oraz odrzucenia wartości, którym papież Benedykt i on sam pozostali do końca wierni.

Niecierpliwy i zdeterminowany

„Słuchałem rocka, od Beatlesów i Pink Floydów po Cata Stevensa, ale też muzyki popularnej, zwłaszcza że grałem na klarnecie w miejscowym zespole muzycznym” – wspomina abp Gänswein, kreśląc w biograficznym rozdziale sylwetkę sympatycznego młodzieńca – pracowitego, szczerego i zdeterminowanego, może jedynie nieco niecierpliwego.

Urodził się w 1956 r. w Riedern am Wald, małej wsi w Schwarzwaldzie. Jego ojciec był kowalem, matka domową gospodynią. Miał czworo młodszych rodzeństwa. „Wychowanie w naturze do dziś pomaga mi odróżnić autentyczność



od podróbki” – powie po latach w jednym z wywiadów. O kapłaństwie zaczął myśleć późno. Ucząc się w liceum, pracował jako listonosz, ale marzył, by zostać maklerem giełdowym i zarabiać dużo pieniędzy („wiedziałem, że jestem wystarczająco sprytny i bystry, by dać sobie radę w świecie finansów”). Uprawiał sport – narciarstwo, którego został nawet instruktorem, i piłkę nożną. Jego idolem był legendarny Franz Beckenbauer – obrońca, który potrafił także zaatakować i celnie strzelić.

Teologią zainteresował się w klasie maturalnej, gdy wpadło mu do ręki „Wprowadzenie w chrześcijaństwo” Josepha



ALESSANDRA BENEDETTI / CORBIS / GETTY IMAGES

Abp Georg Gänswein na dziedzińcu św. Damazego w Watykanie. 12 stycznia 2012 r.

Ratzingera, wtedy nowość na rynku (będzie podkreślać, że przez całe życie przeczytał ją trzykrotnie). Po maturze zapisał się na wydział teologiczny Uniwersytetu we Fryburgu Bryzgowijskim, ale szybko przeniósł się do archidiecezjalnego seminarium. „Czułem, że nie da się tego robić na pół gwizdka. Albo poświęcę się całkowicie, albo zrezygnuję”. W 1984 r. został księdzem.

Uczeń i mistrz

„Studia z prawa kanonicznego były nudzące, jak praca bez piwa w zakurzonej kamieniołomie” – wspominał kolejny okres, tym razem na uniwersytecie w Mo-

nachium. Był sumienny i miał łatwość uczenia się, więc mimo początkowego braku zainteresowania dziedziną obronił doktorat.

Wrócił do rodzinnej diecezji i został sekretarzem abp. Oskara Saiera i wikariuszem katedralnym. Zwrócił uwagę nuncjusza papieskiego, który zaproponował mu pracę w watykańskiej Kongregacji Kultu Bożego, co należało traktować jako otwarcie drzwi do kościelnej kariery, bo sama praca w kurii uważana była przez niemieckich duchownych za nieciekawą i niedochodową.

Zamieszkał w Kolegium Niemieckim, tuż przy Watykanie. W każdy czwartek

przychodził do nich na mszę i śniadanie kard. Joseph Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki Wiary. Gänswein szybko znalazł temat pozwalający mu spędzać z prefektem więcej czasu – obaj przecież studiowali w Monachium. Pół roku później kardynał zaproponował mu pracę w kongregacji. Dostał też propozycję wykładów z prawa kanonicznego na Uniwersytecie Santa Croce. A gdy dotychczasowy sekretarz Ratzingera został biskupem, kardynał poprosił Gänsweina, by zajął jego miejsce, zapewniając, że będzie to posada krótkoterminowa, bo wkrótce ma zamiar przejść na emeryturę. Dwa lata później Joseph Ratzinger został papieżem i wraz

→ z osobistym sekretarzem wprowadził się do Pałacu Apostolskiego.

Clooney Watykanu

„Gratuluję sekretarza – tak młodego i dobrze mówiącego po włosku” – powiedziała do Benedykta XVI Franca Ciampi, żona prezydenta Włoch, podczas wizyty papieża w Kwirynale, co wyłapały ustawione nieopodal mikrofony. Ks. Georg nie był już co prawda młody (miał 52 lata), ale za to przystojny, wysoki, umięśniony, o aparycji hollywoodzkiego amanta. Mówiono o nim „George Clooney Watykanu”, porównywano do Richarda Chamberlaina, czyli kard. de Bricassarta z serialu „Ptaki ciemnych krzewów”.

Paparazzi robili mu zdjęcia, gdy w krótkich spodenkach grał w tenisa, Donatella Versace stworzyła pod jego wrażeniem kolekcję mody męskiej w 2007 r., redakcje zabiegały o wywiady, których prędko zaczął udzielać, bodaj jako pierwszy w historii papieski sekretarz (podczas pełnienia swej funkcji). Odpowiadał nie tylko na pytania o pracę u boku Benedykta, ale też całkiem osobiste – dotyczące wyglądu („początkowo udawałem, że nie słyszę komplementów, potem się przyzwyczaiłem, w końcu uroda to nie grzech”) i relacji z kobietami („w młodości lubiłem, oczywiście, oglądać dziewczyny, niektóre nawet chętniej”). Przyznał, że dostaje listy miłosne od fanek („od czasu do czasu”) i bronił dziennikarzy, którzy poświęcają jego wyglądowi tyle uwagi („może w ten sposób przełamujemy pewne stereotypy na temat księży”). Dbał o wygląd i kondycję: w każdy wtorek, który dla papieskiego sekretarza jest dniem wolnym, wyjeżdżał ze znajomym w góry – w lecie na długie wędrówki, w zimie na narty.

Śnieżny pług

Ale przede wszystkim dbał o papieża. Tuż po wyborze Benedykta zapytał abp. Dziwisza, co jest najważniejsze w pracy sekretarza. „Bronić papieża przed wszystkim, co może go zdruzgotać – usłyszał. – Zharmonizować z nim mózg, serce i oddech”. Sam porównywał się do „pługu śnieżnego”, który ma uprzątnąć przestrzeń wokół Benedykta. Każdego dnia odrzucał dziesiątki prośb o spotkania i prywatne audyencje, pilnował agendy, przeglądał korespondencję, przekazywał najważniejsze listy adresatów, a na pozostałe sam odpisywał.



VATICAN POOL / GETTY IMAGES

GEORG GÄNSWEIN:

„Początkowo udawałem, że nie słyszę komplementów, potem się przyzwyczaiłem, w końcu uroda to nie grzech”.

Oprócz tego nadzorował pracę „rodziny papieskiej”, którą – poza dwoma sekretarzami – tworzyły cztery kobiety ze stowarzyszenia Memores Domini (część ruchu Comunione e Liberazione) i kamerdyner, a także towarzyszył Benedyktowi w modlitwach, posiłkach i czasie wolnym. Porównywał się też do „szyby, która ma przepuszczać światło, sama pozostając niewidoczną. Gdy się zabrudzi lub popęka, nie przestaje być szybą, tyle że traci przydatność”.

Bronił papieża przed jakąkolwiek krytyką – w 2006 r. protestował przeciwko programom satyrycznym w telewizji i radiu, w których parodiowano Benedykta (a także jego sekretarza), odpierał ataki mediów, zwłaszcza po słynnym wykładzie o islamie wygłoszonym w Ratyźbonie. Replikię formułował szybko i celnie. Chwalono go za refleks, inteligencję i zdolności analityczne. Ale dostrzegano też konserwatywne poglądy,

widząc w nim „jastrzębia kościelnej prawicy”. Niemiecki dziennikarz Daniel Deckers pisał: „Reprezentuje małą, ale potężną grupę w Kościele, która może popchnąć Ratzingera w pożądanym przez nich kierunku. Dlatego jest bardzo niebezpieczny”.

Gdy Deckers próbował umówić się z Gänsweinem na wywiad, otrzymał reprimendę: „Och, przecież nas nie lubisz”. Użycie liczby mnogiej nie było przypadkowe, mówi dziennikarz: „Uważał siebie i papieża za jedno”.

Akt łaski

„Jestem osobą skrupulatną. Nawet bardzo” – mówił ks. Georg, składając zeznania przed watykańskim sądem w sprawie wycieku tajnych dokumentów z jego biura. W pierwszych miesiącach 2012 r. media zaczęły publikować prywatne listy papieża, raporty finansowe, notatki z poufnych rozmów. Wyłaniał się z nich przerażający i ponury obraz Watykanu – państwa skorumpowanego i trawionego nieustanną walką o władzę. Pod koniec maja dziennikarz Gianluigi Nuzzi opublikował książkę „Jego Świątobliwość. Tajne dokumenty Benedykta XVI” odsłaniającą skalę przekupstwa (prywatną audyencję u papieża można było „kupić” za 10 tys. euro), nepotyzmu i personalnych rozgrywek. A ponieważ jeden z opublikowanych tam materiałów nigdy nie wyszedł poza papieski apartament, krąg podejrzanych o zdradę zawęził się do „rodziny papieskiej”. Żandarmeria bez trudu ustaliła, że winnym jest kamerdyner: w jego domu znaleziono tysiące tajnych dokumentów (m.in. korespondencję papieża z kardynałami i politykami) oraz wyniesiony z papieskich apartamentów samorodek złota z Peru, czek na 100 tys. euro i wydanie „Eneidy” z 1581 r.

Marka dokładnego i skrupulatnego sekretarza straciła nagle na wartości. To on odpowiadał za zatrudnienie Paola Gabriele, kamerdynera, który co prawda był polecony przez wysokich urzędników kurii, ale zgłaszano też obiekcyjne do jego kandydatury. Papieski sekretarz odpowiadał także za bezpieczeństwo poufnych dokumentów i kontrolował pracę całej „papieskiej rodziny”. Wydawało się, że jego kariera legnie w gruzach. Złożył rezygnację, ale Benedykt XVI jej nie przyjął (ułaskawił też kamerdynera, skazanego na 18 miesięcy więzienia). Kilka miesięcy później wyświęcił swojego sekretarza na

biskupa. Planował już swoją abdykację i przewidywał jej konsekwencje.

Sługa dwóch panów

„Pamiętam dokładnie: 25 września, po śniadaniu, kazał mi przyjść do siebie nieco wcześniej niż zwykle. A gdy usiadłem na przeciw, powiedział: »Przemyślałem to, przemodliłem i doszedłem do wniosku, że ze względu na coraz mniejsze siły muszę zrezygnować z posługi piotrowej«” – wspomina Georg Gänswein. Był jedną z pierwszych osób, które dowiedziały się o zamiarze Benedykta. Próbował go od niego odwieść, ale usłyszał zdecydowaną odpowiedź, że rzecz nie podlega dyskusji.

To był cios, którego skutki miał wyngrodzić awans. W grudniu papież mianował ks. Georga prefektem Domu Papieskiego, odpowiedzialnym za organizację wszystkich papieskich spotkań i audienencji, a także podróży na terenie Włoch. Był to jednocześnie świąteczny prezent dla następcy: zaufany człowiek ustępującego papieża (bo Gänswein nie przestał być osobistym sekretarzem emeryta) został ulokowany w centrum zarządzania kolejnego pontyfikatu. Dzięki temu Benedykt, wiodący modlitewne życie w odosobnieniu klasztoru Mater Ecclesiae, był na bieżąco informowany o wszystkim, co dzieje się w kurii i Domu św. Marty.

Watykańska sielanka

Nowy papież nie miał zamiaru zmieniać jednej z ostatnich decyzji poprzednika. Gänswein wspomina, że i on, i papież emeryt byli miło zaskoczeniu serdecznością Franciszka, który czekał na nich u wejścia do klasztoru, gdy wracali z Castel Gandolfo, gdzie Benedykt był podczas konklawe i skąd pierwszy raz rozmawiał telefonicznie ze swoim następcą, deklarując mu całkowite posłuszeństwo.

Można się było spodziewać, że współobecność w Watykanie dwóch papieży będzie rodzić problemy, nawet jeśli początkowo ich relacje układały się wzorcowo. Franciszek zachęcał poprzednika do większej aktywności, zapraszając na ważniejsze uroczystości i konsystorze. Benedykt nie komentował decyzji swego następcy, nawet gdy go do tego namawiano, i ograniczał do minimum liczbę przyjmowanych gości. Powściągliwość i dyskrecję zachowywał też abp Gänswein. Nie przestał udzielać wywiadów, ale chwalił w nich argentyńskiego papieża za pracowitość, spontaniczność i charyzmat misyjny.

Różnice pomiędzy starym i nowym papieżem były dla wszystkich widoczne i nikt nie spodziewał się, że Bergoglio będzie naśladował Ratzingera czy Wojtyłę. Nikt też specjalnie się nie dziwił, że wystąpienia Franciszka są prostsze i pozbawione teologicznych niuansów – każdemu byłoby trudno mierzyć się w tym z Ratzingerem. Nowy papież odwiedzał klasztor Mater Ecclesiae przy każdej nadarzającej się sposobności, jak urodziny czy rocznice, przynosząc w prezencie wino i argentyński specjał – puszkę *dulce de leche* (masy kajmakowej). Benedykt odwdzięczał mu się bawarskimi ciasteczkami Lebkuchen.

Poszerzone papieństwo

Sześć miesięcy po wyborze Franciszek udzielił pierwszego wywiadu. Egzemplarz jezuickiego dwutygodnika „La Civiltà Cattolica” przekazał od razu Benedyktowi, prosząc o lekturę i opinię. Ratzinger potraktował sprawę po profesorsku – po tygodniu przekazał przez swego sekretarza odpowiedź, w której chwali papieża za wiele cennych spostrzeżeń, ale dołączył też kilka drobnych uwag do poruszanych w wywiadzie kwestii moralnych – aborcji, sztucznego zapłodnienia, ideologii gender czy też do odpowiedzialności Watykanu za ortodoksję.

Franciszek zapamiętał tę lekcję. Nie zmienił życzliwego stosunku do Benedykta, ale więcej nie prosił już o recenzje swych wypowiedzi i tekstów.

Zapamiętał też wykład, który w maju 2016 r. na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim wygłosił abp Gänswein. Po raz pierwszy, przynajmniej na tak poważnym forum, pojawiła się w nim teoria „poszerzonego papieństwa”, które ma dwa wymiary: czynny i kontemplacyjny. I choć sekretarz Benedykta tłumaczył później, że nie oznacza to bynajmniej istnienia dwóch papieży, a jedynie uzasadnia prawo emeryta do zachowania białego stroju, papieskiego imienia i tytułu „Jego Świątobliwości”, słowa wykładu stały się pożywką do spekulacji o nieprzerwanym pontyfikacie Benedykta XVI, który, co prawda zrzekł się tronu i posługi rządzenia, ale nie nauczania.

Celibat albo śmierć

„Upokorzenia wychodzą człowiekowi na dobre” – powiedział Franciszek do Gänsweina, zawieszając go z dnia na dzień w czynnościach prefekta.

Był styczeń 2020 r., gdy na bardzo już nadwyrężonej linii, łączącej Dom św. Marty z klasztorem Mater Ecclesiae, doszło do spektakularnego zwarcia. Wiele osób dopiero wtedy zorientowało się, że pomiędzy tymi ośrodkami występuje stałe, wysokie napięcie. Poszło o celibat. Kilka miesięcy wcześniej Benedykt przekazał kard. Robertowi Sarahowi, jednemu z najbardziej konserwatywnych hierarchów w Watykanie, artykuł o konieczności zachowania bezżeństwa księży. Był to czas synodu amazońskiego, który nad tym tematem debatował i opowiedział się za święceniami żonatych mężczyzn (głosami 128 przeciwko 41). Niemal wszyscy byli pewni, że papież uzna wolę większości.

Dlaczego Benedykt dał Sarahowi swój artykuł i pozwolił „zrobić z nim, co uzna za słuszne”? Abp Gänswein (bo on się potem za swego przełożonego tłumaczył) twierdził, że stało się to przypadkiem – Sarah zapytał o celibat, a papież emeryt odparł, że ma właśnie napisany na ten temat tekst, więc szkoda, by się zmarnował. W ten sposób Benedykt XVI stał się współautorem książki, którą uznano za próbę nacisku na urzędującego papieża.

Franciszek zażądał wyjaśnień. Gänswein zapewniał, że Benedykt o niczym nie wiedział i został wykorzystany. Sarah upierał się, że zawartość książki, wraz z projektem okładki, na której widniały nazwiska autorów, wysłał do autoryzacji. Opublikował korespondencję z papieżem emerytem i na bieżąco informował w mediach o dalszych z nim spotkaniach i rozmowach telefonicznych. Wydawnictwo nie zgodziło się na zmianę okładki, a Franciszek na odwołanie celibatu (choć nie wiadomo, czy miał taki zamiar – nie raz powtarzał, że prędzej umrze, niż to zrobić). Odwołał natomiast abp. Gänswein z jakichkolwiek obowiązków w kurii, nakazując mu zajęcie się opieką nad papieżem emerytem.

„Zdaje się, że Franciszek już mi nie ufa, skoro chce, żeby ksiądz mnie pilnował” – powiedział Benedykt. Tak przynajmniej pisze jego sekretarz we wspomnieniach, przytaczając przy okazji wiele innych upokorzeń, jakich doznał od urzędującego papieża.

Ostatnia szarża

Był sekretarzem papieża emeryta 10 lat, o dwa dłużej niż papież na urzędzie. Dekada powściągnięcia języka najwyraźniej →

→ mu się dłużyła. Medialną ofensywę dobrze przygotował – wydawnictwo czekało z gotową książką na ostatnie 15 stron, opisujące śmierć i pogrzeb Benedykta. Jego wspomnienia nie są, jak zapowiadano, wyrazem szczególnej miłości do prawdy ani obroną Benedykta. Są otwartym atakiem na urzędującego papieża. I manifestem „niefranciszkowego” Kościoła. Adresatami książki są konkretni ludzie i środowiska – w Watykanie, Stanach Zjednoczonych, Niemczech, pewnie i w Polsce – szukające dowodów, że ich niechęć i wrogość wobec urzędującego papieża są słuszne i zasadne.

Otrzymują potwierdzenie tego, czego mogli jedynie się domyślać: że Benedykt XVI uznał motu proprio „Traditionis custodes”, zakazujące odprawiania mszy trydenckiej, za błąd. Co więcej – słyszą, że tłumaczenie Franciszka, jakoby jego decyzja była „zgodna z prawdziwymi intencjami” papieża emeryta, jest nieprawdziwa, a sam Benedykt XVI został przez swego następcę wykorzystany. Że także publikacja adhortacji „Amoris laetitia” wzbudziła w nim wiele wątpliwości. Że niektóre stwierdzenia Franciszka w „Evangelii gaudium” brzmiały „obco wrażliwości teologicznej Benedykta”. Że papież Ratzinger był dla następcy łaskawy – uważał, że „pierwszego papieża z Ameryki Łacińskiej trzeba przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza”. I że w klasztorze Mater Ecclesiae komentowano każde słowo i każdą decyzję nowego papieża, a rozmowy, które miały pozostać prywatne, właśnie zostały upublicznione.

Czy atak „Beckenbauera w sutannie” będzie skuteczny? Czy nie pośpieszył się z zagranicą, które skończy się „spalonym”? A może będzie strzałem samobójczym? Abp Gänswein nie ma nic do stracenia – jego dni w Watykanie są policzone. Tyle że teraz każda decyzja Franciszka będzie oceniana w świetle jego wspomnień. Będzie albo oznaką wspaniałomyślności, albo małostkowości i mściwości papieża. Kainowe piętno jest przecież gwarantem bezpieczeństwa.

„Dał też Pan znać Kainowi, aby go nie zabił nikt, kto go spotka. Po czym Kain odszedł od Pana i zamieszkał w kraju Nod, na wschód od Edenu”.

© P EDWARD AUGUSTYN

Życie zwielokrotnione

AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ

Między pracą w redakcjach albo szpitalu a nocami w barach Dorothy Day zaglądała do kościołów i szukała tam pokoju serca. Właśnie ukazała się jej pierwsza biografia napisana przez polskiego autora.

SĄ OSOBY, KTÓRYCH HISTORIA JEST TAK skomplikowana i wielowymiarowa, że aż chciałoby się podzielić ją na oddzielne życiorysy i wybrać taki, który nam najbardziej pasuje. W łagodniejszej wersji – opowiedzieć ją tak, by to, co skomplikowane i trudne, uczynić tylko wstępem, a potem pokazać nagły zwrot akcji, po którym wszystko było już prostsze. Z takimi pokusami mierzą się ci, którzy próbują pisać o Dorothy Day.

To skomplikowane

W swoim osiemnastyletnim życiu (1897-1980) Day widziała ogromne przemiany świata i społeczeństwa, zwłaszcza w rodzimych Stanach Zjednoczonych. Już jako początkująca dziennikarka chciała czegoś więcej niż tylko obserwowanie rzeczywistości. Od początku wybierała tematy bliskie życiu najbardziej potrzebujących mieszkańców Nowego Jorku i Chicago, pracując dla lewicowych tytułów. Od początku pragnęła nie tylko opisywać, ale także zmieniać świat na lepsze. Stąd np. decyzja o podjęciu szkolenia i (niedługiej) pracy pielęgniarki. Stąd udział w proteście sufrażystek, zakończony kilkoma tygodniami za kratami – pierwszym spośród siedmiu aresztowań Dorothy; do ostatniego doszło, gdy była już po siedemdziesiątce. Zajmowała się jednak nie tylko naprawianiem świata, ale też uczestniczyła w życiu nowojorskiej bohemy.

Jej życie uczuciowe było nie mniej intensywne. Z pełnego przemocy związku z Lionelem Moise'em wyszła poobijana. Spróbowała jeszcze małżeństwa bez miłości, które wkrótce zakończyła rozwodem, by wreszcie znaleźć miłość w osobie Forstera Batterhama. Możliwe, że żyłaby długo i szczęśliwie w nieformalnym związku, ale poróżniła ich duchowość.

Wychowana w formalnie episkopalnej, ale niepraktykującej religijnie rodzinie Dorothy już od dziecka fascynowała się światem wiary – czy to samodzielnie czytając Pismo, czy ucząc się modlitwy albo chodząc na nabożeństwa z rodziną koleżanki. Jako nastolatka zarzucała na jakiś czas te zainteresowania, lecz powróciły do niej w dorosłości. Między pracą w redakcjach albo szpitalu a nocami w barach Day zaglądała do kościołów katolickich i szukała tam pokoju serca i poczucia sensu. Niewiele osób w jej otoczeniu interesowało się Bogiem, a jej partner Forster był zdecydowanie wrogi religii. Kiedy Dorothy zaszła w ciążę – niespodziewanie, gdyż sądziła, że aborcja (w czasie związku z Moise'em) uczyniła ją bezpłodną – przyjęła macierzyństwo z radością i zachwytem. Był to punkt kulminacyjny jej drogi do wiary i ochrzcenia córki Tamar w Kościele katolickim. Sama przyjęła (warunkowy) chrzest katolicki nieco później, już po rozstaniu z Forsterem.

Ewangelia na peryferiach

Jako początkująca katoliczka Dorothy zmagiała się nie tylko z samotnym wychowywaniem córki i skomplikowaną relacją z jej ojcem, którego wciąż kochała, ale także z tym, jak pogodzić swoje lewicowe idee z religią. W ocenie Day to jej przyjaciele komunści wcielali w życie Ewangelię, a jednocześnie odrzucali Boga, podczas gdy Kościół wielbił Boga i głosił Ewangelię, ale zaniedbywał życie nią. Wciąż szukając własnej drogi, pewnego dnia zastała w swojej kuchni Petera Maurina – francuskiego katolika wiodącego w USA żywot pobożnego włóczęgi, który przyszedł przekonać Dorothy do swojego programu religijno-społecznego. Z jego idei i zapału, ciężkiej pracy, zdolności organizacyjnych i dziennikar-



DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

Dorothy Day, ok. 1916 r.

skich Dorothy, 1 maja 1933 r. narodził się „Catholic Worker” („Katolicki Robotnik”).

Od początku było to nie tylko czasopiśmo, ale i ruch, a właściwie sposób życia, w dobrowolnym ubóstwie, służbie najślabszym, walce o sprawiedliwość i pokój – życia wspólnego z najuboższymi czy to w powstających w całych Stanach domach gościnności, czy na farmach, które w założeniu Maurina miały pełnić funkcję uniwersytetów rolniczych (co niezbyt się powiodło). Dorothy pisała, jeździła po kraju z prelekcjami, odpowiadała za sprawy organizacyjne nowojorskiej wspólnoty i swoją charyzmą przyciągała do ruchu kolejne pokolenia – głównie młodych ludzi pragnących żyć Ewangelią czy realizować sprawiedliwość społeczną. Podczas gdy troska o robotników, o ubogich, o dyskryminowanych z powodów rasowych była stałym elementem programu „Workera”, to wojny, poczynając od domowej w Hiszpanii, wystrzyły poglądy Day oraz jej ruchu na sprawę pacyfizmu i prawa do odmowy noszenia broni zgodnie z sumieniem. Day – mimo że prowadziło to do kontrowersji w ramach samego ruchu i do odpływu licznych prenumeratorów – stale jednoznacznie opowiadała się przeciw wojnie.

Innego rodzaju kontrowersje rodził zarówno w ruchu, jak i w jej rodzinie pogłębiający się z czasem radykalizm Dorothy

w zakresie ascezy i uczestnictwa w praktykach religijnych czy relacji do Kościoła. O ile stale była gotowa w imię sumienia przeciwstawiać się władzy świeckiej, o tyle w kwestiach dyscypliny kościelnej i doktryny Day starała się zachowywać ortodoksję i być gotowa podporządkować się biskupowi, nawet gdyby oznaczało to zamknięcie „Catholic Workera”.

Odkrycie

Czytelnicy „Tygodnika” mieli okazję dowiedzieć się o działalności Day od samego Jerzego Turowicza, który odwiedził ją w Stanach i dołączył do grona osób nią zafascynowanych. Dla wielu jednak – także Amerykanów – pozostałaby postacią nieznaną albo zapomnianą, gdyby nie przemówienie papieża Franciszka w Kongresie w Waszyngtonie 24 września 2015 r. Wspomnił w nim czworo Amerykanów, którzy ukształtowali fundamentalne wartości swojego narodu: Abrahama Lincolna, Martina Luthera Kinga, Dorothy Day i Thomasa Mertona. Gdy padło trzecie z nazwisk, wielu dziennikarzy zaczęło w pośpiechu szukać w internecie informacji.

Jedną z osób, która wtedy po raz pierwszy usłyszała o Day, był ks. prof. Wojciech Zyzak, specjalizujący się w teologii laickatu. We wstępie do swojej, wydanej właśnie przez „Wieżę” książki „Dorothy Day. Życie. Działalność. Duchowość” opowiada, że wtedy dowiedział się, iż toczy się jej proces beatyfikacyjny, i przystąpił do poznawania jej lepiej. Jest to pierwsza napisana przez Polaka biografia tej postaci.

Polska próba

Zapoznanie się z wszystkimi dostępnymi publikacjami Dorothy Day – zwłaszcza artykułami zamieszczanymi przez nią w „Catholic Workerze” przez 47 lat – a także obfitą korespondencją, dziennikami, książkami i innymi pracami to wielkie wyzwanie. Mimo wspomnianej przez autora żmudności tego procesu, wraz z kolejnymi lekturami narastała jego fascynacja jej postacią. W rezultacie powstała obszerna (437 stron) książka, opatrzona przypisami i przygotowanym przez redakcję indeksem osób. To niewątpliwie ważna praca, zwłaszcza w obliczu niezrozumiałego braku przekładów dzieł Day na język polski.

Zyzak podzielił książkę na czternaście rozdziałów: w pierwszym opisał jej życie, kolejne dwa poświęcił źródłom jej myśli.

Pozostałe stanowią streszczenia oraz analizy twórczości i działalności Day pod kątem wybranych aspektów, jak rodzina, praca, życie radami ewangelicznymi, stosunek do wojny czy znaczenie modlitwy i sakramentów.

Taki układ książki może być cenny dla studenta teologii, jednak w mojej opinii stanowi jedną z największych jej słabości. Dorothy Day napisała wiele tekstów różnych gatunków, w których poruszała różnorodne tematy, a próba wyciągania z nich poszczególnych wątków i omawiania ich oddzielnie jest karkołomna. Owszem, Zyzakowi udaje się wskazać szerokość zainteresowań dziennikarki i wybrać z nich wiele ważnych wypowiedzi. Czytelnik może się jednak prędko zmęczyć obszernym relacjonowaniem słów Day. Niektóre fragmenty, zwłaszcza w końcowych, bardziej „teologicznych” rozdziałach, są w dużej mierze po prostu streszczaniem przez nią nauki Kościoła katolickiego. Sprawy nie ułatwia mocno „kościelny” język książki, charakterystyczny dla kazania czy pogadanki skierowanej do przekonanych, i to dobrze zorientowanych w takich pojęciach jak np. transcendencia, immanencja czy jansenizm.

Największy jednak zarzut dotyczy nie formy, ale treści książki. Zasadniczo bowiem autor omawia duchowość Day tylko na podstawie jej twórczości – cały czas uważam to za cenne i ważne, jednak nie jest to wystarczające, by poznać i zrozumieć życie oraz działalność Dorothy. Aby dziś, niemal sto lat po jej nawróceniu, nauczyć się czegoś od założycielki „Catholic Workera”, trzeba poświęcić uwagę nie tylko temu, co pisała o duchowości, ale także ruchowi, któremu oddała prawie pięćdziesiąt lat życia, również na tle ówczesnej historii USA. Warto by zastanowić się też nad tym, jak łączyła wielkie serce i otwartość na osoby o najbardziej skomplikowanych życiowych historiach z bardzo zachowawczym rozumieniem nauki Kościoła i brakiem zainteresowania zmianami w jego nauce. A również poznać jej życie nie tylko przez pryzmat jej własnej narracji, ale także innych osób. Dorothy Day wciąż jest w Polsce do odkrycia. ©



Ks. Wojciech Zyzak
**DOROTHY DAY. ŻYCIE.
DZIAŁALNOŚĆ. DUCHOWOŚĆ**
Wież 2022



Dom z różnymi pokojami

KS. ŁUKASZ OSTRUSZKA, PROBOSZCZ EWANGELICKI W KRAKOWIE:

Nigdy nie mówię, że w naszym Kościele jest pełnia środków zbawienia albo że gwarantujemy do niego najlepszą drogę. Powinniśmy się wszyscy wyzbyc pychy myślenia, że u nas jest lepiej.

MACIEJ MÜLLER: Rok temu wygrateś wybory na proboszcza krakowskiej parafii ewangelickiej. Jak wyglądała kampania wyborcza?

KS. ŁUKASZ OSTRUSZKA: Cenię demokrację w Kościele. Jest trudna, czasochłonna, ale stanowi bezpiecznik przed nadużyciami, no i daje całej wspólnotie możliwość kształtowania życia zboru. Nie wyobrażam sobie, żeby biskup miał mnie gdzieś wysłać jako proboszcza, a wierni zaakceptować. To oni wiedzą najlepiej, czego potrzebują od swego duszpasterza. Nie mówiłbym jednak o kampanii wyborczej. Był konkurs kazań, a po nim spotkanie z wiernymi, na którym mogłem opowiedzieć, jak widzę przyszłość zboru i moją rolę.

O czym było kazanie?

O wyznaczonym przez Kościół tekście, zgodnie z tematem niedzieli. Poprowadziłem tamto nabożeństwo jak każde inne. Mam zresztą wrażenie, że parafianie bardziej patrzą nie na zaprezentowane umiejętności, tylko na to, jak kandydat buduje z nimi relację, jak się komunikuje, jaki ma styl bycia i działania. W rozmowach podkreślałem, że chcę rozwijać pracę duszpasterską, abyśmy skutecznie dzielili się Ewangelią z naszym miastem. Kontynuować i wzmacniać fantastyczną pracę z dziećmi, bo mamy nabożeństwa dla dzieci prowadzone przez świetnych ludzi, w tym z wykorzystaniem metody Godly Play, ułatwiającej towarzyszenie dzieciom w odkrywaniu ich własnej duchowości.

A ponadto zbudować grupę młodzieżową i odtworzyć studencką. Poza tym podkreślałem, że musimy zadbać o majątek materialny zostawiony nam przez przodków.

Robiłeś wcześniej rozpoznanie?

Jesteśmy małym Kościołem, luteranów jest w Polsce trochę ponad 60 tys., więc z grubsza wiadomo, która parafia ma jakie potrzeby. Dzięki demokracji i współodpowiedzialności wiernych za Kościół – co płynie z zasady powszechnego kapłaństwa – ktoś, kto żyje Kościołem, zna innych. Więc nie byłem postacią anonimową, mimo że wcześniej pracowałem w Warszawie, Wiśle i Katowicach.

Krakowscy luteranie nie ukrywają, że parafia przechodzi poważny kryzys. Przez rok przed Twoim przyjęciem nabożeństw nie prowadził proboszcz, tylko diakonka.

Mój poprzednik zdecydował, że chce poświęcić się pracy terapeuty. Najpierw poszedł na roczny urlop, później zrezygnował z funkcji proboszcza, pozostając duchownym ewangelickim. Administratorem parafii był w tym czasie biskup diecezjalny dojeżdżający z Katowic, ale na miejscu była diakonka Wiktoria Matloch, która zapewniała opiekę parafii. Znalazła

KS. ŁUKASZ OSTRUSZKA ma 36 lat, jest absolwentem Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Pracował m.in. jako asystent Biskupa Kościoła, jest dziennikarzem i redaktorem zajmującym się tematami technologii, ekonomii i etyki. Do października minionego roku związany był z „Gazetą Wyborczą”, wcześniej publikował m.in. w „Pulsie Biznesu”, „Polityce” i „Tygodniku Powszechnym”. Żonaty, ma córkę.

się zresztą w zeszłym roku w gronie kobiet, które jako pierwsze zostały ordynowane w naszym Kościele na księży, dziś służy jako wikariuszka w jednej z warszawskich parafii. Zmiany są oczywiście trudne, rodzą napięcia, wyzwania i problemy, ale jako ewangelicy nie boimy się takich sytuacji. Mamy doświadczenie w radzeniu sobie z trudnościami.

Na przykład?

Pierwsze publiczne nabożeństwo ewangelickie w Krakowie odbyło się w sierpniu 1557 r. i od tego momentu datujemy początek naszej parafii. Niemal od zawsze była to parafia dwuwyznaniowa, łącząca tradycje kalwińskie z luterańskimi. Do tego dochodziły kwestie różnic narodowościowych, bo był to duchowy dom dla imigrantów. Poza tym do naszego zboru, z czego jestem dumny, należeli i należą ludzie silnych charakterów, mający swoje zdanie. To nigdy nie było miejsce, w którym proboszcz czy ktoś z rady parafialnej mógłby powiedzieć coś *ex cathedra*, a reszta by to posłusznie przyjęła. Po wyborach zdarzały mi się spotkania, na których słyszałem: „ja na księdza nie gło-

wałem i nie popieram”. Dzisiaj w większości przypadków dobrze nam się jednak współpracuje. Często podkreślam, że możemy się ze sobą spierać. Każdy musi mieć możliwość otwartego wypowiedzenia opinii bolesnych i budzących emocje. Musimy jednak pamiętać o granicach i biblijnym przesłaniu, by nad naszym gniewem nie zachodziło słońce. Jako chrześcijanie musimy umieć napominać siebie nawzajem, a nie być dla siebie na siłę mili albo tkać intrygi.

O co się spieracie?

O różne rzeczy ważne dla parafii. W skali całego Kościoła na ogół o zakres kompetencji osób i gremiów, a także o sprawy majątkowe, czyli o to, jak wykorzystać dary, które od Boga otrzymaliśmy. Pojawiają się różne pomysły na ich wykorzystanie. Do niedawna mieliśmy spór o ordynację kobiet. Zwolennicy uważali, że to wstyd, że w Polsce nadal nie posługują kobiety, przeciwnicy – że to wstyd, że chcemy to umożliwić. Po latach na szczęście udało się naprawić błędy i wprowadzić ordynację kobiet na księży.

Parafię dzielicie z kalwinistami – ewangelikami reformowanymi – a przecież macie zupełnie inne podejście do Eucharystii. Oni wierzą w symboliczną obecność Chrystusa, wy – w realną. Wydawałoby się, że dzieli Was więcej od nich niż od katolików.

Z ewangelikami reformowanymi od czasu przyjęcia przed 40 laty tzw. Konkordii Leuenberskiej mamy pełną wspólnotę ołtarza i ambony. W przeciwieństwie do wielu innych dokumentów ekumenicznych, które pozostają literami na papie-

rze, ten został przełożony w sposób głęboki i skuteczny na codzienność. W duchu szacunku dla różnic tworzymy wspólnotę. Cieszę się z pracy w parafii dwuwyznaniowej. Reformowani stanowią w niej mniejszość, ale mają pełnię praw i obowiązków, a reprezentantka Kościoła Reformowanego zasiada w radzie parafialnej. Mnie zawsze fascynowało wiele elementów wyznania reformowanego, kiedyś zastanawiałem się nawet nad konwersją. Ale ostatecznie pozostałem przy luteranizmie.

Wierzysz w realną czy symboliczną obecność Chrystusa w Eucharystii?

Wierzę, że Boga spotykamy zarówno w Słowie, jak i w sakramencie. Mówimy często, że sakrament to „szczególny język Boga”, którym porozumiewa się z człowiekiem. Reformacja jasno określiła, że jest to święta czynność, w której pod widzialnymi znakami otrzymujemy niewidzialną łaskę Boga. Dla mnie najistotniejsza jest jednak wspólnota. Podczas komunii świętej stajemy, klęczymy obok siebie, ponad naszymi podziałami, równi sobie, tak samo grzeszni i tak samo ukochani przez Boga. Możemy się spierać o to, czy to obecność symboliczna, czy realna i w jakim sensie realna, ale jakże to ma znaczenie? Chodzi o obecność i wspólnotę.

Wychowałeś się na Śląsku Cieszyńskim, gdzie luteranów jest sporo. Jak czujesz się w Krakowie, gdzie prowadzisz diasporę kilkuset osób?

Na Śląsku Cieszyńskim mieszka połowa stanu liczebnego naszego Kościoła, ale mniejszością nie jesteśmy tylko w Wiśle. Właściwie wszędzie jesteśmy →

Dialog ekumeniczny w epoce zlodowacenia

EKUMENIZM to działalność na rzecz pojednania chrześcijan, dialog wyznań, postawa szacunku wobec innych tradycji – taką definicję postuluje się Polska Rada Ekumeniczna, do której należą Kościoły prawosławny, cztery protestanckie oraz polskokatolicki i starokatolicki. W 1948 r. powstała Światowa Rada Kościołów, z którą Kościoły

katolicki rozpoczął współpracę na fali reform soborowych. Trwający kilka dekad posoborowy entuzjazm doprowadził do podpisania w 1999 r. „Wspólnej deklaracji ws. nauki o usprawiedliwieniu” (czyli zbawieniu) przez katolików i luteranów, ale rok później postępy w dialogu zahamowała watykańska deklaracja „Dominus Iesus”,

która odmawiała protestantom miana Kościoła i akcentowała różnice dogmatyczne i eklezjologiczne. Ruch do dziś nie odzyskał dynamiki, o czym świadczą m.in. nieudane próby niemieckich chrześcijan wywalczenia interkomunii. Luterkański biskup Marcin Hintz mówi o „epoce zlodowacenia ekumenizmu”.

Teologowie różnych wyznań prowadzą mimo wszystko dialog, skupiając się na tematach pojmowania Eucharystii, władzy we wspólnotach religijnych i źródeł wiary. Do najważniejszych światowych wydarzeń przeznaczonych dla wszystkich zainteresowanych należy obchodzony w styczniu Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan. ©P MaM

→ diasporą. Ale czy to nas określa? Chyba nie. Nie chodzi o liczebność, nie wychodzimy na ulicę, żeby ściągać wiernych.

Zaraz, a te plakaty przed kościołem o „Spotkaniach z wiarą” dla dorosłych?

Za jedno z nowych wyzwań uznałem pracę z osobami zainteresowanymi Kościołem. Postanowiliśmy z radą parafialną powiedzieć, że można do nas przyjść, bo dla wielu ludzi nie było to oczywiste.

Mówiąc wprost: chodzi o potencjalnych konwertytów?

O ludzi, których interesuje kościół na Grodzkiej z lekko cofniętą fasadą, na ogół zamknięty w ciągu tygodnia. Którzy coś już słyszeli o ewangelicyzmie i chcą go poznać. Którzy są na rozdrożu i poszukują. Z wezwania Chrystusa, by czynić uczniami wszystkie narody, wynika nie tylko chrzczenie dzieci, ale też wychodzenie do dorosłych i pokazywanie, że istnieje taka propozycja chrześcijaństwa, jak nasza. Ale – tak jak to bywa w innych miejscach w Polsce – wielu po początkowym zainteresowaniu nie decyduje się na konwersję, tylko zostaje sympatykami Kościoła. Albo odkrywa, że ten Kościół, z którego się wywodzą, jednak bardziej im odpowiada – i wraca do niego z nowym spojrzeniem.

Kto przychodzi? Poranieni katolicy?

Głównie ludzie szukający czegoś innego, zaciekawieni wiarą i duchowością ewangelicką. Zdarzają się osoby wściekłe na swoją dotychczasową wspólnotę. Ale i ja, i wszyscy zaangażowani w spotkania podkreślamy, że gniew nie jest dobrą mo-

Irytuje mnie ekumenizm instytucjonalny, czyli oficjalne spotkania, podczas których hierarchowie debatują o tym, jak „znaleźć jedność w różnorodności”.

tywacją. Decyzja o zmianie wyznania powinna wynikać z duchowych potrzeb, a nie z chęci odegrania się na hierarchach swojego Kościoła. Takie paliwo na długo nie starczy. Rzecz jasna nie bierzemy w nawias zranień, z którymi ludzie do nas przychodzą. Staram się, na tyle, na ile potrafię, pomóc im się z nimi uporać, ale znowu: to niekoniecznie oznacza konwersję.

Chcemy towarzyszyć ludziom, a nie podbijać statystyki. Cieszę się, kiedy ktoś znajduje swoje miejsce – w Kościele katolickim, prawosławnym, baptystycznym, zielonoświątkowym czy gdziekolwiek indziej i chce tam działać. Każdy Kościół ma swoje problemy – nasz również. Człowiek powinien się odnaleźć całym sobą w swoim Kościele. Jedno jest kluczowe: wspólnota musi być bezpieczna pod względem duchowym, jej członkowie nie mogą być wykorzystywani, manipulowani, szantażowani duchowo.

Przejmowanie wiernych to nie działalność antyekumeniczna?

Chrześcijaństwo to dom z wieloma pokojami. Są różnie urządzone, panuje w nich inna atmosfera – ale znajdują się w jednym budynku. Jeśli ktoś zmienia pokój, nie niszczy jedności. Luter pisał

o Kościele niewidzialnym: nie o instytucji, tylko o wspólnocie wszystkich wierzących. O tym, kto w niej jest, a kto nie, wie tylko Bóg. A pozory mogą mylić. Nigdy nie mówię, że w naszym Kościele jest pełnia środków zbawienia albo że gwarantujemy do niego najlepszą drogę. Powinniśmy się wszyscy wyzbyc pychy myślenia, że u nas jest lepiej. Jako ewangelicy uważamy, że to Bóg zbawia, poprzez swoją łaskę daje życie wieczne.

Różnorodność była w chrześcijaństwie od początku. Pierwsze zbory się różniły – to budziło napięcia, ale Kościół nigdy nie był monolitem, przestrzenią, w której obowiązywały te same tradycje. Dążenie do jedności polegającej na tym, że mielibyśmy spotkać się pod parasolem jednego Kościoła, jest błędne. Z drugiej strony irytuje mnie ekumenizm instytucjonalny, czyli oficjalne spotkania, podczas których hierarchowie debatują o tym, jak „znaleźć jedność w różnorodności”.

To jaki widzisz sens ekumenizmu?

Marzę o jedności w codzienności: w której chrześcijanie różnych wyznań są dla siebie przyzwoiwi, modlą się o siebie i się do siebie uśmiechają. Działamy wspólnie, nie rzucamy sobie kłód pod nogi, nie widzimy w sobie konkurencji, nie wytykamy jedni drugim, że źle odczytują Biblię. Taki ekumenizm na co dzień dzieje się w małżeństwach mieszanych, które muszą ustalić, według jakiego klucza wybierają kościół, do którego pójść w niedzielę, i w jakiej tradycji wychowują dzieci. Religia nie powinna stawać się powodem konfliktu. Ekumenizm to narzędzie, które może nas zabezpieczyć przed pychą wiary.

© P Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu, pod sygnaturą akt I Ns 315/18 toczy się postępowanie z wniosku Macieja Witka z udziałem Ewy Szewc, Bogdana Krempy, Andrzeja Krempy, Stanisława Krępy, Krystyny Czyż, Niny Kmuk o między innymi stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości oznaczonych jako działki ewid.: nr 173 o pow. 0,1640 ha, nr 1294/3 o pow. 0,5353 ha, nr 1395 o pow. 0,0261 ha, nr 1487 o pow. 0,0134 ha, nr 1488/5 o pow. 0,0944 ha położonych w Dymitrowie Dużym, gmina Baranów Sandomierski, powiat tarnobrzecki, województwo podkarpackie.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie trzech miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikami toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłoszący się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny, pod sygnaturą akt I Ns 251/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w Warszawie przy ulicy Krańcowej 46, stanowiącej działkę ewidencyjną nr 179 z obrębu 2-08-25 o pow. 0,0518 ha, nieruchomość ta nie posiada urzędzonej księgi wieczystej. Zgłaszający się posiadacze nieruchomości to: Grażyna Anna Bogucka i Miasto Stołeczne Warszawa.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w orzeczeniu końcowym.

ZUZANNA

Radzik: Pocztówka z Kościoła w kryzysie



MIAŁYŚMY POCZUCIE, ŻE PRZENIOSŁYŚMY SIĘ do miasta przyszłości. Po ulicach jeździli rowerzyści, rolkarze i deskorolkarze, a kierowcy im ustępowali. Jezioro i rzeka były tak czyste, że ludzie kąpali się w nich w czasie lunchu. W budkach telefonicznych były

aparaty pozwalające wysłać do domu e-maile, co próbowaliśmy robić, choć większość naszych rodziców internet miało w najlepszym razie w pracy, a najpewniej wcale. Patrzyliśmy na te budki jak na statek kosmiczny, zastanawiając się, kiedy takie będą u nas – my, przybyszy z przedmieścia Warszawy przełomu lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych. Harcerki, którym miejscowi skauci użyczyli swojej skautówki na obrzeżach miasta, dzięki czemu (oraz dotacji z gminy, akcjom zarobkowym i zaradnej drużynowej z dobrym angielskim) pokonałyśmy mizериę domowych budżetów i pojechałyśmy na obóz letni za granicę.

Skoro to się udało, to być może wszystko było możliwe. Choć prawdę mówiąc, najbardziej wierzyłam w te budki telefoniczne. Czysta woda w Wiśle oraz to, że kiedyś jazda rowerem po mieście nie będzie równoznaczną z samobójstwem, były nie do pomyślenia. Nie do pomyślenia było jeszcze coś: ciotka drużynowej, która w swojej katolickiej parafii mówiła kazania.

To już nawet nie była postać z przyszłości, ale kompletne zakrzywienie rzeczywistości. Anomalia. Plotki o tym, że gdzieś w świecie są kościoły, w których podają komunię na rękę albo gdzie dziewczyny są ministrantkami, jeszcze do nas docierały. Ale to? Nie pamiętam, żebym była zaciekawiona, żebym próbowała zrozumieć. Byłam zbyt zaskoczona.

Zbyt zaskoczona byłam też 15 lat później, rozmawiając z Diann Neu o feministycznych rytuałach i modlitwach, omalaniu ważnych momentów życia. Zaczęłam z rezerwą, ale opowieść o tworzeniu modlitw i rytuałów, które towarzyszą etapom życia kobiety albo onkologicznym pacjentom, kupowała mnie coraz bardziej. Być może dlatego, że pokazywała możliwość duszpasterstwa bliskiego, czułego i reagującego na to, co ważnego się

dzieje. Duszpasterstwa w rękach świeckiej kobiety, czyli czegoś, czego wciąż z własnego doświadczenia zupełnie nie znałam.

W dodatku Diann poszła dalej niż szwajcarska kaznodziejka, swoje duszom towarzyszenie (bo pasterstwo jednak zakłada gatunkową różnicę) ustanowiła sama. Że biskup jej go nie da, nie miała wątpliwości, ale były kobiety, które chciały to towarzyszenie przyjąć. Nie wymyśliła tego wczoraj, ciągnie tak od 40 lat. Wiało wolnością prawie jak w sztormowy dzień w Ostendzie.

Przypomniało mi się to, gdy przeczytałam o noworocznym liście biskupów diecezji Chur, Basel i St. Gallen, który podkreślał, że wierni mają prawo do liturgii zgodnej z zasadami Kościoła rzymskokatolickiego. Wierni okazali się niezbyt tą troską zachwyceni. Przypomnienie, że tylko ksiądz ma prawo sprawować Eucharystię, sakrament pojednania oraz namaszczenia chorych, skojarzono błyskawicznie ze sprawą pożegnania pracownicy pastoralnej Moniki Schmid w parafii, w której pracowała. Podczas mszy z tej okazji przewodniczący liturgii zaprosił ją do ołtarza, do koncelebry. Drugim skojarzonym z listem przypadkiem była Charlotte Küng-Bless – ta, na prośbę rodziny i umierającej, która nie życzyła sobie księdza, przygotowała rytuał pożegnania przypominający namaszczenie chorych.

W odpowiedzi na pouczenie biskupów podniosło się wiele ostrych głosów, w tym samych zainteresowanych. Küng-Bless skomentowała, że może trzeba uzgodnić prawo kanoniczne z wolą Jezusa, a Monika Schmid odpisała hardym listem. Było w nim przypomnienie, że liturgia, którą znamy, jest efektem zmian soborowych poprzedzonych liturgicznymi „eksperymentami” wspólnot. Ale było też odwrócenie ostrza w stronę biskupów: gdybyście z taką skrupulatnością zajmowali się kwestiami molestowania, sprawy potoczyłyby się inaczej, a ofiary czułyby się traktowane poważnie. Kpiła też z ich lęku przed Rzymem i zaznaczała, że taki list to nie duszpasterska troska, tylko podkładka. Dowód, że starali się utrzymać porządek w szeregach. Schmid pracowała dla Kościoła 40 lat, uważając to za swoje powołanie. Dziś biskupom wytyka niesprawiedliwość wobec kobiet.

Oto pocztówka z czasów Kościoła w kryzysie. Do waszych skrzynek prosto z niemieckojęzycznej Szwajcarii. Czy zresztą tylko stamtąd? Trzeszczy, kruszą mu się mury, obłazi farba niczym w nawach kościoła w mojej brukselskiej dzielnicy, ale wciąż celebrans i dwóch ministrantów idą procesją przez główną nawę, choć w ławach zebrało się ze 30 osób. Chłód włazi w kości, bo nie ma dla kogo grzać. Ledwo pulsuje życie, ale liturgia, że mucha nie siada. ©

TP

Nasza autorka nominowana!

ANNA GOC, autorka książki „**Głusza**” o problemach i sytuacji osób głuchych, w której znalazły się także fragmenty reportaży z „**Tygodnika Powszechnego**” – została nominowana do nagrody **Odkrycia Empiku** w kategorii **Literatura**. To nagroda przyznawana przez jury artystom z oryginalną i świeżą wizją, którzy szczególnie wyróżnili się w kulturalnym krajobrazie minionego roku.

Nagrodzonych w konkursie **Bestsellerów Empiku 2022** we wszystkich kategoriach poznamy **7 lutego 2023**.

Trzymamy kciuki za naszą autorkę!



FOT. GRAZYNA MAKARA / OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



OSTATNI PROMIEN ŚŁOŃCA

Nie dla wszystkich płynących
z Libii Europa jest celem.
Czasem pozostaje jedyną możliwością ucieczki.

TEKST I ZDJĘCIA **MARCIN ŻYŁA** ZE STATKU LEKARZY BEZ GRANIC NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM



HISTORIĘ O ŁODZI, KTÓRA PŁYNĘŁA ZA Księżycem, opowiedziano mi tylko raz. W zwyczajnych okolicznościach nie uwierzyłbym w nią łatwo. Jednak na morzu między Afryką i Europą dzieje się dziś tak dużo rzeczy trudnych do pojęcia,

że opowieść o owej niezwyklej podróży, choć szokująca, mieści się tu w przedziale normalności.

Wcześniej np. wiedziałem już o łodzi, którą płynęły głównie kobiety. Gdy z dwóch stron zbliżyły się do niej statki

Radość i nadzieja – pierwsze chwile migrantów na pokładzie statku ratunkowego „Geo Barents”. Morze Śródziemne, ok. 25 mil morskich od wybrzeży Libii. 7 stycznia 2023 r.

– ratowniczy z Europy i wojenny z Libii – niektóre z nich stanęły przodem do tego drugiego i odsłoniły piersi. Skonsternowani wojskowi zawrócili okręt.

Rozmawiałem też z kobietą, która odbierała telefony od ludzi na morzu. Zdziwiające, jak daleko od afrykańskiego brzegu łapie jeszcze zasięg. „Miewam kłopot z zapamiętaniem nazwisk znajomych. Ale o tym, kto dzwonił w sprawie azylu, gdzie był torturowany, pamiętam zawsze” – mówiła.

Księżyc, który zwodził łódź, wydaje się przy tym wszystkim historią niemal pospolitą.

Północ

W mesie „Geo Barents” – statku ratowniczego organizacji Lekarze bez Granic, który od półtora roku patroluje Morze Śródziemne niedaleko libijskich wybrzeży – leży drewniane pudełko. W środku jest mały kompas nawigacyjny. Taki sam, jaki ludzie organizujący transport migrantów zostawiają w ich łodziach i pontonach wypławianych nocami w morze.

Oprócz silnika (który działa, dopóki nie zaleją go fale) i plastikowych kanistrów na benzynę (których bywa za mało, zwłaszcza gdy prąd, zamiast nieść do Europy, ściąga w innym kierunku) kompas jest dla migrantów jedyną nadzieją. Wszystko kosztuje cztery tysiące dolarów – to cena podróży do Europy w styczniu 2023 r.

Na kompasie z „Geo Barents” zaznaczono kierunek 113 stopni – pomaga to w modlitwach, wskazuje Mekkę. Wielu ludzi na łodziach modli się jednak na wyczucie, bo niektórym, zwłaszcza podczas okresów dobrej pogody, Libijczycy mówią, że wystarczy im słońce. Ma wschodzić po prawej, robić półokrąg za plecami, zachodzić po lewej. Tak brzmi uproszczona definicja północy.

Nocami prowadzą gwiazdy. Ale na jednej z łodzi nieopatrznie zrozumiano, że wtedy trzeba płynąć za księżycem. Za dnia kilkadziesiąt osób, zgodnie z zaleceniami przemysłowców, płynęło tam, gdzie najmniej słońca. Nocą błędzili, bo zwodził ich księżyc. Ich łódź zataczała koła, ➔

→ to oddalała się, to przybliżała do libijskiego brzegu. Dopiero po kilku dniach odnalazł ich i uratował jeden ze statków ratowniczych.

Co wieczór z Libii wypływają też ludzie okłamywani przez przemytników, że jeszcze tej nocy, po kilku godzinach, zobaczą światła miast europejskich. Są to jednak światła platform wiertniczych. Po wyprowadzeniu łodzi ich pasażerami nie przejmują się nikt.

W samą porę

Ludzie z zespołu Lekarzy bez Granic na statku „Geo Barents” dobrze pamiętają tych, których podjęli z wody. Spędzają z nimi kilka dni. To trudny czas – za długi na grzecznościowe rozmowy, za krótki na dyskusje o przeżyciach w Libii. Zbierane są podstawowe informacje: o torturach, wykorzystywaniu, przetrzymywaniu w niesławnych ośrodkach dla migrantów. Niektórzy z nich spędzili tam nawet pięć lat. Bardzo szybko podwijają rękawy, aby pokazać ślady bicia.

Tak było 7 stycznia, gdy statek otrzymał zgłoszenie o gumowym pontonie znajdującym się ok. 25 mil morskich od brzegu Libii. Akcję ratunkową przeprowadzono podręcznikowo: 45 minut od dostrzeżenia jednostki wszyscy pasażerowie – 71 osób – znaleźli się na pokładzie „Geo Barents”.

Wszyscy byli na morzu tylko kilkanaście godzin. Wypłynęli poprzedniego wieczoru, ale prądy spychały ich wciąż w stronę brzegu. Przez pierwsze 12 godzin pokonali niewiele ponad 40 km. Pogoda już się pogarszała – pół godziny po ich podjęciu z morza zaczął padać rzęsy deszcz.

Większość z nich zostanie we Włoszech, ale ci, którzy nie będą potrafili udowodnić, że po powrocie grozi im niebezpieczeństwo, zostaną odesłani do krajów pochodzenia. Wśród nich będą i tacy, którzy ponownie spróbują przeprawy. Na „Geo Barents” powtarzana jest historia o człowieku, którego w odstępie kilkunastu miesięcy podjęto z morza dwukrotnie. Jedna z pracujących tu pielęgniarek poznała pacjenta, którego wcześniej leczyła w jednym z państw afrykańskich w ramach innego projektu.

Świat na Morzu Śródziemnym jest, równocześnie, wielki i kameralny.

Ucieczka

Według szacunków organizacji praw człowieka w Libii może przebywać na-

Podczas rozmów z migrantami

trzeba uważać na to, co się mówi. Trzeba uważnie słuchać – także milczenia.

wet 600 tys. migrantów. Jeszcze za czasów Muammara Kaddafiego kraj był atrakcyjnym rynkiem pracy. Dzięki libijskim petrodolarom funkcjonował tu system szczodrych dopłat, m.in. do cen żywności. Praca w Libii stała się wyjątkowo opłacalna. Już w latach 80. XX w. przez Saharę przybywali tutaj zwłaszcza mieszkańcy państw Sahelu, do dziś jednego z najuboższych regionów świata.

Powstał wtedy system, w którym migrantów (formalnie wielu z nich przebywało tu nielegalnie) można zatrzymywać i więzić pod byle pozorem. Od ponad dekady praktyki te są właściwie zalegalizowane. W libijskich „ośrodkach zatrzymań” ludzi „wypożyczają” się lokalnym przedsiębiorcom i zmusza do pracy, zwykle na budowach lub w rolnictwie. Niektórzy dostają jedzenie co dwa, trzy dni. Śpią na posadzkach, słońce w pomieszczeniach pełnych innych ludzi. Do picia dostają słoną wodę. Od wiosny 2022 r. Unia Europejska zaczęła nazywać takie centra zatrzymań łagodniej niż wcześniej – „ośrodkami recepcyjnymi”.

Ośrodki te są prowadzone przez lokalnych watażków i powiązane z rozwiniętymi od czasu wojny syryjskiej (przez Libię wiódł jeden ze szlaków ucieczek) sieciami przemytu i handlu ludźmi. Migranci są w nich poddawani przemocy i nadużyciom, których celem jest najczęściej wymuszanie na ich rodzinach haraczu w zamian za zwolnienie. A czasem – za możliwość dalszej podróży do Europy.

Niektórzy migranci wracają do krajów swojego pochodzenia – sami przez pustynię, ponownie narażając się na niebezpieczeństwo porwań, lub z pomocą instytucji międzynarodowych. W południowo-wschodniej części kraju deportacje do Sudanu są właściwie wywózkami dokonywanymi przez rządzące w tym

regionie bojówki. Granica z Tunezją jest zamknięta. Od Algierii odgradza Libię bezkres pustyni. Dla pewnej części ofiar libijskiego systemu jedyną możliwością pozostaje droga do Europy przez morze.

I jej trzy możliwe zakończenia: przechwycenie przez libijską straż przybrzeżną, śmierć podczas rejsu lub światła przyjaznego statku.

Prawo

Po podjęciu z morza ludzi „Geo Barents” informuje władze Libii, Włoch i Malty o każdym swoim zamiarze. 7 stycznia akcja ratownicza jest koordynowana z Rzymu. Włochy w ostatnich tygodniach, inaczej niż wcześniej, czynią to nawet w libijskiej strefie poszukiwań i ratownictwa. Kilkadziesiąt minut po podjęciu z morza migrantów nakazują statkowi powrót do Ankony, portu w środkowej części adriatyckiego wybrzeża Włoch. To cztery doby rejsu. „Geo Barents” obiera kurs na północ, ale z początku płynie wolno, w nadziei, że będzie można jeszcze komuś pomóc. Nie udaje się jednak natrafić na żadną łódź.

Wyznaczanie odległych portów to najnowsza odsłona długiego sporu między kolejnymi rządami Włoch a organizacjami pozarządowymi, które w 2014 r., po zakończeniu sponsorowanych przez państwo operacji poszukiwawczych, zaczęły wysyłać na Morze Śródziemne własne statki.

Politycy nazywają je „taksówkami dla migrantów” i twierdzą, że sama ich obecność zachęca do podejmowania ryzykownych przepraw z Afryki. Organizacje odpowiadają: tylko 10 proc. ludzi dociera do Włoch na pokładach ich statków. Tajemnicą poliszynela jest fakt, że włoska marynarka wojenna także ratuje ludzi – choć z powodów politycznych Włosi się tym nie chwala.

Ale przy niemal każdej zmianie władzy w Rzymie spór zaczyna się na nowo.

Słowa

Na pokładzie „Geo Barents” podczas rozmów z migrantami trzeba uważać na niektóre słowa.

Np. ze słowem „policja” – gdy chce się powiedzieć, że we włoskim porcie będzie od nich pobierać odciski palców. Od razu trzeba dodać: włoska policja nie bije.

Albo ze słowami: „masz prawo do”. Mieć do czegoś prawo dla wielu z nich

to abstrakcja. Statek „Geo Barents” może być pierwszym miejscem, w którym ktoś się nimi opiekuje. Jedna z pielęgniarek mówi, że po konsultacji medycznej wielu z nich chce w podzięcie ją ścisnąć. To pierwszy moment, gdy ktoś zadbał o ich zdrowie.

Trzeba też uważnie słuchać. W Libii chętnych do pracy tymczasowej zabiera się ze skrzyżowań i placów. Ale w ostatnim czasie przybywa historii o tym, że zamiast na budowę migranci trafiają do domów bogatych Libijczyków i są zmuszani do seksu. Do przemocy dochodzi jeszcze stygma, jaką obarczony jest tu homoseksualizm. Podjęci z wody mówią wtedy: „Mnie też wtedy zabrali – ale ja w tym nie uczestniczyłem”.

Trzeba wiedzieć, co to znaczy.

Podróż zbliża – wielu z tych ludzi było razem w ośrodkach zatrzymań – na łodzi po kilku dniach znają się już wszyscy. Czasem pytam ich o to jest naj-

bardziej pewnym sposobem sprawdzenia, czy nikogo nie brakuje. W każdej grupie migrantów są też tacy, którzy stonią od innych. Patrzą godzinami w morze i milczą.

Promień

Ostatniego dnia podróży do Ankony, gdy radość z wybawienia ustąpiła miejsca zmęczeniu i zniecierpliwieniu, po sztormie, który sprawił, że wielu migrantów cierpiało na chorobę morską, przyszedł czas wypatrywania światła pierwszego miasta Europy.

Wtedy usłyszałem historię o ostatnim promieniu słońca. Można go zobaczyć tylko wtedy, gdy morze jest spokojne, a powietrze czyste, często po burzy. To ostatnia wiadomość, którą wysyła słońce, zanim zniknie za horyzontem. Ci, którzy mieli szczęście je zobaczyć, wiedzą, że ostatni promień słońca jest zielony. Jego dostrzeżenie wymaga jednak dużej cier-

pliwości. Zrobienie zdjęcia temu zjawisku zdjęcia graniczy z cudem. A jednak – komuś się to udało.

Na ląd w Ankonie wysiadali niepewnie, przymierzając buty, które otrzymali od załogi „Geo Barents”. Szli przez szpaler medyków, pracowników Czerwonego Krzyża, policji, nieopodal mocnymi reflektorami oświetlały ich ekipy telewizyjne. Sześć godzin trwało, zanim pozwolono im zejść po trapie do Europy.

Statek „Geo Barents” organizacji Le karze bez Granic pozostaje w tej chwili jednym z dwóch statków ratunkowych na Morzu Śródziemnym. Kilkanaście innych, mniejszych jednostek może tej wiosny nie wypłynąć z europejskich portów. Koszty paliwa i utrzymania załogi, związane z wypełnianiem nowego włoskiego prawa, dla wielu mniejszych organizacji mogą się okazać za duże.

© P MARCIN ŻYŁA

Akcja ratunkowa – przejmowanie migrantów na pokład statku „Geo Barents” z motorówki ratunkowej. Morze Śródziemne, ok. 25 mil morskich od wybrzeży Libii. 7 stycznia 2023 r.



Puszkina na cenzurowanym

TOMASZ OTOCKI

**U naszych północno-wschodnich sąsiadów coraz mniej Rosji.
Już nawet Deszcz nie mży nad Bałtykiem.**

KRAJE BAŁTYCKIE OSWOBODZIŁY SIĘ spod okupacji sowieckiej w 1991 r., ale dziś, na skutek wojny w Ukrainie, przeżywają niejako ciąg dalszy tego procesu. Derusyfikuje się ulice, zmienia nazwy szkół, niedługo w Łotwie i Estonii nie będzie już edukacji w języku rosyjskim. Niektórzy Bałtowie zastanawiają się, czy w dobie agresywnej wojny wypada pójść na „Dziadka do orzechów”. A niedawno Rygę opuścić musiała nawet rosyjska opozycyjna telewizja Deszcz (Dožd’).

Łabędzi śpiew

Pastor Paweł Lewuszkian lubi trochę prowokować. Jest przeciwnikiem Putina, emigrantem z Federacji Rosyjskiej, jego syn działa w łotewskiej partii liberalnej.

W drugi dzień Bożego Narodzenia Lewuszkian zamieszcza na Facebooku repertuar Ryskiego Teatru Opery i Baletu. Mimo wojny na Łotwie wciąż będzie można obejrzeć w tym roku „Jezioro łabędzie” i „Dziadka do orzechów” Piotra Czajkowskiego, „Romea i Julię” Siergieja Prokofiewa czy „Fontannę Bakczysaraju” Borisa Asafiewa. Łotysze świętują, a wpis pastora komentują oszczędnie – w inny dzień tutejszy internet rozgrzałby się pewnie do czerwoności.

Moja ryska znajoma Beata Surgoft (jej polska rodzina od pokoleń mieszka na Łotwie) ma mieszane uczucia co do rosyjskiej kultury: – Poszłabym na „Jezioro łabędzie” – informuje mnie z rana, obiecując, że więcej napisze wieczorem. Jednak później przychodzi refleksja: – Mamy w Rydze Rosyjski Teatr im. Michaiła Czechowa, poziom artystyczny jest wysoki. Może poszłabym tam, ale jeszcze nie dzisiaj, jest wojna – deklaruje.

Przy czym wspomniany balet ma na Łotwie podwójny wydźwięk. To nie tylko wybitne dzieło Czajkowskiego, ale także

pojęcie symbolizujące koniec Związku Sowieckiego: – Gdy on upadał, główne programy sowieckiej telewizji nadawały „Jezioro łabędzie” i prawie nic więcej. Dlatego to dla nas tak bardzo niejednoznaczny spektakl – mówi ryska Polka.

Litewska derusyfikacja

Na sąsiedniej Litwie, paradoksalnie, jest nieco ostrzej – choć to kraj, który od lat stosuje wobec Rosjan o wiele bardziej liberalną politykę niż rządy w Rydze i Tallinnie (np. teraz nie zamierza zamykać szkół rosyjskojęzycznych, przetrwają tak samo jak szkoły polskie).

Litewski Narodowy Teatr Opery i Baletu już na początku inwazji wykreślił z repertuaru utwory Czajkowskiego (choć w międzyczasie wróciły). „Dopóki Rosjanie będą podkreślać, że chcą zniszczyć Ukrainę jako kraj, zniszczyć jej kulturę, możemy odpowiedzieć na to wezwaniem i powstrzymać się od rosyjskich dzieł” – powiedział niedawno mediom minister kultury Litwy Simonas Kairys. Później chyba sam przestraszył się swoich słów, bo gdy go pytam, jaką rolę powinna odgrywać kultura rosyjska na Litwie, odpowiada wymijająco: – To nie jest ważne pytanie, ważne jest wsparcie dla Ukrainy.

Na Litwie derusyfikacja coraz bardziej przenika społeczeństwo, zresztą w każdym wymiarze. Z jednej strony to usuwanie pomników armii sowieckiej, ostatnio na cmentarzu na Antokolu w Wilnie. Z drugiej zmiany nazw: gimnazjum Puszkina w Kownie stało się Gimnazjum Międzynarodowym, szkoła Gorkiego w Kłajpedzie to teraz Szkoła Portowa, a Rosyjski Teatr Dramatyczny, w budynku przedwojennej polskiej Pohulanki, otrzymał nic niemówiącą w Wilnie nazwę Teatr Sławy. I jeszcze pojawi się przed nim pomnik Antanasa Smetony, przedwojennego dykta-



tora, który nie słynął z miłości do mniejszości narodowych.

Z trzeciej strony Litwę czekają 5 marca wybory samorządowe. Po raz pierwszy w historii Kłajpedy, gdzie prawie jedna czwarta mieszkańców mówi po rosyjsku, nie wystartuje żadna lista odwołująca się do tego elektoratu. Posłanką z tego portowego miasta była kiedyś Irina Rozowa, bliska sojuszniczka Waldemara Tomaszewskiego, szefa Akcji Wyborczej Polaków na Litwie – Związku Chrześcijańskich Rodzin, który wcześniej oskarżany był o prorosyjskie sympatie. Jednak po 24 lutego Tomaszewski jest nad wyraz ostrożny.

Nadużycie gościnności

Moja znajoma z Łotwy, która prosi, by nie podawać jej nazwiska, bo mieszka w małym mieście i jest tam rozpoznawalna, deklaruje: – Nawet nie wiesz, jak ciężka była dla mnie Wigilia prawosławna.

Znajoma jest Polką, ale płynie w niej także rosyjska krew i chodzi do cerkwi. – Tak do końca nawet trudno określić, co ja czuję: wstyd, strach? Że jestem na



Centrum Rygi – baner wyrażający poparcie dla Ukrainy. 6 czerwca 2022 r.

– Oni zostali zaproszeni na Łotwę jako kanał jednoznacznie opozycyjny w stosunku do Putina. To imperialiści, ale gdzie widziałeś innych Rosjan? Na Łotwie pojawił się pomysł wykorzystania Deszczu jako narzędzia do wpłynięcia na putinowską Rosję. Tę szansę stracono – twierdzi były poseł.

Jednak pytanie brzmi: czy te możliwości w ogóle istniały? Czy na Łotwie są specjaliści i instytucje, które mogłyby je wykorzystać?

– Obawiam się, że nie. A więc po stronie łotewskiej zamknięcie kanału także jest porażką – przyznaje Grigorjews. Nie mówi tego wprost, ale gdzieś w tym wszystkim pobrzmiewa lęk przed hasłem łotewskich nacjonalistów: „Nie chcemy rosyjskiego słowa na Łotwie, nawet opozycyjnego wobec Putina”.

To było szczególnie widoczne po 2014 r. Estonia stworzyła wtedy rosyjskojęzyczny kanał telewizyjny ETV+ dla swoich obywateli, Łotwa do dziś nie odrobiła lekcji.

Mapa z Krymem

Gwoli przypomnienia: telewizja Deszcz, przez 12 lat nadająca w Federacji Rosyjskiej, zaczęła działać na Łotwie w lipcu 2022 r. (miesiąc wcześniej otrzymała licencję). Niedawno, 8 grudnia, Narodowa Rada Mediów Elektronicznych Łotwy podjęła decyzję o cofnięciu zgody na nadawanie. Jako powód podano „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i porządku publicznego”.

Telewizja popełniła w międzyczasie dużo błędów, o których wspominał Grigorjews. Wielu Łotyszów pamięta jednej z dziennikarek arogancki wywiad z merem Rygi Mārtiņšem Stāķisem, który poważnie się zburzył Pomnik Zwycięstwa w stolicy (co ciekawe, sam mer-liberał nie skarżył się na wspomnianą rozmowę). Telewizja raz po raz pokazywała mapę Federacji Rosyjskiej z anektowanym do niej Krymem. Lekceważyła także obyczaje, każące komunikować się z urzędami na Łotwie w języku państwowym.

Jednak prawdziwym szokiem był program Aleksieja Korostelowa, w którym dziennikarz wzywał Rosjan do zgłaszania problemów rosyjskich żołnierzy podczas mobilizacji. „Wracajcie do Moskwy” ➔

pół Rosjanką, że jestem prawosławną... Putiniści zawłaszczyli samo pojęcie „ruskości”. Ja teraz muszę złożyć siebie jak puzzle od nowa. Oczywiście to nic w porównaniu z tym, co przeżywają na wojnie – mówi, a ja nie wiem, co odpowiedzieć. Czy pocieszać? Czy może zapytać, co sądzi o ostatnim skandalu z telewizją Deszcz?

Teoretycznie powinna ona odnieść sukces. Na Łotwie już od jakiegoś czasu z powodzeniem funkcjonowały media przeniesione z Federacji Rosyjskiej, takie jak portal Meduza (działa w Rydze od 2014 r.) czy „Nowaja Gazietā. Jewropa” (założyli ją dziennikarze „Nowoj Gaziety”, którzy opuścili Rosję po inwazji).

Wielu Łotyszów, tych bardziej liberalnych, wiązało pewne nadzieje z pojawieniem się rosyjskiego słowa na Łotwie – ale właśnie opozycyjnego, a nie proputinowskiego, jak wiele lokalnych mediów adresowanych do mniejszości (pozytywnym wyjątkiem jest czwarty kanał radia publicznego, który na Łotwie, podobnie jak w Estonii, nadaje po rosyjsku).

Jedną z takich osób był Aleksejs Grigorjews, literaturoznawca, dziennikarz i polityk, poseł do Rady Najwyższej Łotwy w latach 1990-93 (głosował wtedy za niepodległością kraju od Związku Sowieckiego). Grigorjews od lat angażuje się w sprawy rosyjskie i ukraińskie. Sam ma pochodzenie na pół słowiańskie.

– Mam mieszane uczucia co do Deszczu – mówi „Tygodnikowi”, wskazując, że telewizja popełniła wszystkie możliwe błędy, jakie można było popełnić. Nie chciała się wczuć w sytuację łotewską, traktowała kraj z imperialną arogancją. – Zaczęli nas pouczać, czy burzyć pomniki sowieckie czy nie. Doszło do nadużycia gościnności, a władze miały wszelkie powody, aby anulować licencję tej telewizji – przekonuje Grigorjews.

Stracona szansa?

Z drugiej jednak strony osoby takie jak Grigorjews w wyproszeniu telewizji Deszcz znad Dźwiny (obecnie będzie ona nadawać z Holandii) widzą straconą szansę.

→ – zaczęli wtedy mówić nawet liberalni politycy łotewscy.

Czy telewizja mogła zostać dłużej nad Bałtykiem? Mój rosyjski znajomy, który opuścił Federację Rosyjską po inwazji i przez kilka miesięcy mieszkał w Rydze, uważa, że tak. – Myślę, że sytuacja jest wynikiem poważnego nieporozumienia między Deszczem a władzami Łotwy. To jedyna niezależna rosyjska stacja telewizyjna, która ma długą historię mówienia prawdy rosyjskiej publiczności, jest zdecydowanie jednym z największych źródeł informacji o wojnie w Ukrainie w języku rosyjskim i co bardzo ważne, dostarcza informacji o konsekwencjach wojny dla Rosji jako kraju – mówi Artiom Filatow, autor internetowego kanału (nadawanego z Warszawy), „Opyt swobody”.

Zmienimy Moskiewskie Przedmieście

Dziennikarz wierzy, że teraz media rosyjskie poza granicami kraju wyciągną wnioski ze sprawy Deszczu. Co ciekawe, nie przekreśla Łotwy jako dobrego miejsca dla niezależnych mediów. – Trzeba pamiętać, że ten kraj dał możliwość bezpiecznego kontynuowania pracy setkom dziennikarzy i dziesiątkom redakcji z Rosji. To bardzo ważne w sytuacji wojny i represji. Jest dobry przykład „Nowoj Gaziety”, która przeniosła się do Rygi i wydała nawet kilka numerów w języku łotewskim – twierdzi Filatow.

Tymczasem niektórzy Łotysze nie chcą nic słyszeć nie tylko o „imperialistycznej, pseudoopozycyjnej telewizji”, ale także o rosyjskiej kulturze. W połowie grudnia rada miejska Rygi, głosami rządzącej koalicji – od lewicowej partii Postępowi do nacjonalistów – zmieniła cztery nazwy ulic, m.in. Mstisława Kiełdysza, profesora Uniwersytetu im. Łomonosowa w Moskwie, jednego z twórców sowieckiego programu atomowego, a także ulicę Starej Rusi. Patronem tej ostatniej zostanie Hugo Celmiņš, przedwojenny premier Łotwy i burmistrz Rygi.

Niektórzy chcą iść dalej i derusyfikować ulicę Moskiewską, a także Moskiewskie Przedmieście (to dzielnica niedaleko dworca kolejowego, w czasie wojny mieściło się tam getto). Problem w tym, że jest to jedna z najdłuższych ulic miasta, z wieloma adresami. Poseł centroprawicowej Nowej Jedności Gatis Liepiņš na moje pytanie, czy taki będzie kolejny krok rady miejskiej Rygi, odpowiada, że chciałby

Wycofanie języka rosyjskiego ze szkół i zastąpienie go zachodnimi może być kolejnym, po Rail Baltica, krokiem do bałtyckiej jedności.

poznać badania opinii publicznej, ale nazwę części ulicy można by zmienić, szczególnie w centrum miasta. Gotowość zatem jest.

Od rosyjskiego lepszy szwedzki

„Sensacja: język polski w litewskich szkołach” – taki tekst ukazał się ponad dekadę temu w polskojęzycznym „Kurierze Wileńskim”. Tym razem może być więcej takich nagłówków. Pod koniec grudnia litewskie Ministerstwo Oświaty, kierowane przez konserwatystkę Jurgitę Šiugždiniene, ogłosiło pomysł na depopularyzację języka rosyjskiego jako drugiego języka obcego w szkołach (pierwszym od lat jest angielski, rosyjskiego uczy zaś prawie tysiąc pedagogów, którzy być może będą musieli się przekwalifikować).

„Języki niemiecki i francuski, które zyskują na popularności, albo polski, łotewski i hiszpański mogłyby zastąpić język rosyjski. Będziemy współpracować m.in. z polską ambasadą w tej sprawie” – powiedziała mediom minister. Plan jest taki, by w ciągu pięciu lat zmniejszyć popularność języka Puszkina z 70 proc. do 30 proc., aby młodzi Litwini nie znali już tego języka albo uczyli się go niekoniecznie w szkole.

Priorytetowo ma być zapewniony dostęp do języków Goethego i Woltera, ale w przyszłości, kto wie, być może w szkołach w Wilnie, Kownie i Kłajpedzie pojawi się język polski. O ile na Wileńszczyźnie polszczyzna wciąż jest popularna, nawet wśród niektórych Litwinów, to w Kownie po polsku dogadać się obecnie nie można. „Także język łotewski mógłby być atrakcyjny na obszarach graniczących z Łotwą” – podkreśla minister.

Być może to kolejny, po budowanej od lat Rail Baltica, krok do bałtyckiej jedności. Odpowiednie zmiany przygotują także Łotysze. Tamtejsze Ministerstwo Oświaty i Nauki chce, by od 2026 r. w szkołach można było nauczać tylko ofi-

cialnych języków Unii Europejskiej jako języków obcych. „To szansa dla maltańskiego” – irytują się Rosjanie w internecie, wskazując, że Łotwa zawsze leżała blisko Rosji, że mniejszość rosyjska także przed wojną stanowiła pokaźny procent obywateli i zakazywanie rosyjskiego w szkole, podobnie jak „Jezióra łabędziego”, jest głupie, bo co się stanie, jeśli reżim Putina wreszcie upadnie?

Zaczarujemy Europę

Politycy w Rydze na razie o tym nie myślą. Są natomiast pomysły popularyzacji kultury ukraińskiej. Niedawno łotewski portal LSM zaczął publikować treści w językach Szewczenki i Mickiewicza. Łotysze zaczynają się interesować, dlaczego po 1945 r. Ukraińcy stracili własny język, także ci mieszkający na Łotwie.

– Myślę, że kultury rosyjskiej będzie teraz po prostu mniej, a zastąpi ją nie jedna kultura, ale większa różnorodność. W tej różnorodności jest miejsce dla pierwiastka ukraińskiego, a także dla polskiego – mówi „Tygodnikowi” Aleksejs Grigorjews.

Czy to powrót do przedwojennej Łotwy, gdzie na ulicach Rygi słyszało się nie tylko łotewski i rosyjski, ale także polski, żydowski, niemiecki, litewski czy białoruski?

– Nie marzę o powrocie, ale o pójściu do przodu. Wydaje mi się, że teraz na Łotwie drugim językiem powinien być angielski, a nie rosyjski czy niemiecki. Chciałbym, żeby były obecne inne języki i kultury, zarówno naszych mniejszości, jak i kultury skandynawskie – mówi Grigorjews, który nie jest też przeciwny językowi niemieckiemu. W końcu to także część bałtyckiej historii.

Litwini także odkryli dla siebie kulturę niemieckojęzyczną, nie tylko z powodu ich prezydenta, który – podobnie jak prezydent Łotwy – mówi w tym języku, czy też żołnierzy Bundeswehry, którzy stacjonują w Rukli, gdzie tworzą trzon batalionowej grupy bojowej NATO na Litwie. Ostatnio „Dziadka do orzechów” zastąpiono w Litewskim Narodowym Teatrze Opery i Baletu „Zaczarowanymi oczami” z muzyką Wolfganga Amadeusza Mozarta (do słów E.T.A. Hoffmanna).

Zaczarujemy mapę Europy, może obudzimy się w świecie bez Rosji – żartują w nowym roku Litwini.



TOFIK BABAYEV / AFP

Azerbejdżańscy żołnierze w punkcie kontrolnym w Lachin, jedynym lądowym połączeniu Górskiego Karabachu z Armenią.
27 grudnia 2022 r.

Mąki zabrakło w Stepanakercie

JAKUB OSIECKI

Górski Karabach nie jest w stanie funkcjonować bez ekonomicznego wsparcia Armenii. Tymczasem od ponad miesiąca ta ormiańska enklawa jest blokowana przez wojska Azerbejdżanu. O co chodzi w tej rozgrywce – i kto na niej zyskuje?

SAMI JESTEŚCIE SOBIE WINNI. NIKT WAS w Europie nie słucha i nie chce Was usłyszeć” – napisał ostro o Ormianach na swoim profilu na Facebooku Aleksander Łapszyn, rosyjski Żyd, niezależny bloger, globtroter oraz, powiedzmy to szczerze, działacz proormiański.

Historia Łapszyna mogłaby stanowić kanwę dla filmu sensacyjnego, ale osobiste jego losy odłożymy na bok. Jego gorzkie podsumowanie trwającej od

12 grudnia 2022 r. blokady ludności ormiańskiej ma podwójną wagę. Był on bowiem więziony przez azerbejdżański reżim prezydenta Ilhama Alijewa i cudem uniknął śmierci. W Erywanii, stolicy Armenii, jest traktowany jak bohater, a od kilku lat lobbuje na rzecz Armenii. Jednak obecna sytuacja zmusiła go do zdystansowania się – i innego spojrzenia na sytuację polityczną na Kaukazie Południowym.

Kruchy pokój

Jesienią 2020 r. Ormianie ponieśli druzgocącą klęskę w tzw. drugiej wojnie karabańskiej. Zaatakowani przez wojska Azerbejdżanu, nie potrafili odeprzeć ataków i po kilku tygodniach złożyli broń. Walki toczono o małą enklawę ormiańską, istniejącą *de iure* pod władzą Azerbejdżanu, ale *de facto* od początku lat 90. XX w. będącą niezależną Republiką Górskiego Karabachu. Dziś Ormianie kontrolują zaledwie jedną trzecią terytorium dawnej Republiki Górskiego Karabachu.

Pomimo niedawnej przegranej do grudnia 2022 r. enklawa ta miała połączenie drogowe z Armenią przez tzw. korytarz łączyński. Ten wąski pas ziemi formalnie opanowali Azerbejdżanie, ale zabezpieczały go rosyjskie wojska, występujące jako „siły pokojowe”. Umożliwiały Ormianom swobodny przejazd i łączność Karabachu z Armenią. Dla utrzymania kruchego pokoju miało wystarczyć 2 tys. rosyjskich żołnierzy i pozycja Moskwy w regionie. Tyle że ta w ciągu ostatnich miesięcy została już kilka razy przez Azerbejdżan podważona.



→ Wygrana w 2020 r. i zdobycze terytorialne na Górskim Karabachu nie wystarczyły władzom w Baku. Zapragnęły czegoś więcej: wytyczenia korytarza tranzytowego, który pozwoliłby na połączenie Azerbejdżanu i bratniej dlań Turcji – oczywiście kosztem kolejnych terytoriów należących do Republiki Armenii (korytarz miał przechodzić bowiem przez jej dwie prowincje, Zangezur i Sjunik).

Jak na razie Armenia stopuje tego rodzaju projekty, ale prezydent Alijew rozpoczął realizację kolejnego planu – zakłada on odzyskanie pełnej kontroli nad Karabachem, który uważa za historyczne azerbejdżańskie ziemie. Narzędziem do takiego odzyskania kontroli ma być sztuczne wywołanie kryzysu humanitarnego i w efekcie zmuszenie Ormian z Karabachu – tych, którzy tam jeszcze zostali – do exodusu.

Blokada

Od 12 grudnia 2022 r., od godziny 10.30, Karabach jest skutecznie zaryglowaną prowincją, otoczoną przez wojska Azerbejdżanu. Ormianie z Karabachu nie chcą jednak wyprowadzić się dobrowolnie. To dla nich także historyczne ziemie i kolebka ich ojczyzny, tej pradawnej i tej obecnej. A w takich momentach, kiedy jedna pięćdziesiąta ziemi stanowi kolebkę dwóch zwaśnionych narodów, nie tylko historycy mają twardy orzech do zgryzienia.

Rozważania historiograficzne na niewiele się teraz już zdadzą, a sytuacja Ormian pogarsza się z każdym dniem. Wstrzymane zostały dostawy gazu i żywności. Wcześniej codziennie przez korytarz lacyński przechodziło 400 ton żywności i różnego rodzaju produktów – tymczasem w ciągu ostatnich 20 dni udało się jedynie dostarczyć niecałą tonę i to głównie dzięki pomocy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

W efekcie w Karabachu produkty spożywcze powoli kończą się w sklepach. Warzywa i owoce są dostępne w ograniczonej ilości. Ryż, cukier, mąka praktycznie się skończyły. Wprowadzono odgórnie system kartkowy i politykę reglamentowania żywności. Region znajduje się na granicy katastrofy. Najbardziej popularne leki, jak aspiryna czy środki przeciwbólowe, już zniknęły z aptek. Ponadto uniemożliwiono transport rannych ze szpitala w Stepanakercie (stolicy Górskiego Karabachu) do lepiej wyposażonych

Wobec osłabienia Rosji alternatywą dla Armenii i partnerem w rozmowach z Azerbejdżanem może być Iran.

szpitali w Erywaniu. W drodze wyjątku jedynie 27 grudnia karetka Czerwonego Krzyża przewiozła trzech chorych.

Dodajmy, że Karabach nie jest w stanie funkcjonować bez ekonomicznego wsparcia Armenii. A wedle oficjalnych danych 26 tys. z jego 120 tys. mieszkańców to dzieci.

Powód czy pretekst?

Oficjalnym powodem blokady, podawanym przez Baku, ma być fakt, iż strona ormiańska nie zgodziła się na kontrolę (przez azerskich ekologów i ekoaktywistów) kopalni miedzi (The Base Metals), która działa w obszarze przygranicznym. Pod pretekstem zanieczyszczania środowiska (być może do takiego dochodziło – tego nie wiadomo) planowano dokonać tam wizji lokalnej.

Ormianie nie zgodzili się i azerbejdżańscy „ekoaktywiści” zablokowali drogę. Ekologia jest tu jednak, jak się zdaje, tylko przykrywką do dalszego eskalowania konfliktu – bo chcąc wyjść z impasu, prezydent Górskiego Karabachu Arajik Harutjunian zdecydował 28 grudnia tymczasowo wstrzymać wydobywanie miedzi w kopalni oskarżanej o lekceważenie ekologii. Ormiańskie władze Karabachu wystosowały też apel do ONZ o skierowanie niezależnych obserwatorów mających zdecydować, czy kopalnia zachowuje standardy wydobywania miedzi (na marginesie można by zapytać, dlaczego azerbejdżańscy ekolodzy protestują w korytarzu lacyńskim – gdzieś w odległym Karabachu – a nie na totalnie zdewastowanym przez wydobywanie ropy i gazu Półwyspie Apszerońskim, w samym centrum Azerbejdżanu?).

Nie wiemy, co dzieje się dziś w samym korytarzu lacyńskim – żadne media, czy to oficjalne (nie mówiąc o propagandowej telewizji z Azerbejdżanu), czy niezależne nie są obecne na miejscu, gdzie zablokowano drogę. Wojska rosyjskie za-

mknęły dojazd do korytarza lacyńskiego od strony Stepanakertu i od strony Goris (tj. Armenii), motywując ten krok bezpieczeństwem Ormian. Ormianie nie są dopuszczani do miejsca samej blokady, gdyż według Rosjan może to spowodować wybuch nowej wojny. W ten sposób politykom w Erywaniu i Baku znów przychodzi zdać się na wątpliwy autorytet i równie wątpliwą bezstronność Moskwy.

Podejrzenia Paszyniana

Ludność Karabachu jest już mocno poirytowana brakiem bardziej stanowczej reakcji ze strony Rosji. Ormianie nie tylko domagają się, aby dopuścić ich do miejsca, gdzie fizycznie blokowana jest droga, ale żądają podjęcia realnych działań w celu zapewnienia bezpieczeństwa ich rodakom.

W związku z tym kilkuset mieszkańców Stepanakertu w marszu protestacyjnym udało się do głównej siedziby rosyjskich wojsk, ulokowanej na dawnym lotnisku w tym mieście. Protestujący domagali się – dodajmy, bezskutecznie – spotkania z głównodowodzącym tych wojsk Andriejem Wołkowem. Sztab rosyjski zapewnia, że negocjacje trwają, choć sam Wołkow jakby przepadł bez wieści.

Przez chwilę wydawało się, że spór miał już szansę być rozwiązany, a droga odblokowana. 23 grudnia w Petersburgu, przy okazji spotkania głów państw Wspólnoty Niepodległych Państw, miała się odbyć kolejna seria rozmów pokojowych z udziałem premiera Armenii Nikoli Paszyniana i prezydenta Azerbejdżanu Ilhama Alijewa. Premier odmówił jednak udziału w spotkaniu.

Nie chodzi tu o brak dobrej woli. Jak się przypuszcza, Paszynian coraz bardziej skłania się ku stanowisku, że działania Rosji i Azerbejdżanu są skoordynowane. Obawia się, że kryzys wokół korytarza lacyńskiego jest straszakiem, który ma wymusić na Armenii podpisanie ostatecznego porozumienia pokojowego, a blokada korytarza to tylko karta przetargowa w kontekście wspomnianego korytarza tranzytowego w Zangezurze, który poszatkuje i tak już mikroskopijną Armenię.

Kto słucha Putina

Armenia (dotychczas dość prorosyjska) oraz rząd Paszyniana coraz śміiej dystansują się wobec polityki zagranicznej Federacji Rosyjskiej. Przywódca Ar-

menii już nie tak chętnie fotografują się wspólnie z Rosjanami i wstrzymują się od podpisania kolejnych stosów umów o przyjaźni z Kreml. Także za sprawą wojny w Ukrainie Armenia zweryfikowała swoje stosunki z Rosją, gdyż ta nie jest w stanie zapewnić bezpieczeństwa Ormianom z Karabachu – to już pewne. I nie chodzi o możliwości logistyczne czy militarne Rosji. Moskwa nie budzi już takiego respektu jak jeszcze rok temu, a autorytet samego Władimira Putina w regionie zdecydowanie zmalał.

Jak zatem zasugerował premier Armenii, Moskwa powinna zwrócić się do Rady Bezpieczeństwa ONZ o oficjalny mandat wojskowy do działań w regionie, ale już nie jako Federacja Rosyjska, lecz jako siły pokojowe ONZ. Co ciekawe, również opozycja armeńska jest zgodna co do takiego stanowiska. Jeden z jej przedstawicieli Edgar Ghazarjan jest zdania, że Rosja straciła swoją wiarygodność w regionie, a spór wokół korytarza łączącego Armenia powinna rozwiązać bez pośrednictwa Rosji.

Można zadać pytanie: ale jeśli nie Rosja, to kto?

Od początku 2021 r. Armenia stara się stwarzać pozory (a może to szczere intencje?), że zdaje się w pełni na decyzję ONZ i środowiska międzynarodowego. Jej minister spraw zagranicznych Ararat Mirzjan w 2022 r. odwiedził prawie 50 krajów i spotkał się z niezliczoną liczbą polityków. Armenia liczyła, że środowisko międzynarodowe, czy choćby jedno z mocarstw europejskich, jako bezstronny są-

dzia rozstrzygnie spór, ale z delikatnym uwzględnieniem interesów Ormian w Karabachu.

Premier ruga dziennikarza

Ormianie – jak twierdzi wspomniany na wstępie Aleksander Łapszyn – robią to jednak za późno i nieudolnie. Trzeba było walczyć o uznanie niepodległości Karabachu w latach 90. XX w. – teraz, po przegranej wojnie z jesieni 2020 r., karty Erywania to jedynie błotki.

Ormianie plotkują, że Waszyngton podobno proponował własny plan pokojowy, który zakładał w pierwszej fazie przekazanie Karabachu Azerbejdżanowi – dla nich to wciąż jeszcze rozwiązanie nie do przyjęcia.

Ponadto Ormianie nie są lwami salonowymi w dyplomacji. Brak im zaplecza finansowego, czego nie można powiedzieć o Azerbejdżanie – ten ma asa w rękawie: ropę i gaz, które w dobie kryzysu energetycznego są cenne jak złoto. Tych Erywań też nie posiada, a Baku – owszem. Z kolei diaspora ormiańska – niegdyś bardzo wpływowa – dziś odcina się niejako od problemu Karabachu. Także media w Berlinie czy Brukseli omijają temat Karabachu.

Ormianie nie potrafili stworzyć przez lata jednej spójnej wizji dla Europejczyków – wizji tego, co dalej z Karabachem. Czasami są zbyt szczerzy i zbyt pewni siebie co do swoich racji, a czasami nazbyt zaciętrzewieni – jak choćby premier Paşynian, który, zapytany przez dziennikarza BBC, czy zdobędzie się na gest dobrej

woli, aby naprawić trudne relacje z Azerbejdżanem, niemal go zrugął.

Długi cień Iranu

Ostatnio politycy w Armenii coraz głośniej zaczynają rozmawiać o możliwym planie B – skoro wstawiennictwo Putina czy Macrona zawodzi, a propozycja Bidena jest nie do przyjęcia. Oto alternatywą dla Armenii i partnerem w rozmowach z Azerbejdżanem ma być Iran.

Rzekomo przygotowywane jest już porozumienie strategiczne Erywania z Teheranem. Tyle że to raczej zaogniłoby spór w tej części świata, gdzie wiadomo, że Turcja (sojuszniczka Azerbejdżanu) oraz Iran (sojusznik Moskwy) od czasu wojny w Ukrainie starają się o nowe rozdanie polityczne w regionie. Osłabiona Rosja daje ku temu możliwości.

Niemniej fakt, że relacje Azerbejdżan–Iran nie są przyjacielskie, sprawia, że tego rodzaju układ jest z punktu widzenia Ormian coraz bardziej kuszący. Chrześcijańska od wieków Armenia oraz Islamska Republika Iranu znajdują coraz więcej płaszczyzn do porozumienia.

Sine qua non – posiadanie wspólnego przeciwnika może zatem silnie związać na jakiś czas Armenię i Iran. Oby tylko nie zrobił się z tego większy kocioł w rodzaju: Armenia i Iran kontra Azerbejdżan i Turcja.

I oby wojna w Ukrainie nie odwróciła naszej uwagi na tyle skutecznie, że nie dojrzymy dziś ponad 120 tys. Ormian gło-
dujących i odciętych w Górskim Karabachu.

© JAKUB OSIECKI

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **KRAKÓW**, środa 18 stycznia,
spotkanie z Ałłą Babową, „Nowe horyzonty edukacji religijnej w Ukrainie: co naśladować, a czego nie naśladować z polskich doświadczeń nauczania religii w szkole” / stacjonarne /
- **TRÓJMIĘSTO**, czwartek 19 stycznia,
spotkanie autorskie z Tomaszem Stawiszyńskim wokół książki „Reguły na czas chaosu” / stacjonarne /
- **KRAKÓW**, piątek 20 stycznia,
spotkanie z ks. Andrzejem Dragułą, „Syn marnotrawny» od nowa” / stacjonarne /
- **ONTARIO**, sobota 21 stycznia,
spotkanie dyskusyjne „Kościół a polityka. Granice ingerencji” / stacjonarne /
- **OGÓLNOKLUBOWE**, poniedziałek 23 stycznia,
spotkanie dyskusyjne wokół książki Tomáša Halíka „Popołudnie chrześcijaństwa” – rozdział „Ciemność w południe”, cykl „Wspólne czytanie” / online /
- **KATOWICE**, środa 25 stycznia,
projekcja filmu „Ukos światła” (reż. Wojciech Szumowski) i spotkanie z jego twórcami / stacjonarne /

REZERWUJ
CZAS!



KLUBYTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

To nie teatr, proszę państwa

KAROLINA KANIA

Nowy prezydent Brazylii powołał na stanowiska rządowe kobiety wywodzące się z rdzennej ludności. Czy to kres negowania praw autochtonów w największym kraju Ameryki Południowej?

SONIA GUAJAJARA, RDZENNA AKTYWISTKA, została nominowana przez nowego prezydenta Luiza Inácia Lulę da Silva na stanowisko ministra do spraw ludności rdzennej. Dla brazylijskich autochtonów to symboliczny moment – jest ona pierwszą rdzenną kobietą w historii kraju, która obejmuje stanowisko ministerialne.

Zaprzysiężenie 1 stycznia 2023 r. Luli da Silva na prezydenta otworzyło nowy rozdział w brazylijskiej polityce – i powrót lewicy do władzy, po czterech latach rządów skrajnie prawicowego prezydenta Jaira Bolsonaro. Utworzenie ministerstwa zajmującego się kwestiami autochtonów było zobowiązaniem przyjętym przez Lulę w kampanii wyborczej. Jeszcze w listopadzie 2022 r. podczas wystąpienia na Międzynarodowym Forum Ludności Rdzennej (na szczycie klimatycznym COP27) Lula da Silva stwierdził, że chce, by rdzenni Brazylijczycy uczestniczyli w rządzeniu krajem.

Słowa dotrzymał, a Sonia Guajajara nie jest jedyną rdzenną kobietą obejmującą właśnie urząd – prawniczka Joënia Wapichana została przewodniczącą Na-

rodowej Komisji Rdzennych Mieszkańców Brazylii (FUNAI). Choć komisja, mająca realizować politykę dotyczącą autochtonów, istnieje od ponad 50 lat, Wapichana to jej pierwsza przewodnicząca wywodząca się z ludności tubylczej.

Szturm w Brasílii

Dojście Luli da Silva do władzy nie obyło się bez dramatycznych scen.

W niedzielę 8 stycznia – niemal dokładnie dwa lata po tym, jak zwolennicy Donalda Trumpa zajęli siłą waszyngtoński Kapitol, chcąc uniemożliwić certyfikowanie przez parlament wyboru Joego Bidena – zwolennicy przegranego Bolsonaro wdarli się do budynków rządowych w stolicy kraju Brasílii, w proteście przeciwko zaprzysiężeniu Luli. Szturmując pałac prezydencki, budynek parlamentu i Sądu Najwyższego, bolsonaryści wzywali wojsko do interwencji, obalenia nowego prezydenta i „ocalenia Brazylii przed komunizmem”.

Guajajara i Wapichana skrytykowały poczynania radykalnych zwolenników Bolsonaro, określając całe zajście jako atak terrorystyczny. „Szkody wyrządzone przez terrorystów w Brasílii są nie do oszacowania” – napisała Guajajara w poście na Twitterze. Stając po stronie nowo wybranego prezydenta, przedstawicielki rdzennej ludności nawołują do szanowania demokracji. Zmiany na najwyższych szczeblach administracji rządowej dają brazylijskim autochtonom nadzieję na zwrot w podejściu do kwestii praw ludności tubylczej, które w ostatnich latach były poważnie zagrożone.

Brazylijczycy, zwłaszcza ci wspierający autochtonów, są przejęci zmianami kładącymi kres polityce Bolsonaro, który w czasie swych rządów w latach 2019-22 dążył do zwiększenia eksploatacji zasobów kraju przez inwestycje górnicze i ekstensywne rolnictwo na ziemiach należących do autochtonów. Przemoc wobec ludności tubylczej – w tym zabójstwa, wylesienia, groźby czy podpale-
nia – charakteryzu-



SERGIO LIMA / AFP / EAST NEWS

Nowa minister
ds. ludności
rdzennej Brazylii
Sonia Guajajara
i prezydent
Luiz Inácio
Lula da Silva,
pałac prezydencki
Planalto w Brasílii,
1 stycznia 2023 r.

jąca rządy skrajnie prawicowego polityka przypomniawszy Brazylijczykom o kolonialnej przeszłości.

Przeszłość, która powraca

Gdy w 1500 r. Portugalczycy dopłynęli do obecnej Brazylii, „odkryte” przez nich tereny zamieszkiwały 3 mln autochtonów. To, co nastąpiło potem w wyniku najazdu Europejczyków, określane jest dziś mianem ludobójstwa rdzennej ludności (*o genocídio indígena*). Mechanizmy kolonizacji były tu podobne jak w innych częściach świata: grabież terenów należących do autochtonów, wywłaszczenia na olbrzymią skalę, niszczenie zasobów naturalnych, narzucanie zmiany z własności kolektywnej na własność indywidualną, konflikty zbrojne, w końcu brak wsparcia ze strony rządu kolonialnego dla rdzennej ludności.

Pierwsza konstytucja Cesarstwa Brazylii z 1824 r. – państwa powstałego dwa lata wcześniej, po zerwaniu unii z Portugalią – nie brała pod uwagę istnienia ludów tubylczych, uznając społeczeństwo za jednorodne. Dopiero ponad półtora wieku później, w konstytucji z 1988 r., uznano pluralizm etniczny za prawo, podkreślając kwestie ochrony społeczności rdzennych oraz przyznając autochtonom prawa do ziem, które niegdyś zostały im odebrane.

W 1910 r. utworzono Służbę Ochrony Indian (*Serviço de Proteção aos Índios*), federalną agencję odpowiedzialną za politykę wobec autochtonów. W 1967 r. powstała Narodowa Komisja Rdzennych Mieszkańców Brazylii (FUNAI), której główne zadania polegają na wyznaczaniu granic, oznaczaniu i rejestracji ziem autochtonów. Agencja jest również odpowiedzialna za koordynację i wdrażanie polityki ochrony ludów rdzennych.

FUNAI do dziś zajmuje się sprawami autochtonów, ale na jej działania ma wpływ aktualna polityka. Za prezydentury Bolsonaro w zarządzie FUNAI zasiadały osoby związane ze skrajną prawicą, postępowania dotyczące przyznawania ziem autochtonom stanęły w miejscu, a osoby krytycznie odnoszące się do działań organizacji były stawiane przed sądem.

305 grup, 274 języki

Miedzy wiekiem XVI a XX liczebność ludności tubylczej Brazylii drastycznie spadła. Ze wspomnianych niemal 3 mi-

lionów do lat 50. XX w. pozostało 70 tys. autochtonów. Przyczynami tego były eks-terminacje, epidemie, niewolnictwo, dyskryminacja i przemoc.

Dopiero w dekadzie 1980-90 prawdziwość ta uległa zmianie i liczba autochtonów zaczęła rosnąć. FUNAI szacuje, że dziś w Brazylii żyje ok. 1,3 mln rdzennych mieszkańców. Najbardziej liczni są w regionach północnym (Amazonia) i północno-wschodnim (m.in. stany Pernambuco i Bahia). W spisie powszechnym z roku 2010 w kraju zidentyfikowano 305 różnych grup etnicznych i 274 języki tubylcze.

Pomimo postępów osiągniętych dzięki konstytucji z 1988 r., sytuacja rdzennej ludności jest niepokojąca. Wynika to przede wszystkim z polityki rządu Bolsonaro, który odmawiał kontynuowania działań określonych w konstytucji. Zaburzona była praca FUNAI, podczas pandemii brakowało specjalistycznej opieki nad rdzenną ludnością, rosło też zagrożenie przejmowania rdzennych ziem.

Być usłyszany

Jednym z narzędzi, które autochtoni wykorzystują w walce o swoją podmiotowość, jest etnoturystyka.

Wizyty turystów w rezerwatach tubylczych, organizowane m.in. przez ludność Pataxó w regionie Bahia, pozwalają na rozpowszechnianie informacji o autochtonach wśród mieszkańców metropolii, którzy spędzają urlop na wybrzeżu. Przyczyniają się również do zachowania obyczajów i tradycji. Autochtoni mają autonomię w tworzeniu projektów turystycznych na swoich terytoriach, a od 20 lat turystyka jest główną działalnością zarobkową dla społeczności z rezerwatów Reserva da Jaqueira w Porto Seguro czy Reserva Pataxó Porto do Boi w Caraiw.

To właśnie okolice Porto Seguro były jednym z pierwszych miejsc, do których dopłynęli portugalscy kolonizatorzy. Poza tym, że region ten stał się symbolem „odkrycia” Brazylii przez Europejczyków, dziś jest też miejscem, w którym turyści – głównie brazylijscy – mają szansę poznać kulturę rdzennych mieszkańców.

Turyści przyjmowani są przez ubranych w tradycyjne stroje Pataxó. W czasie kilkugodzinnej wizyty prezentują gościom rdzenne tańce i pieśni. Turyści

mogą spróbować strzelania z łuku, kupić rękodzieło czy skosztować tradycyjnych potraw.

Na pierwszy rzut oka mamy teatr, przedstawienie dla turystów. Kiedy jednak wsłuchamy się w dyskurs prezentowany przez Pataxó w czasie pobytu gości w rezerwacie, kiedy spojrzymy na to „przedstawienie” przez pryzmat kolonialnej historii, turystyka może okazać się narzędziem upodmiotowienia i emancypacji dla Pataxó. W ten sposób budują oni własną szczególną markę, a przez turystykę podejmują działania w kierunku dekolonizacji.

Poprzez dyskurs wygłoszony podczas wizyt turystów Pataxó dzielą się swoją historią – historią kolonialnej opresji, odbierania ziem i walki o swoje terytoria. Turyści, którzy odwiedzają rezerwat, słuchają tych opowieści zwykle z szacunkiem; często dają autochtonom odczuć, że popierają ich działania dążące do samostanowienia. Komercjalizacja i konsumpcja miejsc – rezerwatów, które przyciągają turystów – pozwalają jednocześnie Pataxó na dzielenie się swoim dziedzictwem kulturowym, na bycie usłyszany.

Twarze zmian

Sonia Guajajara wywodzi się z Guajajara-Tentehar – jednego z najliczniejszych ludów tubylczych w kraju, w północno-wschodnim stanie Maranhão. „Będziemy pracować, by położyć kres negocjowaniu naszych praw” – zapowiedziała po objęciu urzędu. Także Joënia Wapichana podkreśla prawa autochtonów: „Musimy ocalić i zrestrukturyzować FUNAI, organ tak ważny dla polityki dotyczącej ludności rdzennej, który w ostatnich czterech latach został zniszczony i porzucony. Razem z naszym prezydentem Lula oraz rdzennymi mieszkańcami odbudujemy Brazylię i wzmocnimy walkę i opór rdzennych mieszkańców”.

W ten sposób obie kobiety już na początku swego urzędowania stają się twarzami zmian wprowadzanych przez nowego prezydenta. ©

KAROLINA KANIA jest etnologką i antropologką kultury. Związana z Centre d'étude des mouvements sociaux w Paryżu, zajmuje się kwestią upodmiotowienia ludności rdzennej przez rozwój turystyki. W 2021 r. prowadziła badania w brazylijskim stanie Bahia.

RYBACZENIE

Gdy w 1945 r. wyspę Wolin przyłączono do pojałtańskiej
Polski, osadnicy głodowali i połowy ryb stały się
dla nich koniecznością.
Dziś ten fach przyciąga niewielu.
Oto wędrówka z rybakami przez osiem ostatnich dekad.

PIOTR OLEKSY



*Rybacy na Zalewie Szczecińskim w okolicach
Lubina i Wapnicy. 6 sierpnia 2016 r.*

BARTEZ WYBIERAŁ ŻAKI, JEDNOCZEŚNIE sprawnie przesuwając łódź wzdłuż liny rozpiętej między skrajnymi palami. Bujało dość mocno, tak że chwilami zrobienie zdjęcia stawało się bardzo trudne. On jednak tym się nie przejmował, zdawał się przedłużeniem łodzi, która tańczyła na falach.

Wtedy nagle uderzyło mnie to dziwne uczucie – robi coś, co zawsze mi imponowało, a co zdawało się nie przynależeć do naszego pokolenia. W pewnym momencie do każdego fana piłki nożnej dociera, że piłkarze są już młodszy od niego. To było coś podobnego. Doświadczonymi rybakami byli sąsiedzi – pan Wiesiek, pan Tadeusz i inni panowie ze wsi.

Tymczasem obserwowałem chłopaka o rok starszego ode mnie, kolegę z prawej obrony, który pseudonimem zawdzięczał imieniu Bartek oraz podobieństwu do francuskiego bramkarza Fabiena Bartheza. Do sztamkowej refleksji o starzeniu się dołączyła jeszcze jedna: pogłoski o śmierci rybaczenia na wyspie Wolin były przedwczesne.

Zawsze przed świtem

Bartez rybaczy już prawie dziesięć lat. Wcześniej miał się różnych zawodów, najczęściej związanych z budow-

lanką, lecz w końcu dołączył do ojca na kutrze. – Praca ciężka, ale bez przesady. Do wody, wiatru i deszczu szybko człowiek się przyzwyczaja. Zresztą nie ma złej pogody, jest tylko złe ubranie – mówił.

Podobnie jest z wczesnym wstawaniem. Zwłaszcza latem, gdy trzeba wypłynąć jeszcze przed czwartą, by wrócić z rybą przed upałem. Teraz Bartez dostrzega głównie plusy wstawania przed świtem: około dziewiątej-dziesiątej jest już po robocie! Za to lokalne krajobrazy nadal robią na nim wrażenie. Wschód słońca nad Zalewem Szczecińskim często zapiera dech w piersiach. Tego dnia, gdy wypływamy z nimi na wodę, aura raczy nas tęczą oraz niezwykle łuną wokół widocznego jeszcze księżyca (zjawisko znane jako halo).

Bazę rybacką odwiedzam nie po raz pierwszy w tym sezonie, ale działa efekt pękniętej szyby: nagle dostrzegam, że moi koledzy z boiska i nie tylko stanowią już większość rybaków. Mateusz, który jest szyprem, jest przecież młodszy ode mnie. Drugą ekipą kieruje Rafał – dobre dziesięć lat starszy, ale jednak twarz dobrze znajoma.

Trzydzieści lat temu baza w Lubinie na wyspie Wolin była pełna kutrów,

a teraz załóg jest zaledwie pięć. Pracują, świadomie lub nie, kontynuując niezwykle ważną dla regionu tradycję.

Manna z wody

Obecnie wybór zawodu rybaka jest ciekawostką godną reportażu. Jednak po II wojnie światowej był w tym regionie najpierw koniecznością, a potem największą szansą.

Gdy w październiku 1945 r. wyspę Wolin przyłączono do pojałtańskiej Polski, pierwszych osadników spotykał tu głód. Zerwane mosty i słabość białej floty, która łączyła ujście Odry ze Szczecinem, powodowały, że dostawy były bardzo nieregularne. Sięgano po zapasy pozostawione przez Niemców, a nawet po jabłka, które jeszcze znajdowano w sadach. Tymczasem ryby w Bałtyku i Zalewie nie brakowało. Wystarczyło ją tylko złowić. No właśnie – tylko złowić.

Dla znakomitej większości przybyszów – z anektowanych przez Stalina ziem wschodnich czy ze spustoszonej wojną centralnej Polski – woda była obcym żywiołem. Dlatego też często początkowo wybierali miejscowości położone w centrum wyspy. A dla tych, którzy mieli pojęcie o połowach, wyzwaniem była skala tutejszych akwenów. Bałtyk →



→ oraz Zalew Szczeciński, który jest sześć razy większy od jeziora Śniardwy, to inna para kaloszy niż śródlądowe jezioro, staw lub rzeka. Bezpieczne żeglowne, nawigacja, a nawet sam połów był tutaj czymś zupełnie innym. Osadnicy potrzebowali nauczycieli.

– Niemców wyrzucali, ale jak ja przyjechałem, to tu jeszcze Niemiec był. Mieszkał staruszek z kobietą, żoną i chłopakiem takim młodym. Ja osiedlił się tu, przy Niemcu, i tak nauczył się rybaczyć – opowiadał Józef z Łunowa, obecnie już dobrze po dziewięćdziesiątce, który całe dorosłe życie łowił w lokalnych wodach.

– Bo on, Niemiec, rybakiem był, a moje rybołówstwo wcześniej to było takie, że lubiłem ryby łapać w rzeczce – wspominał Józef. – A tu z nim zacząłem rybaczyć, uczyć się od niego... Jak ta nauka wyglądała? Na wiosłach, takie małe łódki były jednoosobówki, on staruszek, a ja po wojsku zdrowy, to dawaj... Ale łódka nie chciała iść, ja spocony, a on staruszek na Zalew pojechał. Ale pomału, pomału dryg jak złapałem, to już później poszło. Takie to początki były.

Lokalne władze świadomie wysiedlały Niemców dość powoli, trwało to do końca 1948 r. Opóźnienia dotyczyły zwłaszcza rybaków i innych specjalistów, którzy byli potrzebni, by wyspiarski region mógł funkcjonować.

Ta współpraca rodziła się czasem spontanicznie, później władze nakazywały niemieckim rybakom wspólne połowy z polskimi osadnikami. Nie ma jednak wątpliwości, że do swego zadania podeszli na poważnie. Przekazana przez nich wiedza, dotycząca technik połowu czy konserwacji sprzętu, była żywa przez wiele lat, do czasu przemian technologicznych.

Nieziemny rytm Pomorza

Na Pomorzu gospodarka i życie społeczne przez wieki toczyły się wokół połowów. Ba! Z przymrużeniem oka można stwierdzić, że właśnie z tych przyczyn na region ten uwagę zwróciła średniowieczna Polska. Gall Anonim pisał, że jeszcze niedawno do Polski „wieźli ryby słone i cuchnące”. Wyprawy Bolesława Krzywoustego miały zmienić ten stan rzeczy: „Dziś synowie świeże wiozą, trzepoczące / (...) Dziki, sarny i jelenie tropili ojcowie / Skarby morza i potwory łowią ich synowie”.

Przez wieki region zmieniał przynależność państwową: lokalne wspólnoty

plemienne podporządkowały się Księstwu Pomorskiemu, które po kilku stuleciach zostało – po pewnych perturbacjach – wchłonięte przez Prusy. Kultura miejscowych Słowian ustąpiła kulturze i językowi niemieckiemu.

Rybołówstwo cały czas było jednak sercem lokalnej kultury i gospodarki. A po II wojnie światowej polscy osadnicy stali się rybakami dzięki naukom niedawnych niemieckich gospodarzy. I w ten sposób utrzymali tę ciągłość. W czasach gdy na ziemiach ponemieckich (wtedy nazywanych „odzyskanymi”) wszystko tworzyło się na nowo, tutaj jedno pozostało niezmiennie: rybackie łodzie wypływały o świcie na wodę.

Rybakami stawali się bardzo różni ludzie: robotnicy, inteligenci, urzędnicy, byli sportowcy, a nawet artyści. Przy sieciach i na kutrach spotykali się też ludzie pochodzący z różnych stron przedwojennej Polski, mówiący innymi gwarami, kultywujący odmienne obyczaje. W niepewnej i pełnej lęku, powojennej rzeczywistości połowy stały się punktem zaczepienia, dającym względne poczucie bezpieczeństwa i tworzącym tkankę społeczną.

Ta różnorodna społeczność zaczynała żyć jednym rytmem, wyznaczanym przez rybołówstwo. W skali dnia: poranne wstawanie, połów, przebieranie ryb, czyszczenie sieci. A także w skali roku: okres połowów oraz zima, która była czasem remontów, konserwacji czy gromadzenia lodu.

Rybne eldorado

„W sezonie zarabiałem trzykrotnie więcej aniżeli (...) w Gdańskim Urzędzie Morskim. Praca była ciężka i mozolna. Hartowała młodego człowieka podczas jesiennych sztormów i mgieł. Wyrwane przez żywioł żaki stawiane były ponownie. Nikt nie zrażał się dodatkowymi niezapłaconymi robotami i nocowaniem pod gołym niebem na wyspie (...). Zarobek uzyskany w sezonie wystarczał w zupełności do nowego sezonu wiosennego, a nawet dłużej!” – pisał Anatol Drywa, jeden z autorów wspomnień opublikowanych w tomie „Drogi powrotu” (1981) o początkach kariery rybackiej na Zalewie Szczecińskim pod koniec lat 40. XX w.

Najstarsi rybacy długo wspominali rekordowe połowy z tego okresu. Zwłaszcza że po wojnie w wodach tych nie brakowało najcenniejszego: węgorza.

– Jak ja rybażyłem, to raz 1 maja miałem 1360 kilo, 2 maja 900 kilo, 3 maja 700 kilo. Jednego miesiąca my zdali ponad 13 ton! – wspominał w rozmowie nieżyjący już Józef z Karsiboru, wsi położonej na wyspie o tej samej nazwie.

W pewnym momencie na wyspach zapanowała „rybna gorączka”. Pogłoski o możliwościach dużego i szybkiego zarobku przyciągały do regionu kolejnych chętnych. Często ludzi śmiałych i przedsiębiorczych, czasem też wykolejenców, liczących na łatwy pieniądz. W niektórych przypadkach zrodziły się z tego małe fortuny, w innych kończyło się na przemoknięciu i przepiciu.

Traperzy i spółdzielnie

Ten duch wolności, rodem z Dzikiego Zachodu, przyciągnął uwagę szczecińskich literatów. „Jakiś zbójceci hyr tu władał, jakaś własna moralność. Co tu dużo gadać: mnie to brało. Wówczas odniosłem wrażenie, że to nie jest jakiś wrodzony zmysł do łajdactwa, lecz ciągle upajanie się wolnością i akcentowanie prawa do rządzenia się na swój sposób” – pisał o wyspach Czesław Schabowski, który sam parał się rybaczeniem.

Schabowski starał się zarówno opisać codzienność swoją i swych kolegów, trudy i monotonię pracy, jak też podkreślać ducha przygody, który ciągnął ich na Bałtyk i Zalew. „My to traperzy chyba – mówi bohater jednego z opowiadań Schabowskiego. – W dawnych czasach, w pogodni za traperskim chlebem musielibyśmy emigrować do Kanady lub do Afryki. Ale oto puszcza i zwierzyzna objawiła nam się na Bałtyku, w rybakce atlantyckiej, na zalewach i przybrzeżu i lecimy do niej, gnani niepokojem traperów”.

Początek końca okresu traperskiego nastąpił w 1949 r., gdy rządzący komunistami rozpoczęli kolektywizację również i tej branży. Kilka lat później okoliczni rybacy byli już zrzeszeni w dwóch spółdzielniach: Cercie i Bellonie.

Wyjątkowego nosa w tej sprawie miał pisarz Leopold Tyrmand. Akcja jego powieści „Siedem dalekich rejsów” dzieje się w Darłowie właśnie w roku 1949 (powieść została złożona do druku w 1957 r., jej wydanie zablokowała jednak cenzura; w języku polskim ukazała się dopiero w 1975 r. w Londynie). Miejsca społeczność – która jest wyrazistym tłem dla wątku romansowego – zdaje się do brzo odnajdywać w zbudowanej przez



ARTUR KUBASIK

Obróbka połowu śledzi w bazie rybackiej w Karsiborze, 19 kwietnia 2018 r.

Często wręcz przeciwnie, sprawiają wrażenie miejsca, które przypadkowy gość powinien szybko opuścić. Daleko nam pod tym względem do nieodległego przecież Bornholmu, gdzie gospodarstwa rybackie kuszą zapachem wędzonej ryby i smakiem miejscowego piwa.

Przyczyn tego stanu można dopatrywać się w PRL-owskiej kolektywizacji, która nie sprzyjała rozwojowi kultury wokół tak indywidualnego oraz kojarzącego się z wolnością zajęcia. Z drugiej strony, przemiany z przełomu lat 80. i 90. XX w. zbyt nagle rzuciły rybaków na nieznaną wodę wolnego rynku. W historii lokalnego rybactwa znów otworzył się kolejny rozdział, do którego wszyscy wchodzili bez przygotowania i jasnej wizji przyszłości.

Zaczyna wariować pogoda

A dziś? W obecnych realiach nie będzie to już zawód masowy, nawet w skali regionu. Niemniej dla tych kilkudziesięciu załóg z tutejszych wysp sytuacja stała się w miarę stabilna i klarowna. Były ryby, był zbytek, były pieniądze.

– Ale teraz zaczyna wariować pogoda i to jest nasze największe zmartwienie – stwierdził Bartez. Upały i bezwietrzne dni powodują, że sieci zarastają wodorostami. – Czyści to się potem tygodniami. Innym razem gwałtowne sztormy niszczą sprzęt. Nieprzewidywalność pogody wpływa na tryb życia ryb. O wiele trudniej jest cokolwiek planować – tłumaczył.

W ubiegłym roku na dodatek doszło do zatrucia Odry, która wpada do Zalewu Szczecińskiego. Na kilkanaście dni połowy były wstrzymane. Rybakom zairzał w oczy strach, gdyż nikt nie wiedział, jak długo to potrwa i jaka będzie skala zatrucia.

Na razie wydaje się, że Zalew uchronił się przed skażeniem, ale skutki tragicznych wydarzeń z lata 2022 r. mogą jeszcze dać o sobie znać.

Zmiana klimatu i zatrucie wód mogą być wyzwaniem, z którym siła tradycji sobie nie poradzi. © PIOTR OLEKSY

Korzystałem m.in. z pracy: Piotr Oleksy, Mateusz Sikora „Społeczna i kulturowa rola rybołówstwa w basenie Zalewu Szczecińskiego po drugiej wojnie światowej” (Poznań 2018).

siebie nowej nadmorskiej rzeczywistości. Rybacy handlują z Duńczykami z Bornholmu, a pijąc wódkę mówią: „skol”.

W powieści unosi się jednak atmosfera rychłego końca tego egzotycznego świata. A wszystko za sprawą wdrażanej likwidacji prywatnej przedsiębiorczości.

Problemy transformacji

Kiedyś na takich Kaszubach nawet w czasach pańszczyzny rybacy byli ludźmi wolnymi – i taki stan wydaje się naturalny dla tego romantycznego zawodu. Niemniej wielu naszych rybaków dobrze wspomina okres spółdzielczy. Certa brała na siebie dużą część obowiązków, w tym najważniejszy, związany ze skupem ryby. Zadaniem rybaka był wtedy przede wszystkim połów.

– My zdawaliśmy rybę i nas nic nie obchodziło. My do magazynu zdali, a co oni z nią zrobili, to nas nie obchodziło – tłumaczył Józef z Lubina (zbieżność imion cytowanych rybaków to zbieg okoliczności). Co więcej, to spółdzielnia kierowała planowaniem połowów, wyznaczała limity, dbała również o zarybianie Zalewu.

Prawdopodobnie dlatego początek gospodarki kapitalistycznej był później ogromnym wyzwaniem dla rybaków – po kilku dekadach funkcjonowania w ramach gospodarki centralnie planowanej, teraz musieli przestawić się na działalność rynkową. Rybak musiał stać się biznesmenem: planować zarobki i wydatki oraz szukać rynków zbytu.

– Jak była Certa, to nie było problemów z remontami łodzi czy innymi sprawami. Rybę się zdało i do domu spać. A teraz trzeba znaleźć sobie kupca, żeby przyjechał i zabrał rybę. To są teraz większe problemy – wzdychał Józef z Lubina.

Kolejną wielką zmianę przyniosło wejście Polski do Unii Europejskiej. Programy unijne zachęcały rybaków do przekwalifikowywania się, do rezygnacji z rybołówstwa i przechodzenia do innych branż – najczęściej związanych z turystyką.

Gdzie bije serce

Newlyn to miasteczko rybackie na Wyspach Brytyjskich, w południowej Kornwalii. Tam „granica między morzem a lądem wyznacza ramy kornwalijskiego charakteru. Przenika do każdego aspektu życia, kształtuje mitologię i przebija rozdęte przekonanie człowieka o własnej potęgze”. Tak przynajmniej widzi to Lamorna Ash, autorka książki „Skryte, jasne, słone. Rybackie miasteczko w Kornwalii” (przeł. Kaja Guccio).

Brytyjska pisarka powróciła do letniej krainy swego dzieciństwa, aby ponownie zanurzyć się w tamtejszym świecie, po czym stwierdziła: „Rybacy wciąż stanowią ducha Newlyn, jego system wiary, jego bijące serce”.

Na wyspach Wolin, Karsibór i Uznam już tak nie jest. Tutaj rybacy żyją w głębokim cieniu hoteli, apartamentowców, butików, shot-barów oraz smażalni i budek z kebabami. Same bazy rybackie też nie tętnią życiem, nie przyciągają turystów.

PTAKI MAJĄ NOSA

Węch nie jest tym zmysłem, który na ogół kojarzymy z ptakami. Niesłusznie. Wiele gatunków wykorzystuje go w polowaniach, identyfikowaniu drapieżników czy nawigacji.

JUSTYNA KIERAT



JUŻ NIEDŁUGO ORGANIZACJE ZAJMUJĄCE się ochroną przyrody i azylami dla dzikich zwierząt będą prosić o niezabieranie ze środowiska podlotów. Są to młode ptaki, które wyszły już z gniazda, ale wciąż słabo latają i są pod opieką rodziców. Elementem tych apelów jest demontowanie błędnego, ale popularnego przekonania, że ptasi rodzice mogą odrzucić swoje potomstwo, kiedy poczują na nim zapach człowieka. Jest wiele dobrych powodów, by bez potrzeby nie dotykać uczących się życia ptaków. Jednak przeniesienie podlota z jezdnii na trawnik czy podsadzenie z ziemi na gałąź nie spowoduje, że rodzice przestaną się nim zajmować. Ewentualny zapach człowieka nie jest dla nich powodem do porzucenia swojego dziecka. Ale to jeszcze nie oznacza, że ptaki nie czują zapachów w ogóle.

Wiele ptaków zachwyca kolorowym upierzeniem oraz skomplikowanym śpiewem, pełniącymi funkcję reklamy dla płci przeciwnej. Już z tego powodu nietrudno się domyślić, że wzrok i słuch odgrywają ważną rolę w życiu tej grupy zwierząt. Dziś wiemy, że ptaki widzą o wiele lepiej od nas. Szczególnie ostrym wzrokiem mogą pochwalić się choćby ptaki szponiaste. Ptasie oko odbiera też niewidzialne dla nas promieniowanie ultrafioletowe, co sprawia, że dla siebie nawzajem są bardziej kolorowe niż dla nas. Z kolei przy użyciu dźwięków ptaki nadają i odbierają różnorodne informacje – ostrzegają się lub przywołują, oceniają kondycję rywala lub partnera, a nawet rozpoznają się nawzajem indywidualnie. W 2016 r. Toshitaka N. Suzuki wraz z zespołem odkryli, że dla bogatek wschodnich (*Parus minor*) ma znaczenie szyk „wyrazów” w „zdaniach”. Innymi słowy, zmiana kolejności poszczególnych dźwięków w komunikacie wyćwierkanym przez jedną sikorkę do drugiej powoduje zmianę znaczenia całego komunikatu.

Dostrzeżenie przejawów kierowania się węchem przez ptaki jest trudniejsze. Być może dlatego ornitolodzy dotychczas poświęcali temu zmysłowi o wiele mniej uwagi niż pozostałym.

Polowanie na traktory

O ile w świecie naukowym zdolności ptaków do wykrywania zapachów długo bu-

dziły wątpliwości, o tyle obserwacje sugerujące, że coś w tej kwestii może być na rzeczy, były dokonywane od dawna. Tim Birkhead w swojej książce „Sekrety ptaków. Fascynujący świat ptasich zmysłów”, w rozdziale poświęconym węchowi, podaje przykłady takich obserwacji. Są wśród nich opisy padlinożernych ptaków, takich jak sępniki różowogłowe (*Cathartes aura*) i kruki, które bezbłędnie odnajdywały świeżą padlinę, mimo że była ukryta przed ich wzrokiem. Również ptaki morskie były od dawna znane ze swojego pojawiania się tam, gdzie z kutra wyrzucano resztki patroszonych ryb czy niedawno zabitego wieloryba. Wnioskowi, które można by wysnuć z tych przygodnych obserwacji, znajdują potwierdzenie w badaniach naukowych. Do listy gatunków, o których wiemy, że wywąchują sobie pożywienie, w 2021 r. dołączył bocian biały.

Wielu z nas z pewnością zna następujący widok: wieś, traktor koszący trawę, a tuż za nim kroczące bociany. Świeżo skoszona łąka jest dla tych ptaków świetnym miejscem do żerowania. Łatwo złapać gryzonie czy owada, które chwilę wcześniej ukrywały się w wysokiej trawie, a teraz uciekają spłoszone przez traktor wprost pod dziób skrzydlatego drapieżnika. Jednak koszenie to wydarzenie trwające stosunkowo krótko i bocianowi raczej trudno przewidzieć z wyprzedzeniem zamiary rolnika. Jaki zmysł pozwala mu pojąć się na łące we właściwym czasie?

Martin Wikelski wraz z grupą innych naukowców z niemieckiego Max Planck Institute of Animal Behavior postanowili przetestować hipotezę, że jest to właśnie węch. W tym celu z samolotu szukali miejsc, gdzie akurat odbywało się koszenie. Interesowały ich takie lokalizacje, w których okoliczne bociany nie mogły ani zobaczyć, ani usłyszeć koszenia. Odrzucano również łąki, nad którymi w momencie koszenia latały ptaki. Ich obecność mogłaby skłonić bociany do zainteresowania się tym miejscem. Ptaki (jak również inne zwierzęta) w czasie poszukiwania pokarmu czy wypatrywania drapieżnika zwracają bowiem uwagę także na to, co robią inne zwierzęta w okolicy – niekoniecznie ich własnego gatunku. Krzyk zdenerwowanej sójki w lesie jest sygnałem dla innych zwierząt, by mieć się na baczności. Na tej samej zasadzie krążące nad łąką ptaki mogłyby być

wskazówką, że znajduje się na niej coś wartego sprawdzenia.

O koszeniu na wybranych łąkach bociany nie mogły dowiedzieć się więc przy pomocy wzroku, słuchu ani dzięki obserwacji innych ptaków. Mimo to część z nich bezbłędnie stawiała się na miejscu niedługo po rozpoczęciu prac polowych. Co ważne: były to tylko ptaki, które przylatywały z takich lokalizacji, do których wiejący wiatr mógł przynieść im zapach znad koszonej łąki. Te, które stały „pod wiatr”, nie przylatywały nigdy.

Badacze przeprowadzili jeszcze dwa dodatkowe eksperymenty. Najpierw wynajęli rolnika, który skosił łąkę, a trawę załadował na ciężarówkę i natychmiast przewiózł 15 km dalej, na miejsce badań. Tam rozsypał ją na łące skoszonej dwa tygodnie wcześniej. Tak jak oczekiwano, na miejsce przybyły bociany, a kiedy zorientowały się, że w rzeczywistości nie ma tam tyle jedzenia, ile się spodziewały (łąka koszona przed kilkoma tygodniami nie jest już tak atrakcyjna jak ta koszona przed chwilą), po krótkim czasie odleciały. W kolejnym eksperymencie użyto wyizolowanych związków chemicznych, o których wiadomo, że odpowiadają za charakterystyczny zapach świeżo ściętej trawy. Kiedy rozpylono ich roztwór z samolotu, ptaki znów zameldowały się na miejscu. Wszystkie uzyskane wyniki wskazują, że postawiona na początku badań hipoteza jest właściwa i bociany przy poszukiwaniu świeżo skoszonych łąk kierują się węchem.

Ostrożność modraszki

Jeśli mielibyśmy wskazać ptaki mocno kojarzone z rozwiniętym powonieniem, na pierwszym miejscu znaleźliby się pewnie wspomniani już padlinożercy i ptaki morskie. Na drugim końcu skali znalazłyby natomiast miejsce drobne ptaki śpiewające – te same, które nie porzucają piskląt i podlotów z powodu dotknięcia ich przez człowieka. Okazuje się jednak, że i one nie są pozbawione węchu. Badacze z Hiszpanii wzięli pod lupę sikorę modraszkę (*Cyanistes caeruleus*), powszechnie występującego również w Polsce małego, zadziornego ptaszka.

Modraszki są dziuplakami i chętnie gniazdują w wywieszanych dla nich budkach lęgowych. Do zwierząt, które w naturalnych warunkach mogą zagrażać ich lęgom, należą łasicowate. Luisa Amo wraz ze współpracownikami postanowili



→ sprawdzić reakcję ptaków na zapach tych drapieżników. Jako modelu w swoich badaniach użyli fretki, która, choć nie należy do gatunków, z którymi sikorki spotykają się w naturze, pachnie bardzo podobnie do dzikich łasicowatych, co potwierdzone zostało wcześniejszymi badaniami. Papierki nasączone moczem i wydzieliną gruczołów zapachowych fretki zostały podłożone do ptasich gniazd, w których znajdowały się intensywnie karmione pisklaki.

Po tej manipulacji obserwowano przez pewien czas aktywność rodziców. Okazało się, że dorosłe ptaki przylatujące z pokarmem były ostrożniejsze, bardziej wahały się przed wejściem do gniazda, a kiedy już weszły, to spędzały w nim mniej czasu w porównaniu z gniazdami kontrolnymi, gdzie podłożono papierki nasączone czystą wodą. Ptaki ewidentnie wyczuwały, że coś jest nie tak (papierki były umieszczane w ten sposób, by nie mogły ich zobaczyć). Czy jednak ich niepokój i zwiększona ostrożność były spowodowane wykryciem drapieżnika czy raczej samą obecnością obcego zapachu?

Na to pytanie pomogła odpowiedzieć trzecia, prócz eksperymentalnej i kontrolnej, grupa gniazd, do których podrzucono papierki pachnące przepiórką japońską (*Coturnix japonica*). Jest ona hodowana jako ptak ozdobny i, podobnie jak jej dzicy krewniacy z rodziny bażantowatych, nie stanowi zagrożenia dla modraszkowych lęgów, za to wydziela intensywny zapach.

Czas, którego modraszki potrzebowały, by po przylocie z pokarmem zdecydować się na wejście do gniazda, osiągał w gniazdach z zapachem przepiórki pośrednie wartości pomiędzy tymi z zapachem fretki oraz tymi z wodą. Z kolei pozostałe badane wskaźniki nie różniły się istotnie pomiędzy gniazdami z zapachem przepiórki i kontrolnymi, co sugeruje, że modraszki odróżniały zapach dra-

Sępniki różowogłowe
i kruki w poszukiwaniu
pokarmu kierują się węchem.

Potrafią odnaleźć ukrytą
przed ich wzrokiem
świeżą padlinę.

pieżnika od innego, obcego, ale niezwiązanego niebezpieczeństwa.

Wędrowniki przedrzeźniaczy

Okazuje się, że węch może mieć więcej zastosowań niż odnajdywanie jedzenia lub wykrywanie drapieżnika. Może również służyć do... znajdowania drogi do domu. W świecie zwierząt znane są z tego łosie, które w ciągu swojego życia migrują na długie dystanse. Młode rybki przychodzą na świat w rzekach, po czym – gdy podrosną – płyną z ich biegiem do morza. Kiedy przychodzi czas tarła, z niezwykłą precyzją wracają do miejsca, gdzie się urodziły. Macierzystą rzekę rozpoznają właśnie po jej charakterystycznym zapachu, którego nauczyły się za młodu. Kilkadziesiąt lat temu okazało się, że węch w nawigacji wykorzystują również ptaki.

Zdolność gołębi do odnajdywania drogi do gołębnika po przewiezieniu nawet na odległość rzędu kilkuset kilometrów fascynowała ludzi od dawna. W jaki sposób gołąb jest w stanie wrócić do domu z miejsca, w którym nigdy nie był? Pośród różnych testowanych hipotez w pewnym momencie pojawiła się mówiąca o tym, że przebywający w gołębniku ptak zapamiętuje zapachowy krajobraz swojej okolicy. Po pewnym czasie wie już, jakie zapachy przynoszone są przez wiatry wiejące z poszczególnych kierunków. Po wywiezieniu go daleko od domu ptak poszukuje znajomych zapachów i kiedy na któryś natrafi, przypomina sobie, z któ-

rego kierunku dochodził do gołębnika. Tyle wystarczy, by móc zacząć kierować się do domu. Rzeczywiście, okazało się, że gołębie tymczasowo pozbawione zdolności odczuwania zapachów mają problem z nawigowaniem. Robiono też eksperymenty, w których sztucznie zmieniano kierunek wiatru dolatującego do gołębnika. Np. powietrze, które było przywiewane z wiatrem z zachodu, kierowano tak, że docierało do gołębi z kierunku wschodniego. Kiedy ptaki takie przewieziono w odległe miejsce, po wypuszczeniu kierowały się w odwrotnym kierunku – tym, który byłby prawidłowy, gdyby zmanipulowany kierunek wiatru był tym rzeczywistym.

Przedrzeźniacz ciemny (*Dumetella carolinensis*), drobny ptak wróblowaty żyjący w Ameryce Północnej, wydaje się z kolei używać węchu w czasie swoich sezonowych migracji. W opublikowanych w 2009 r. w „Journal of Experimental Biology” badaniach (częściowo tych samych autorów, którzy pracowali przy eksperymencie z bocianami) łapano młode i starsze przedrzeźniacze w czasie wędrówki, po czym zakładano im nadajniki GPS, by po wypuszczeniu śledzić trasę ich lotu przez około 100 km. Część ptaków została przed wypuszczeniem pozbawiona węchu. Okazało się, że wszystkie młode osobniki kierowały się mniej więcej na południe. Starsze, które już co najmniej raz odbyły tę samą wędrówkę, skręcały nieco bardziej na zachód. Prawdopodobnie dzięki doświadczeniom z poprzednich lat wiedziały, którądy lecieć, by nie przelatywać nad morzem ani nie nadkładać drogi, lecąc wzdłuż brzegu. Jednak nie wszystkie dorosłe ptaki tak postępowały. Te, które zostały pozbawione węchu, leciały w kierunku takim samym jak ich młodzi, niedoświadczeni pobratymcy.

Jak można zinterpretować taki wynik? Prawdopodobnie przedrzeźniacze mają wrodzone zdolności do nawigowania w kierunku swoich zimowisk, a umiejętność ta angażuje inne zmysły niż węch. W czasie drogi odkrywają i zapamiętują najlepsze trasy, modyfikując swój przelot w kolejnych latach. Do odnalezienia tych zapamiętanych dróg potrzebny im jest jednak węch. Kiedy są go pozbawione, znów odwołują się do swoich wrodzonych zdolności nawigacyjnych i podążają gorszą, ale niewymagającą zmysłu powonienia drogą.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu w I Wydziale Cywilnym toczy się pod sygnaturą akt I Ns 472/22 postępowanie z wniosku Zdzisławy Mikulii z udziałem Ryszarda Żaka i Janiny Mikuli o stwierdzenie nabycia spadku po Ryszardzie Mieczysławie Smolarskim, s. Michała i Róży, zm. 5 lutego 2022 r. w Staszowie, o ostatnim miejscu zwykłego pobytu w Tarnobrzegu.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ELIZA

Kącka:

Napieram na kontakt



DZWONI STARUSZKA OD CIŚNIENIA: „PANI Elizo, była pani na Orszaku?”. „Oj, nie”. „a nie ma pani przypadkiem korony? może być stara”. „nie”. „szkoda. wnuk zabałagał i już nie dostał”. „a po co pani?”. „ach, już nieważne... no dobra, powiem: chciałam włożyć, jak ksiądz będzie chodził po kołędzie”. „ha ha. alez pani nie przyjmuje”. „w koronie przyjmę”. „to ja pani jakąś zrobię”. „nie ma mowy! własnoręczna się nie liczy. liczy się tylko taka z Orszaku”. „bo?”. „zna pani różnicę między zwykłym jajkiem a święconką? wystąpię jako święconka”.

Niestety, folder Inne na fb: „Szanowna Pani, zobaczyłem profil na fejsbuku i widoczną skalę zepsucia. Odzywam się na zasadzie przestrogi. Napiera Pani na kontakt i nie ma wstydu, co niektórych imponuje. Ode mnie nie dostanie Pani zaproszenia, które niniejszym usuwam. Przypadkiem znalazłem w internecie Pani tekst z okresu przed korupcją. Poziom wysokości felietonu. Mógłbym Pani podciągnąć, tylko że dołączyła Pani do mediów zaprzeczanych, wycierających sobie łamy katolicyzmem. Nie muszę chyba tłumaczyć, z kim podziela Pani ojca (niech Pani poszuka w Biblii). Postkomuna woli rozkrzyczane kobiety nad prawdę, więc zanoszą się Pani na powołanie. A miała Pani być może nawet szansę, tylko do tego trzeba być moralnym. Znajomość uważam za zakończoną”.

Sąsiad z góry, na schodach: „ma pani mole?”. „przy sobie?”. zbystrzał: „no nie, w mieszkaniu”. „miewam”. „żona ma rację, że to od was przelazły”. „najpewniej”. „sąsiadka okadza, ale dalej żyją”. „też bym żyła na ich miejscu”. „dziś ustaliłem z żoną, że pani zabierze część swoich rzeczy”. „ale skąd?”. „z mieszkania, to się przestaną u pani mnożyć”. „?!”. „żona powiedziała, że mogę pani pomóc nośić, jak pani wszystko popakuje”. „eee, jest lepszy środek: bagno”. „y!?”. „trzeba kupić”. „sama pani kupi, my z żoną nie znosimy wilgoci”.

autobus 116, przystanek Spacerowa. siadam przy starszym kiele osiemdziesiątki. dziobie palcem w telefon. łapię kątem oka, że dobiera się do fejsbuka. „wnuczek mi założył profil, w prezencie. co się z tym robi?”. wskazuje ludzika. „to zaproszenia”. „że mam kogoś zaprosić? Boże drogi, od lat nikogo do siebie nie zapraszam. a to?”. „powiadomienia. o tym, że coś panu polubiono”. „matkojedyna. co oni mogą we mnie lubić?!”. „to reakcja na to, że coś pan opublikował”. „w życiu nie publikowałem”. „zdjęcie z wnukiem na przykład”. „a co to za osiągnięcie?!”. „tu-

taj główne. o, fejsbuk pyta, jak się pan miewa”. „fejsbuk, czyli kto?”. „maszyna”. „eee, tam ktoś siedzi i chce mi zabrać ubezpieczenie”. „ktoś właśnie pana zaprosił”. „to mój wnuk. no ale ja go znam”. „to niech pan przyjmie”. „a można nie?”. „jasne”. „to straszne. ale niech mi pani jedno powie, czy jak to otwieram, to oni mnie widzą?”. „oni?”. „te twarze”. „to tylko lista znajomych”. „bo ja się boję, że oni mnie wyciągną”. wstałam z grozą.

autobus 503, babcia z wnuczkiem. „babciaaa, czy Jezusek kocha Żydów?”. „a co?”. „tak zaznaczyłem na klasówce. ale to było podchwytliwe. a kim był Jezusek z narodowości?”. „Bogiem”. „takiej nie było. strzeliłem, że Polakiem”. „i dobrze”. „bo śpiewali mu polskie kołędy. i leżał na sianku pod choinką”. „mądry wnusio”. „a dlaczego on miał takie słabe warunki?”. „bo nikt go nie chciał”. „ale królowie go chcieli”. „bo nie mieli swojego Jezuska jak Polacy”. „a Jezusek był synkiem Jezusa?”. „nie, to mały Jezus”. „to ich było dwóch, jak w kreskówce?”. „no co ty gadasz?”. „babciu, ale ja zaznaczyłem, że ten duży był Żydem”.

Pociąg do Olsztyna, na oko trzydziestolatka w telefon: „zabrać Mateusza na wigilię?”. pauza. „wiem, co wtedy przeżyliście, od razu go dla taty rzuciłam. ale to był liberał”. pauza. „jasne, że z nami pójdzie, ze mną co niedziela chodzi. jego nie musimy przerabiać”. pauza. „tak, jest na sto procent prawidłowy”. pauza. „tak, będzie śpiewał, wszystko zje”. pauza. „słuchaj, mamus, ja mu po prostu zamówię pokój w zajeździe. nie będzie się tata niepokoił”. pauza. „mamus, ale powiesz tacie, żeby go za bardzo nie piłował?”. pauza. „ja wieem, ale to już piąty i może nam się uda go zatrzymać?”. pauza. „tata to by chyba księdza chciał”. pauza. na wkurzeniu: „no żeby nic nigdy nie zaszło, a dzieci to Pan Bóg zrobi”.

Piądzienik, ranek. śmietniki, starsza spod piątki z jamnikiem. do mnie ostro: „śniła mi się pani”. „o!”. „nie cieszy się tak, na żywo lepiej wypada”. „co zmalowałam?”. „jego zapyta” – wskazuje na psa. „a to śniliście na spółkę?”. „co też! ale jego pani goniła najbardziej”. „ech”. „aż sobie musiałam dziurawiec rano nastawić. a pani nie odpuszczała”. „?”. „bo Zdzisiu jeszcze przez sen biegał. o tak, łapami”. „obiecuję zmienić psa”. „dobradobra, na jawie to każdy przyzwyoity. a potem wiadomo”.

dzwoni staruszka od ciśnienia: „pani Elizo, te syreny to z okazji naszej misji smoleńskiej?”. „owszem”. „ja się z tych śmierci nie nabijam, sama pani rozumie, ale co powiedzieć. moja Natasza ma dziś urodziny”. „o, to może ciasto jakieś?”. „poproszę, ale ja nie o tym”. „uhm”. „obudzili ją, chociaż u nas słabo słychać. ja sobie przy stole z herbatą, a ta siadła na łóżku, mówi: »i w moje urodziny działania zaczęły«. ja jej wytłumaczyłam, że to pewnie kolejna rocznica, i na chwilę przysnęłam w fotelu. budzę się, a ta siedzi z torbą, że musi iść, bo mnie za nią zabiją”. „o masz”. „kazałam się rozpakować i się rozpakowuję. relanium dam. ale to jest jednak nieszczęście”. „wojna”. „my, pani Elizo, my”. ©

JĄDRO JASNOŚCI

SZCZEPAN TWARDOCH, PISARZ:

Pomimo mojego nihilistycznego nastawienia wobec świata myślę, że istnienie człowieka jest czymś niesłychanym i niezwykłym. Poprzez nas świat zaczyna myśleć samego siebie.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Co to jest imagineskop?

SZCZEPAN TWARDOCH: Urządzenie do powiększania wyobraźni opracowane przez naukowca o nazwisku Jabcon. Jego koncepcja pochodzi ze wspaniałej książki „Wstęp do imagineskopii”, którą – pod pseudonimem Śledź Otrembus Podgrobelski – wydał pod koniec lat 70. Stanisław Moskał, pochodzący z Krakowa socjolog, badacz polskiej wsi, a prywatnie kolega mojego taty z czasów studiów. „Wstęp...” to była taka parodia pracy naukowej, pisaną zresztą przez Moskała równoległe z jego, najzupełniej już poważną, pracą doktorską.

Kiedy byliśmy dziećmi, mnie i moją starszą siostrę tata w tę imagineskopię Podgrobelskiego wkręcił. Z grubsza polegało to na tym, że chodziliśmy po lasach i szukaliśmy tak zwanych imagineskopów naturalnych, czyli kawałków kory z dziurą po sęku, przez którą trzeba było patrzeć – w ten sposób powiększaliśmy sobie wyobraźnię.

Nie dziurą, tylko „przeziórem”! Działo?

Właśnie, przeziórem, racja. Nie działało, niestety! (*śmiech*) A może jednak działało... Czytałem książkę Podgrobelskiego jako ośmioletnie dziecko i miałem mieszane uczucia, bo do końca nie wiedziałem, czy jest serio. Niestety zgubiłem gdzieś egzemplarz taty, pierwszą edycję, taką już rozpadającą się w rękach. Ale wróciłem do „Imagineskopii” jako dorosły człowiek, kiedy książka została wznowiona – jest naprawdę potwornie śmieszna.

Encyklopedie, które Pan studiował jako chłopiec, też miały takie swoje przeziory?

Zapewne. Zawsze miałem potrzebę, natręctwo właściwie, przyswajania niepotrzebnych do niczego faktów z bardzo różnych dziedzin. Teraz wykorzystuję do tego celu Wikipedię, która, szczególnie gdy piszę, staje się większą złą niż media społecznościowe. Ale ponieważ jest dobrym startem dla researchu i punktem wyjścia do poważniejszych źródeł, często bywa tak, że gdy chcę sprawdzić coś błędnego, co powinno mi zająć kilkanaście, góra kilkadziesiąt sekund, po godzinie orientuję się, że czytam o metodach, dajmy na to, budowy triery, starogreckiego trójrzędowca, co mi jest oczywiście do niczego niepotrzebne, ale nie mogę przestać – płynę od linku do linku.

A potem Pana książki są pełne dygresji.

Muszę się bardzo starać, jeśli mam nad nimi zapanować – przy pisaniu „Pokory” od początku założyłem sobie, że dygresji nie będzie. Z kolei moja ostatnia powieść, „Chołód”, cała jest zbudowana z dygresji – w gruncie rzeczy ona jest odbiciem tego, w jaki sposób myślę, jak działa moja głowa.

Jak działa?

Moja pamięć jest przepełniona faktami, które w niewielu dziedzinach układają się w system, wiedzę. Głowę mam zawaaloną przeróżnymi informacjami, przez co mam problem z zapamiętywaniem rzeczy podstawowych, na przykład imion, co bywa dość niezręczne.



SZCZEPAN TWARDOCH

jest autorem bestsellerowych powieści. Uhonorowany prestiżowymi nagrodami, m.in. Nagrodą im. Kościelskich, Paszportem „Polityki”, Brücke Berlin-Preis, Nagrodą Czytelników Nike. Na podstawie powieści „Król” powstał serial wyprodukowany przez Canal+. Mieszka w Pilchowicach na Górnym Śląsku.

Ceną za intensywność poznania staje się przeszłość?

Tak, wie pani, nie pamiętam w ogóle swojego pierwszego dnia w szkole podstawowej ani pierwszego dnia liceum, bardzo niewiele jestem w stanie sobie przypomnieć także z czasu studiów. Słabo pamiętam swoje dzieciństwo, choć bardzo świadomie pracuję nad tym, żeby je – użyję słowa, które bardzo lubię – „odniepamiętać”.

To przedziwne i przerażające, bo sprawia, że żyję głównie w odległej przeszłości – więcej wiem o historiach rodzinnych sprzed dwustu lat niż o własnym życiu. A zapominając, czuję, jakbym coś bezpowrotnie tracił, choć mam tłącą się nadzieję, że wszystkie te zdarzenia, które przeżyłem, gdzieś we mnie są, kiedyś wypłyną.

Z drugiej strony, nawet jeśli wypłyną, nie będę wiedział, czy są prawdziwe czy skonstruowane. Wspomnienia nie dotyczą przecież samych zdarzeń, ich desygnatów, lecz ostatniego aktu wspominania. Cała nasza pamięć to seria głuchych telefonów do samych siebie.

W opowiadaniu „Tak jest dobrze” ojciec z kilkuletnim synem wyruszają w tundrę. Śpią w namiocie w jednym śpiworze, rozgrzewają się przy ognisku, podpatrują renifery. I wędrują. Nikodem to lubi, bo lubi, jak Pan pisze, „odurzać się przestrzenią, zmęczeniem, zimnem”, zapewne chce się tym doświadczeniem podzielić z Małym. Ale nagle zagarnia go przeszłość, ucieleśniają się wizje, wypływają najboleśniejsze wspomnienia, doganiają lęki... ➔

→ Albo duchy! Przecież to nie musi być wcale opowiadanie realistyczne.

To w każdym razie bardzo lemonskie opowiadanie. Myślę, że Pana łączy z Lemem coś, co powraca w wielu Pana książkach – przeświadczenie, że „przestrzeń, w której możliwa jest przygoda, zawsze przynależy do przeszłości”.

Ja to powiedziałem?

Nie...

Ale mógłbym! (*śmiech*) Więc może Jacek Dukaj? On na pewno coś takiego napisał...

Sylvain Venayre, francuski historyk.

Rzeczywiście tak jest, pustka szuka w nas oaz przeszłości. Gdziekolwiek wyruszymy – w Bieszczady, dżunglę, do zapadłej dziury na Mazurach albo Arktyki, odkrywamy światy, w których przeszłość wciąż jest jakoś dostępna, zakonserwowana.

W słowach czy w obrazach?

W jednym z wywiadów ktoś zapytał Lema o konkretny wygląd sepulek z „Dzienników gwiazdowych”. Lem odpowiedział, że w ogóle ich sobie nie wyobraża, bo u niego wszystko dzieje się w słowach, wystarcza mu język, nie potrzebuje konkretnego. Czytając tę rozmowę zrozumiałem, że mam odwrotnie – powieści, które piszę, są adaptacjami filmów rozgrywających się w mojej głowie. Trudność sprawia mi natomiast to, aby one ożyły w słowach. Bardzo często jestem niezadowolony z efektu. Po każdej powieści mam takie poczucie, że, okej, może jest dobrze, ale zanim to wszystko napisałem, miałem w sobie historię o wiele doskonalszą. Widziałem ją.

Najpierw zatem są obrazy, a potem szuka Pan dla nich języka.

I najtrudniejsze jest pierwsze pięćdziesiąt stron książki – mozolne szukanie idiomu, siedzenie i pisanie wciąż na nowo, sprawdzanie, czy gra. A jeśli nie gra, trzeba przestawić szyk, wymyślić jakieś dziwactwo albo odwrotnie – usunąć je. Często te pierwsze pięćdziesiąt stron książki zmieniam. Szukam właściwego języka i w którymś momencie go znajduję, ale nie ma w tym żadnej świadomej decyzji, po prostu czuję, że to wszystko jakby zaczyna iść. Zdania

Człowiek jest człowiekiem tylko wobec innych.

Nie sposób tak naprawdę wyobrazić sobie osobnego, pojedynczego człowieka. Taki człowiek właściwie traci swoje człowieczeństwo, prawda?

wynikają już jedno z drugich, ciągną się wzajemnie.

Dlaczego właściwie ten osobny język, konstruowany od nowa dla każdej historii, jest Pana bohaterem tak potrzebny?

Wychowywałem się w wielojęzycznym świecie, w domach, w których słyshałem równocześnie trzy języki: polski, niemiecki i śląski. Już sam wybór języka był komunikatem. Najpierw śląski. On był językiem przyziemnym, praktycznym. Do dziś, kiedy robię coś manualnego, pracuję fizycznie, automatycznie przedstawiam się na śląski i, szczerze mówiąc, nawet nie wiem, jak się po polsku nazywają dibel albo krajzega. Śląski to język intymny, język zażyłości. Z najbliższymi przyjaciółmi, tymi, którzy mówią po śląsku, godomy.

Polski był z kolei oficjalny. Babcia w domu mówiła wyłącznie po śląsku, a gdy szedłem z nią na przykład do sklepu, mam bardzo żywe wspomnienie tego, że czułem, jak coś się w niej nagle jakby przełączało – mówiąc po polsku miała zupełnie inny głos. Słuchając jej miałem wrażenie, że to już nie moja babcia, ale obca kobieta.

A niemiecki?

Po niemiecku dziadkowie rozmawiali wtedy, kiedy chcieli, żebyśmy nie rozumieli, o czym mówią. Niemiecki był językiem tajemnic, oznaczał coś, do czego dzieci nie powinny mieć dostępu. Był także językiem ludzi starszych – mój dziadek ze swoją mamą mówił praktycznie wyłącznie po niemiecku, w tym języku rozmawiał także ze swoimi kuzynami i całą rodziną, którą do dziś mamy w Niemczech.

Długo dorastanie w językowej monokulturze jest dla mnie czymś, czego chyba nigdy do końca nie zrozumieć, i moi, obcujący się w różnych idiomach języka

bohaterowie są odbiciem tego doświadczenia. Chcę, żeby języki, którymi piszę swoje książki, były osobne, żeby należały wyłącznie do moich bohaterów.

Irytuje Pana, gdy krytycy nazywają Pana powieści przygodowymi.

A mnie się wydaje, że nie ma niczego złego w tej kategorii, choćby właśnie z tego powodu, że to między innymi Arthur Rimbaud patronuje współczesnemu mitowi poety-podróżnika, awanturnika, który poszukuje granic swojego człowieczeństwa i języka jednocześnie. Jak bohaterowie Pana książek.

Ale przecież jeśli uznamy, że powieści awanturnicze polegają na tym, że facet gdzieś jedzie i ma przygody, to pierwszą powieścią awanturniczą będzie „Odyseja”.

W porządku. I co sprawia, że Odys płynie?

Ma w sobie taki napęd, *drive*, którego siła wynika wprost z jego niewytłumaczalności.

To znaczy?

Naprawdę mam wyjaśnić? Gdy zapytano jednego z himalaistów, po co się wspina, odpowiedział, że robi to dlatego, że „góra jest”. Można to oczywiście uznać za atrakcyjny *Stichwort*, ot, bon mocik, Ale ja w to wierzę, też tak mam. Dlaczego chciałbym przepłynąć Atlantyk? Ciągnie mnie i nie potrafię powiedzieć, dlaczego... Nie ma we mnie potrzeby dokonania żadnego sportowego wyczynu, nie chcę być nigdzie pierwszy, nie chcę wejść najwyżej ani dotrzeć najdalej. Podróżnicy lubią sobie często utrudniać zadania: wejść na K2, ale bez tlenu, zrobić trawers Antarktydy z zamkniętymi oczami... Mnie to w ogóle nie pociąga. Z drugiej strony nie umiem usiedzieć w miejscu, co jakiś czas muszę gdzieś pojechać, gdzieś indziej niż wszyscy – pewnie to przechodzi także na moich bohaterów.

Również na bohatera ostatniej książki, Konrada Widucha.

Sensem tej postaci jest absolutna *élan vital*! Widuch cały jest chęcią przeżycia, on jest po prostu przetrwaniem.

Opowiada Pan w „Chołodzie” o czystej energii życia.

A jednocześnie, z jakiegoś powodu, nie tylko w tej powieści, przestania Pan ją miłością. Pozwala Pan wierzyć, że to ona popycha bohaterów do działania.

Gdyby Odys naprawdę tęsknił za Penelopą i Telemachem, szybciej wróciłby na Itakę (*śmiech*).

Zamiast wracać, spisuje swoje przygody. Może w takim razie to potrzeba opowieści jest tym, co sprawia, że Widuch trwa mimo wszystkich okrucieństw XX wieku, których jest świadkiem.

Opowieść jest zawsze wtórna wobec przygód. Proszę zauważyć, że ten facet nie jest wiarygodnym narratorem, tak jak nie jest nim Odys – obaj zmyślają. Zakończenie „Chołodu” podaje w wątpliwość wiarygodność dzienników Konrada Widucha, a jednocześnie pozwala dostrzec na horyzoncie sam Chołód – tajemniczą osadę, w której rzekomo mieszkał. Wiadomo zatem, że narrator wstępu, interludium i zakończenia, czyli to moje *porte-parole*, które pojawia się w powieści, też zmyśla. A jeśli wszyscy zmyślają, to znaczy, że nasza opowieść jest wobec życia wtórna.

To po co w ogóle opowiadać, skoro liczy się samo życie?

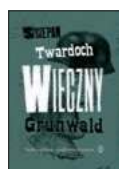
Patrzac już z perspektywy czasu na „Chołód” mam poczucie, że opowieść Widucha jest próbą usprawiedliwiania siebie, na poziomie nie tylko moralnym, ale i – w jakimś sensie – metafizycznym. On nie musi się przed nikim tłumaczyć, ale próbuje po prostu umocować siebie w świecie. Nawet nie usprawiedliwić, lecz odkupić w naszych oczach, w oczach czytelników...

„Odkupić” to prawdopodobnie nie najlepsze słowo, bo nie chodzi o odkupienie w sensie religijnym. Ale chociaż z wiarą i praktyką dawno się rozstałem, to jednak moje imaginarium jest katolickie, bo takie odebrałem wychowanie, nie umiem na to znaleźć innych określeń.

Brzmi w każdym razie po conradowsku.

I Conrad jest oczywiście patronem tej książki. „Chołód” ma dwóch patronów – Josepha Conrada i Hermana Melville’a. Hołdem dla Conrada jest struktura tej książki, bo właściwa jej historia nie zaczyna się od pierwszych stron, tylko – podobnie jak w „Jądrze ciemności” – ludzie

Wskazówki do czytania jego bestsellerowych powieści, takich jak „Morfina”, „Pokora” czy „Król”, znajdziemy w pozostałych, również eseistycznych, książkach Szczepana Twardocha.



■ **„Wieczny Grunwald” (2010)** Twardoch podrzuca klucz do rozumienia wielu swoich historii. „Každy z moich bohaterów w jakimś sensie walczy o godność – wyznaje w postawie do historii Paszki, bękart, samotnego człowieka nieprzynależącego nigdzie – a ich walka jest także moją walką”.



■ **„Ballada o pewnej panience” (2017)** Opowiadania o prowincjonalnych, mieszczańskich życiach, zmaganiach z ciałem, krótkich, choć intensywnych namiętnościach oraz miłościach, które dają przez moment złudzenie porozumienia z drugim człowiekiem. Sporo nawiązań do klasyki i trochę duchów.



■ **„Jak nie zostałem poetą” (2019)** „Oto ktoś, kto chce się wam podobać, kto chce się przede wszystkim podobać samemu sobie. Ktoś, kto chce, żebyście go uwielbiali, chociaż sam siebie nie uwielbia wcale” – miał powiedzieć profesor Majda o małym Szczepanie, który namalował akwarelami swój portret, pozując na Jima Morrisona.



■ **„Chołód” (2022)** Pochodzący z Górnego Śląska Konrad Widuch to weteran Wielkiej Wojny i oddany rewolucji komunista. Ponieważ

rewolucje zwykle pożerają własne dzieci, Widuch zostaje aresztowany i zesłany do łagru, z którego ostatecznie, mając nieco szczęścia, ucieka. Tak zaczyna się jego podróż przez śniegi, lody i tundrę, która zaprowadzi go do tajemniczej osady, nazywanej przez jej mieszkańców Chołodem. Występujący w pierwszej i ostatniej części tej historii pisarz Szczepan Twardoch uwiarygadnia i jednocześnie podważa prawdziwość dzienników Widucha.

spotykają się na jachcie i ktoś im, a zarazem nam, opowiada. Ten zabieg przywiązuje całą tę fikcję do świata taką małą pętelką.

Uwiarygadnia ją.

Tak, zupełnie obcy jest mi ten sposób pisania, w którym nie wypada po prostu snuć opowieści. Sposób pisania wymagający od autora zmagania z formą, która ostatecznie musi się mu pod palcami rozlecieć? Nudzi mnie to śmiertelnie. Dlaczego powieść ma w sobie koniecznie nieść namysł nad powieścią, dlaczego musi być świadoma siebie i procesów, które w niej zachodzą? Proszę przejrzeć listy książek nominowanych do Bookera w ciągu ostatnich lat – są na niej po prostu ciekawe opowieści. Jako autor czuję się o wiele bliższy tej tradycji, jako czytelnik też wybieram takie książki.

A Melville?

Hołdem dla Melville’a jest sam początek, pierwsza strona „Chołodu”, która jest właściwie trawestacją pierwszych akapitów „Moby Dicka”, lamentu nad tym, że czasem nie da się wytrzymać w świecie...

O! Uwielbiam ten fragment [ST zdejmuję z półki książkę i czyta w oryginale ustęp, który podaje w tłumaczeniu Bronisława Zielińskiego – MO]: „Gdy tylko stwierdzę, że usta wykrzywiają mi się ponuro, gdy tylko do duszy mej zawita wilgotny, dżdżysty listopad, gdy złapię się na tym, że mimowolnie przystaję przed składami trumien albo podążam za każdym napotkanym pogrzebem, a w szczególności, gdy moja hipochondria tak mnie opanuje, iż potrzeba mi silnych zasad moralnych, by się powstrzymać od rozmyślnego wyjścia na ulicę i metodycznego strącania ludziom z głów kapeluszy – wtedy uznaję, że już wielki czas udać się na morze jak najrychlej”.

Początek „Chołodu” wynika dokładnie z tego zdania.

„Życie zaciskało się wokół mnie ciaśniej niż z każdym dniem pętlą, jak zawsze kiedy tkwię zbyt długo w świecie, do którego należę...”

Cormac McCarthy miał powiedzieć o Melville’u, że jego lektura pozwala zrozumieć, z czego zrobiony jest świat i dlaczego życie jest, jakie jest.

Wątpię, by Melville myślał o tym, pisząc „Moby Dicka”. Jestem przekonany, że chciał po prostu napisać powieść →

→ o wielorybnikach. Nie próbuję się oczywiście z nim porównywać, natomiast czuję pokrewieństwo, bo moje nastroyenie jest równie nihilistyczne, depresyjne, na jakimś poziomie bardzo konserwatywne w wizji ludzkiej natury. Podczas pisania „Chołodu” miałem na ścianie cytaty z „Makbeta”, o tym, że życie jest opowieścią idioty pełną wściekłości i wrzasku.

W swojej prozie nazywa Pan to często „straszną zasadą rzeczywistości”.

To sformułowanie wzięłem sobie od Agaty Bielik-Robson – bardzo mi się spodobało. Mam na myśli tyle, że próby nadania życiu sensu i znaczenia, odnalezienia jego struktury są tyle szlachetne, co skazane na niepowodzenie. Nie wierzę w odpowiedzi.

Bo nie są ważne?

Nie ma ich po prostu. Mam silne poczucie istnienia między nami a światem nieprzenikalnej zasłony. Nie w takim platońskim sensie, w którym widzimy tylko cienie i odbicia prawdziwych idei, nie chodzi mi też jedynie o barierę między nami a światem natury. Jestem jednak przekonany, że cała nasza rzeczywistość jest przede wszystkim kontrolowaną halucynacją, bo taki jest mechanizm, który sprawia, że nasze mózgi tworzą światy dookoła siebie, a innych nie mamy. Istnienie realnego pozostaje jedynie umocowaną w halucynacji nadzieją.

I co z tego dla nas wynika?

Dla mnie – dojmujące i przykre poczucie absolutnej samotności wszystkich ludzi. Tego, że komunikacja z drugim człowiekiem odbywa się zawsze wewnątrz nas samych, nienawidzimy i kochamy nie innych, tylko wyobrażenia o nich, które mamy w głowach, ich modele.

Widzę w tym jakiś okrutny paradoks, bo – jak mówi klasyk – żaden człowiek nie jest samotną wyspą. Człowiek jest człowiekiem tylko wobec innych. Nie sposób tak naprawdę wyobrazić sobie osobnego, pojedynczego człowieka. Taki człowiek właściwie traci swoje człowieczeństwo, prawda? (*milczenie*) Widziała pani nowego „Avatara”?

Jeszcze nie.

Ja też nie... Ale pamięta pani może z pierwszej części, jak bohaterowie Camerona łączą się między sobą, jednocześnie podłączając do planety, na której żyli? Używając do tego bodajże takich zabawnych ogonków (*śmiech*). Abstrahując od jakości tego filmu, widzę w nim odważne, utopijne marzenie o możliwej, bezpośredniej łączności z drugim człowiekiem.

Kiedy mamy złudzenie takiej łączności, na przykład w relacji miłosnej albo pod wpływem substancji takich jak MDMA albo odpowiednio dawkowane LSD, mamy takie właśnie poczucie, jakbyśmy mogli się do siebie wzajemnie „podpiąć” i rozumieć bez słów, jakby ta nieprzenikalna zasłona nagle opadała. I ja nie skreślam tego doświadczenia tylko dlatego, że jest indukowane albo emocją miłości, albo chemią, bo też w zasadzie wszystko w naszym mózgu jest powodowane chemią. Jednak to chyba ciągle złudzenie...

A może rodzaj imageskopu.

I właśnie, pomimo mojego nihilistycznego nastawienia wobec świata myślę, że istnienie człowieka jest czymś niesłychanym i niezwykłym. W tym sensie jestem bardzo antropocentryczny i nie potrzebuję do tego ani Boga osobowego, ani bezosobowego Absolutu. Wystarczy mi, że poprzez człowieka świat zaczyna myśleć samego siebie.

Idąc za myślą Pierre’a Teilharda de Chardin, ale też zmarłego niedawno Jamesa Lovelocka – człowiek jest jedynym przypadkiem, w którym materia zyskuje świadomość swojego istnienia. Jeśli zatem uświadomimy sobie, że istniejemy nie tylko jako pojedynczy ludzie, ale jako ludzkość, w czasie, kiedy zdamy sobie sprawę ze znaczenia kolektywnego intelektualnego wysiłku wszystkich pokoleń, wtedy nasze istnienie, zarówno jako pojedynczych ludzi, jak i jako ludzkości, jest czymś bez precedensu! O ile mój namysł nad światem może mieć swoje ograniczenia, nasz wspólny namysł jest czymś niezwykłym.

Nie jesteśmy rakiem toczącym naszą planetę. I wcale nie byłoby lepiej, gdyby nas tu nie było. Bez człowieka wszechświat byłby głuchy i ślepy na sam fakt własnego istnienia. Dobrze, że człowiek jest.

©© Rozmawiała MONIKA OCHEŁDOWSKA

Genialna przyjaciółka

KRZYSZTOF UMIŃSKI

Uważność, dyskrecja, wrażliwość, lojalność, empatia – jedno z najcenniejszych przymiotów redaktora są też cechami dobrego przyjaciela. Maria Ofierska w obu tych dziedzinach uchodziła za kogoś w rodzaju geniusza.

REDAKTOR I PRZYJACIEL TO CICHE ROLE Życiowe, za które nawet geniuszom nie stawia się pomników. Zresztą ona stroniła od cokołów. Kiedy jeden z jej bliskich, szykując dla niej laudację z okazji przyznania Nagrody PEN Clubu za zasługi edytorskie, odkrył nieznany a chwalebny epizod z jej biografii, wymogła na nim obietnicę, że nie ujawni tego w swoim odczycie. Znajomych autorów prosiła podobno, by nie wymieniali jej w podziękowaniach. Ten i ów przeschmuglował gdzieś wyrazy wdzięczności, ale bardziej pouczającą byłaby lektura dedykacji w jej domowym księgozbiorniku. Na przykład: „Marysi Ofierskiej, kochanej opiekunce, ofiarowuje autor. Październik 73” – to z „Etosu rycerskiego” Marii Ossowskiej.

Cena sumienia

Jej pomnikiem jest piramida książek, które na okładce nie mają jej nazwiska, lecz istnienie w polszczyźnie zawdzięczają jej edytorskiej pieczy: „Orientalizm” Edwarda Saïda, „Kultura i tożsamość” Margaret Mead, „Teoria klasy próżniaczek” Thorsteina Veblena, „Myśl nieoswojona” i „Spojrzenie z oddali” Claude’a Lévi-Straussa, „Wyklęty lud ziemi” Frantza Fanona, „Socjologia” Georga Simmla, „Wspólnoty wyobrażone” Benedicta Andersona, „Narody i nacjonalizm” Ernesta Gellnera, „Samotny tłum” Davida Riesmana i dziesiątki innych pozycji, bez których trudno sobie wyobrazić socjologię i antropologię kulturową. Razem z nimi



ANNA BIAŁA / WYBORCZA.PL

Maria Ofierska. Warszawa, początek lat 90.

tę budowlę tworzą książki autorów polskich, takich jak Teresa Hołowska, Aldona Jawłowska, Antonina Kłosowska, Marcin Król, Krzysztof Michalski, Barbara Skarga, Jerzy Szacki, Małgorzata Szpakowska...

Na szczycie onieśmielającej piramidy należałoby położyć „Listy do Marysi” (2012), zbiór tekstów napisanych dla przyjaciółki i redaktorki przez bliskich, bodaj na jej osiemdziesiąte urodziny. Są w nim limeryki, garść minitraktatów socjologicznych, rozprawa o elfach, wiersz o Paryżu, czułe apostrofy i osobiste wspomnienia. „Co w moim pisaniu znośne, bez Marii Ofierskiej by nie zaistniało” – zwierza się Zygmunt Bauman. „Marysia nauczyła mnie tłumaczyć niemal od zera” – wtóruje mu Marcin Król.

Ograny chwyt: dowartościować zapoznaną postać, cytując hołdy autorytetów. Ale kłopot z zasługami Marii Ofierskiej – i w ogóle redaktorów – polega na tym, że z natury rzeczy są zakryte. Opowiedzieć o nich może ktoś, kto na własnym tekście zaznał łaski mądrej redakcji. Albo sama redaktorka. Tylko jak? Jak ma mówić o sobie ktoś, kto wybrał cichą służbę talentowi innych? Po latach wyjść z milczenia i ogłosić światu: „subtelna lakoniczność stylu pana Iksa mojej ręki jest dziełem”?

Maria Ofierska nigdy nie opublikowała wspomnień; wątpliwe, by szuflady odsłoniły teraz skrywane memuary. Wywiadu udzieliła raz w życiu i już na wstępie tej rozmowy pada znamienita uwaga: „Ci, którzy mają bardzo duże ambicje własne, muszą być »widoczni«, nie umieją pracować »w cieniu« – nie mogą być redaktorami”. Ona umiała być w cieniu i niełatwo ją stamtąd wydobyć.

Fach edytorski zaczęła poznawać w latach stalinowskich, kiedy jako dwudziestolatka usunięta z Uniwersytetu Warszawskiego znalazła pracę w Państwowym Wydawnictwie Naukowym, w Redakcji Historii i Historii Nauki. „A w tej redakcji – opowiada Barbarze N. Łopieńskiej w wywiadzie dla »Res Publiki Nowej« – siedzieli wspaniale przedwojenne damy – Maria Romanowa, Zofia Czyńska, Zofia Charytańska. Były wykształcone i znały obce języki, co było wtedy ewenementem. Terminowałam u każdej z nich. Uczylałam się, jak czytać, jak i co poprawiać, sprawdzać przypisy, faktografię, daty, a także jak robić redakcję techniczną, jak robić korektę w drukarni”.

Po Październiku ’56 eksternistycznie ukończyła socjologię – uczęszczając m.in. na seminarium Marii Ossowskiej – a u progu lat 60. stworzyła w PWN Redak-

cję Socjologiczną, objęła jej kierownictwo i przy wsparciu środowiska naukowego zaczęła w niej wydawać pierwszą wielką serię swojego życia – Bibliotekę Socjologiczną.

Rola szefowej redakcji zmuszała ją do konfrontacji z cenzurą i raz po raz stawała przed dylematem: wydać okrojone czy nie wydać wcale? W „Naukach o kulturze” Floriana Znanieckiego, rozprawie tłumaczonej z angielskiego, znalazło się porównanie hitleryzmu ze stalinizmem, które w oczach cenzorów pograżałoby najpewniej całą książkę. Czy należało je zatem skreślić?

„Napisałam do córki Floriana Znanieckiego do Ameryki i ona się zgodziła – relacjonowała Łopieńskiej. – Ale ja usłyszałam od moich paru młodych kolegów socjologów, że pełnię tutaj funkcję współpracownika cenzury. I wzięłam to na swoje sumienie. Zawsze, kiedy trzeba dokonać wyboru między specyficznie rozumianą praktyką a wyrazistymi zasadami – ponosi się koszty, płaci dużą cenę osobistą”.

Płaciła więc. Wytrwała w PWN ćwierć wieku, odeszła pod koniec lat 70. wskutek eskalacji konfliktu z partyjną dyrektorką. Wkrótce potem podjęła pracę w Państwowym Instytucie Wydawniczym, gdzie powierzono jej Bibliotekę Myśli →

→ Współczesnej, znaną częściej pod nazwą Plus Minus Nieskończoność, cenioną serię mającą ambicje, by rzeczywistość chwycić w formie eseju. Był rok 1981, czas optymistycznych planów, które niebawem okazały się mrzonką. Z „Trzeciej fali” Alvina Tofflera cenzura usunęła rozdział o Związku Radzieckim; wkrótce potem rozdział ten wydała Niezależna Oficyna Wydawnicza. A Maria Ofierska rujnowała sobie wzrok, opracowując po godzinach nielegalne publikacje odbijane maczkiem na powielaczu.

Księgi nadziewane

W latach 90., po zakończeniu pracy w PIW-ie, współtworzyła serię Demokracja. Filozofia i praktyka, wspólne przedsięwzięcie Fundacji Batorego i Znak, w której ukazywały się dzieła z zakresu filozofii politycznej, od klasyki w rodzaju „O demokracji w Ameryce” de Tocqueville’a po pracę indyjskiego noblisty Amartyi Sena z zakresu socjologii ubóstwa. A prócz tego stale redagowała książki przyjaciół.

Z racji zajęcia i wykształcenia obracała się w kręgu socjologów i historyków idei, ale wśród jej przyjaciół byli też malarze, nauczyciele, pisarze, społecznicy... Ważną rolę w jej życiu odegrał dwuletni pobyt w Paryżu tuż po ukończeniu studiów. Zacieśniła wtedy więź z kulturą francuską (zadzierzgniętą już wcześniej: gdy była podlotkiem, matka kazała jej czytać „Pamiętniki z za grobu” Chateaubrianda w oryginale) i weszła w środowisko paryskiej emigracji. Poznała Kazimierza Wierzyńskiego, który właśnie przeniósł się do Francji ze Stanów, oraz Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który często odwiedzał Paryż i był – jak opowiadała – niezwykle ciekaw młodych ludzi z Polski. Zaprzyjaźniła się z nim, a ich przyjaźń przetrwała aż do jego śmierci. Niedawno przekazała Bibliotece Narodowej plik listów Herlinga – za darmo, bo nie chciała nawet słyszeć o ich sprzedaży, chociaż bliscy próbowali ją skłonić, by raz w życiu zatroszczyła się o swoje finanse. Miałaby mi za złe, że o tym piszę.

Bez skutku namawiałem ją na wywiad, zresztą nie ja jeden. Nie chciała opowiadać o swojej pracy, autorach, kolegach i zwierzchnikach z wydawnictw. Chyba sądziła, że takie świadectwo albo oznaczałoby krzywdzące uproszczenia, albo wymagałoby od niej ujawnienia spraw, które powierzono jej w zaufaniu. Kiedy spyta-

Na przełomie wieków siadywała przy radiu i notowała teksty piosenek hip-hopowych.

Uważała, że to najlepszy
dostępny opis współczesnej
rzeczywistości.

łem, dlaczego ten jeden raz – w wywiadzie udzielonym Łopieńskiej – zdecydowała się mówić, odparła, że była to reakcja na zalew uproszczonych ocen, jakim poddawano postawy ludzi w PRL w zaraniu III RP.

Krępuję się ją wspominać – przeżyła dziewięćdziesiąt lat, znaleźmy się niecałe trzy; mało, ale wystarczyło, by stworzyć więź. Pewnego dnia ktoś znajomy zadzwonił do mnie i powiedział, że trzeba zdobyć dla Marii Ofierskiej ładowarkę do starego samsunga z klapką. Potem zacząłem ją odwiedzać regularnie. Żeby przywieźć wałówkę i numery „Tygodnika Powszechnego” od przyjaciółki z drugiego końca Warszawy. Żeby dostarczyć nowe radio, podstawowe medium kontaktu ze światem zewnętrznym. Już nie wychodziła. Mieszkała sama w wysokim mieszkaniu na Górnym Mokotowie, na drugim lub trzecim piętrze, bez windy. Nie było tam prawie żadnych przedmiotów, a te co były, były proste, praktyczne i ładne – kilka misek, filiżanek, taca, kawiarka. Księgozbiór niewielki, może z pięćset tytułów, już przetrzebiony, bo rozdawała. Książki od niej były nadziewane wycinakami prasowymi, a w środku miały poprawione ołówkiem przecinki i literówki.

Niektóre jednak chciała zachować przy sobie do końca. Biblioteka Myśli Współczesnej stała na regale chyba w komplecie. Książek Renaty Lis mi nie oddała; z „Lesbos” miała jakiś spór, coś ją w tym eseju uwierało. „Farmę” Johna Updike’a postanowiła przeczytać jeszcze raz. „Listy do brata” van Gogha oddała mi z komentarzem „nie powinnam do tej książki wracać”, a później rzuciła półtora zdania, z którego wynioskowałem, że „Listy” przypominają jej własnego brata, już nieżyjącego.

Nasłuch

Raz przyniosłem jej swój artykuł poświęcony zmarłemu polskiemu humaniście. Tekst kończył się gderaniem, że młodzi nie czytają starych, a starzy młodych. Zru-

gała mnie. „Zrugala” to złe słowo – mówiła do równego sobie, nie z pozycji autorytetu. Zaprotestowała, że finałowe uogólnienie jest chybione i zbyt łatwe. Pod jej sprzeciwem był też żal, jakby to uproszczenie dotknęło ją osobiście.

Bo ona niestrudzenie interesowała się światem, czytała autorów młodszych od siebie, słuchała ich w radiu i chciała o nich rozmawiać. Nie było w tym śladu pogoni za modą ani pozy na przyjaciółkę młodzieży, a tylko bezinteresowna, życliwa ciekawość. Przepadała za Marcinem Wichą. Podobały jej się „Gugule” i „Patyki, badyle”. Z internetu nie korzystała, czasem drukowałem jej Dwutygodnik i ucieszyła się bardzo, kiedy Wicha napisał o „Pamięci pamięci” Marii Stiepanowej, innej książce, która na niej wywarła wrażenie. Z przyjemnością czytała „Mikrotyki”. „Czuje się – powiedziała o Pawle Sołtysie – że to jest człowiek, który ma własny świat”. A później zacytowała wers piosenki: „w windzie pachnie mokrym psem”.

Chyba przy okazji rozmowy o Pablo pavo wspomniała mi też, jak na przełomie wieków siadywała przy radiodoborniku i notowała teksty polskich piosenek hip-hopowych. Jej uczeni przyjaciele nie mogli się temu nadziwić, ona zaś uważała, że to najlepszy dostępny opis współczesnej rzeczywistości. Co wiedziała o rzeczywistości z „Reprezentuję biedę”, „W witrynach odbicia”, „My, ukryty w mieście krzyk” albo „Jestem Bogiem”? Widać coś wiedziała.

Znowu przypominam sobie, jak skrytykowała mój tekst, ale teraz we wspomnieniu coś innego wysuwa się naprzód: jej trema przed rozpoczęciem rozmowy i ulga, kiedy mieliśmy ją za sobą. Bała się, że się obrazę? Śmieszne, pyszałkowane przypuszczenie. Nie byłem jej potrzebny. Miała przyjaciół inteligentniejszych, światlejszych ode mnie, przyjaciół od dziesięcioleci, troskliwych i oddanych, nie potrzebowała mnie nawet, żebym zapłacił rachunki na pocztę czy kupił zapas biców w sklepie papierniczym. A jednak to prawda: przywiązała się do niedawno poznanej osoby i nie chciała jej stracić. Geniusz przyjaźni nie opuścił jej do końca.

© KRZYSZTOF UMIŃSKI

Autor (ur. 1984) jest scenarzystą i tłumaczem. W styczniu 2022 r. nakładem wydawnictwa Marginesy ukazała się jego debiutancka książka „Trzy tłumaczki”.



KRZYSZTOF BIELIŃSKI / TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

Spektakl „Uciekła mi przepióreczka” na podstawie dramatu Stefana Żeromskiego w opracowaniu Krystyny Duniec oraz Pawła Sablika i w reżyserii Michała Kotańskiego

Jak sobie wyobrażasz Kielce?

DARIUSZ KOSIŃSKI

Metropolitalni intelektualiści nadal krążą po „prowincji” przekonani, że uda im się wydobyć „lud” z błędów. Ale jedyny teatr w mieście musi czasem pogodzić wiele odmiennych oczekiwań.

MAPA TEATRALNA POLSKI wciąż się zmienia. W latach 90., przy znacznym osłabieniu dominującego wcześniej Krakowa i krzysie scen warszawskich, ciężar życia teatralnego przesunął się na zachód. Na najważniejszą metropolię teatralną wyrósł Wrocław, mocne miejsce dzięki Annie Augustynowicz zdobył Szczecin, a ogromne, nieproporcjonalne do swoich rozmiarów znacznie zyskały Wałbrzych i Legnica.

Zniszczenie przez ministerstwo Teatru Polskiego i idące za tym wyraźne osłabienie zainteresowania władz miasta i regionu podtrzymaniem wysokiego

poziomu życia teatralnego (kres Festiwalu Dialog i Brave Festival, praktyczna likwidacja Teatru Pieśń Kozła) sprawiło jednak, że w drugiej dekadzie XXI w. Wrocław utracił pozycję teatralnej stolicy kraju. Szczecin, Legnica i Wałbrzych nadal trzymają poziom i pozycję, ale wyraźnie widać, że dołączają do nich inne miasta, w których istnieje praktycznie jeden teatr dramatyczny, zmuszony do obsługi bardzo różnej publiczności i spełniania jednocześnie wielu funkcji.

W tej grupie Teatr Żeromskiego w Kielcach wysunął się w ostatnich latach na czoło (choć musi teraz pracować na bar-

dzo słabo wyposażonej scenie zastępczej w Wojewódzkim Domu Kultury), stając się przykładem instytucji świadomie pozametropolitalnej. Taki status oznacza umiejętność jednoczesnego dbania o utrzymanie i rozwój więzi z publicznością miejscową, która niekoniecznie uważa bywanie w teatrze za rzecz pierwszej potrzeby, oraz o przyciąganie widzów z innych części kraju, zwłaszcza osób i mediów mogących umocnić pozycję placówki na ogólnopolskiej mapie.

Niejedna pozametropolitalna scena niepotrafiąca służyć jednocześnie tym dwom panom wpadała z tego powodu w tarapaty. Porzucenie scen przez lokalną publiczność, czującą się w miejscowym teatrze nieswojo, to zwykła kara za przechyl repertuaru w stronę krytycznych mód. Z kolei oddanie się wyłącznie w służbę publiczności miejscowej i rezygnacja z rzucania jej nowych wyzwań oznaczają nie tylko słabą widzialność ogólnopolską, ale też przekładają się w końcu na brak szacunku ze strony widzów lokalnych, którzy czują się traktowani jak nie dość rolgarnięci prowincjusze.

Zasadniczy problem wiąże się z wielością odmiennych oczekiwań publiczności, jakie musi spełnić jedyny teatr →



MONIKA STOLARSKA / TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

Spektakl „Frankenstein” na podstawie powieści Mary Shelley w adaptacji Huberta Sulimy i w reżyserii Jędrzeja Piaskowskiego

→ w mieście. O ile widz warszawski może zgodnie ze swoimi gustami wybrać Teatr Ateneum lub Narodowy zamiast Powszechnego czy Komuny Warszawa (i odwrotnie), o tyle widz kielecki, zaskoczony czy zszokowany formułą, na którą nie był przygotowany, alternatywę ma stosunkowo niewielką (świetny Teatr Lalki i Aktora „Kubuś” to jednak scena specyficzna), może więc w teatrze już w ogóle się nie pojawić. Jednocześnie zakładanie, że przy różnorodności i dostępności form współczesnej kultury widzowie niemetropolitalni są gotowi tylko na tradycyjne przedstawienia, byłoby dowodem na fałszywy paternalizm, nie mówiąc już o małej wierze w siłę teatru.

Michał Kotański, dyrektor (od 2015 r.) Teatru im. Żeromskiego w Kielcach, tę kwadraturę koła wydaje się szczęśliwie rozwiązywać, głównie przez proponowanie pozycji, które przyciągają uwagę

widzów miejscowych i przyjezdnych. Przykładem wyrazistym z poprzedniego sezonu była adaptacja „Ale z naszymi umarłymi” Jacka Dehnela w reżyserii Marcina Libera. Wprawdzie huk narobiły wokół niej także niemądre interwencje polityczne, niemniej sam koncept produkcyjny już przyciągał uwagę. Znana powieść, znany reżyser, wciąż grozący skandalem temat, a do tego atrakcyjna formuła czarnej komedii – wszystko złożyło się na sukces, wcale nie oznaczający zwrotu w stronę jakichś uproszczeń czy komercji.

Teatra nienaiwne

Taką politykę dyrekcja Teatru kontynuuje w obecnym sezonie. Jej przejawem było zaproszenie pracujących w duecie reżysera Jędrzeja Piaskowskiego i dramaturga Huberta Sulimy do realizacji ich oryginalnej adaptacji „Frankensteina” Mary Shelley. Temat znany przede wszystkim z produkcji filmowych zapewnił rozpoznawalną markę, mogącą zainteresować publiczność miejscową. Z kolei publiczność spoglądająca raczej z perspektywy ogólnopolskiej mogła zwrócić uwagę nie tylko na tytuł, ale właśnie na to, co z powieścią oferującą całe bogactwo interpretacji zrobi cieszący się uznaniem duet.

Dla swojego „Frankensteina” Piaskowski z Sulimą wybrali ramy bardzo poważnych kontekstów i styl dziecięco naiwnej, groteskowej niby-baśni. O ile konteksty – przede wszystkim historia zmarłej przy porodzie matki autorki, Mary Wollstonecraft, niezależnej intelektualistki i pionierki feminizmu – wyprowadzają historię Frankensteina poza nieco już stereotypowe pytania o odpowiedzialność nauki czy „istotę człowieczeństwa”, o tyle „teatra naiwne” rozbijają drugi stereotyp – budzącego grozę potwora o twarzy Beli Lugosiego.

Publiczność oczekująca znanych scen ożywiania trupa i rodzenia się potworności z odrzucenia najpierw dostaje widmowo-oniryczną sekwencję „ducha matki” (niemal jak odwrócenie ducha ojca z „Hamleta”), a potem domową sielankę rodzinną z radosnym śpiewaniem cudownie pluszowej piosenki o czterech zielonych słońcach. Jakby tego było mało: w scenie zdobywania zwłok dla eksperymentów Frankensteina zamiast spodziewanego instrumentarium grozy na scenie odbywa się tyleż zabawna, co ryzykowna groteska trzech much żerujących na trupach. Co ważne: te i podobne zabiegi nie oznaczają rezygnacji z linearnego, „porządnego” opowiedzenia historii potwora. Jeśli ktoś przed obejrzeniem

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl

kieleckiego przedstawienia przeczytał ponownie książkę Mary Shelley lub choćby obejrzał film Kennetha Branagha, musiał przyznać, że Piaskowski z Sulimą zachowali wszystkie ważniejsze ogniwa fabuły i klarownie je opowiedzieli.

Związek z matką jest ukazywany jako zarówno biologiczny, jak i duchowy, a zarazem przeciwstawiany narzucanej siłą relacji z ojcem. Twórcy (jak dla mnie zbyt jednoznacznie) wydają się wybijać wątek walki o uznanie dla odmienności. Oba wiodą ku refleksji nad rodziną, którą – jeśli ktoś zechce – można poprowadzić dalej: ku refleksji nad cywilizacją ludzką konstruującą siebie w ambiwalentnej i ryzykownej relacji do „natury”. Jednym słowem, powstało przedstawienie dające do myślenia, a zarazem atrakcyjne scenicznie, zaskakujące widzów, ale nie konfundujące ich na tyle, by stracili z nim kontakt. Wychodząc z teatru, słyszałem głównie głosy pozytywne, choć zafrapowane – „Frankenstein” rzucił przyzwyczajeniom widzów wyzwanie, ale nie potraktował ich z góry, a już na pewno nie z butą.

Ramy i ruiny

Temat podwójności perspektyw, różnic i prób spotkania lokalnego z metropolitalnym przenika i organizuje najnowszą kielecką premierę. Kwestia relacji centrum i peryferii stanowi wszak problem główny dramatu Stefana Żeromskiego „Uciekla mi przepióreczka” – jego ostatniej i najlepszej sztuki napisanej dla Juliusza Osterwy, reżysera prapremiery (Teatr Narodowy w Warszawie, 27 lutego 1925 r.) i legendarnego wykonawcy roli protagonisty. Jest nim Edward Przełęcki, fizyk i działacz oświatowy, który przyjeżdża z Warszawy na prowincję i organizuje kursy dla nauczycieli ludowych, wierząc święcie w ideę, którą bardziej współczesnym językiem opisać można jako projekt emancypacji wykluczonych przez wzmacnianie ich kompetencji kulturowych. „Uciekla mi przepióreczka” to niemal legendarny testament twórcy etosu Judyma i Siłaczki, który polska inteligencja długo traktowała jako wzór. Zarazem jest to zbudowany z precyzją farsy akt wywołania upiornych lęków nawiedzających inteligentnych idealistów i próba odczynienia nad nimi ochronnych uroków.

Zapowiadając premierę (30 grudnia 2022 r.) przygotowaną przez prof. Krystynę Duniec z Instytutu Sztuki PAN i Pawła Sablika (dramaturgia) oraz dy-

Czas odrzucić opowiastki
o feministycznej emancypacji,
ludowej podmiotowości
i inne stereotypowe hasła
akademickich seminariów,
i zamiast Smugoniową uciszać
**dać jej wreszcie mówić,
co myśli.**

rektora Kotańskiego (reżyseria), Teatr Żeromskiego pisał o „Przepióreczce” jako o „zapomnianym dramacie”. To wyznaczenie grzechu fatalne wystawia świadectwo nie tylko ludziom kieleckiej sceny, ale i polskiemu teatrowi dramatycznemu, który rzeczywiście utracił pamięć własnej przeszłości i choć ma gębę pełną opowieści o „tradycji” i „rzemiośle”, to „Aktor” jest dla niego nieznaną sztuką Norwida, a „Uciekla mi przepióreczka” dramatem zapomnianym. W samej inscenizacji czuć wyraźnie brak przekonania, że Żeromski ma dziś coś ważnego do powiedzenia i że warto jego dramat grać z troską o czytelność i precyzję napędzającego go mechanizmu. Szczerze mówiąc, wątpię, by widzowie nieznający tekstu zrozumieli, co dzieje się na scenie, nawet na poziomie prostego przebiegu akcji.

W tej sytuacji ważniejsze od scenicznych obrazków wyjętych z Żeromskiego okazują się ich ramy dodane przez twórców. Najważniejszą stanowią prezentowane pomiędzy kolejnymi sekwencjami spektaklu nagrania rozmów Krystyny Duniec z kieleckimi polonistkami Lillą Winiarską-Mancini i Magdaleną Helis-Rzepką – niezwykle ciekawe nie tylko ze względu na to, co obie panie mówią, ale i z powodu samej podstawowej sytuacji. Wygląda to tak, jakby twórcy nie zauważyli, że rekonstruują punkt wyjścia dramatu Żeromskiego – oto znana profesorka „z samej Warszawy”, mająca w swym dorobku ważne krytyczne weryfikacje „Przepióreczki”, odpytuje miejscowe polonistki w sposób nieodparcie wywołujący wrażenie, że ona i tak wie lepiej...

Już sama ta sytuacja pokazuje, że Żeromski wcale nie stracił na aktualności. Metropolitalni intelektualiści nadal krążą po „prowincji” przekonani,

że uda im się wydobyć „lud” z błędów, w których tkwi. Projektują sobie przy tym Smugoniów w sposób niemal dokładnie taki sam, jak robił to Przełęcki. W odróżnieniu od niego niespecjalnie się jednak przejmują tym, czy i co pozametropolitalne głosy mają do powiedzenia. A są to rzeczy o znaczeniu podstawowym. Gdy w ostatnim słowie pani profesor Helis-Rzepka z wielkim przekonaniem i spokojem mówi, że trzeba całkowicie przebudować anachroniczny system edukacji, i powtarza to z mocą, lekceważąc stereotypowe antypisowskie pomrukiwania warszawskiej wywiadowczynie, całe przedstawienie ma szansę nabrać nowych, ważkich znaczeń. Dopiero te słowa nadają sens niememu buntowi Smugoniowej (Ewelina Gronowska), której dziwny taniec trzęsący całym ciałem rozpadającej się na naszych oczach idealistki kończy obrazki z Żeromskiego. Tyle tylko, że właśnie w tym momencie trzeba było zacząć pracę na nowo – wyrzucić opowiastki o feministycznej emancypacji, ludowej podmiotowości i inne stereotypowe hasła akademickich seminariów i zamiast Smugoniową uciszać w rozpaczliwej drżączce, dać jej wreszcie mówić, co myśli.

Być może problem polega po prostu na tym, że w jednym spektaklu twórcy próbowali podjąć zbyt wiele tematów. Co innego przywiozła akademicka z Warszawy, o czym innym mówią nauczycielki z Kielc, a co innego uruchamia gra Przełęckiego. Spieść tego w jeden tekst niestety się nie udało, ale może właśnie w sprzecznościach, zgrzytach, nieświadomych autodemaskacjach tkwi szczególna wartość poznawcza tej dzisiejszej „Przepióreczki”.

Dyrektor Kotański wplata w przedstawienie jeszcze jeden, własny temat, wyświetlając zamiast ruin porębiańskiego zamku sceny z odbudowy historycznego gmachu Teatru im. Żeromskiego. Ten gest to druga ważna rama inscenizacji – teatralna deklaracja autonomii i niezależności, wyznaczenie wiary we własną moc. Gdy Joanna Kasperek jako Księżniczka Sieniawianka z determinacją mówi, że ruiny trzeba odbudować, i zaprasza nas za rok, chętnie wierzę, że wzniesiona z gruzów kielecka scena jeszcze mocniej zaistnieje na teatralnej mapie Polski jako ta, do której przyjeżdża się, by posłuchać jej własnego, niepodrabialnego głosu.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Słomiany krzyż

ANITA PIOTROWSKA

W niezmordowanym świetle białych nocy, przy pojedynczych dźwiękach folkowego rogu, oglądamy świat groteskowo przekręcony, widziany okiem ślepym na przebaczenie, współczucie, na jakiegokolwiek namiętności.

ISLANDZKIE KINO CZĘSTO NIESIE ZE SOBĄ inne doświadczenie czasu i przestrzeni. Ruch ulega spowolnieniu, natura, klimat i pory roku zdają się bardziej odczuwalne, emocje – niczym w wulkanie – długo i niespiesznie bulgoczą pod powierzchnią, zanim znajdą gwałtowne ujście. Tak jest w filmie Hlynura Pálmasona, gdzie przez prawie dwie i pół godziny surowy krajobraz pełni funkcję niemego świadka ludzkiej szamotanimy i upadku. A zło występuje w podwójnym kostiumie: religijnym i historycznym, co ma ścisły związek z duńskim panowaniem na wyspie w drugiej połowie XIX wieku. Są także inne, mniej oczywiste przebrania.

Przede wszystkim „Godland” na każdym kroku akcentuje swoją dwujęzyczność, choć tak naprawdę żaden z dwóch oryginalnych tytułów nie ma nic wspólnego z Bogiem. Lucas, wysłany z Danii na misję młody luterański pastor (w tej roli Elliott Crosset Hove), nie zna islandzkiego i choć czasem sprawia wrażenie, jakby świetnie rozumiał, co się do niego mówi, korzysta z tej komunikacyjnej ułomności. Za wszelką cenę musi zdążyć przed srogą zimą i zbudować kościół dla „nieszczęsnej, zagubionej, żałosnej trzody” (tak określa tubylców jego kościelny pryncypał). Jednak mordercza podróż przez góry i rwące rzeki nadweręża nie tylko siły Lucasa, ale i jego powołanie.

Przełomowy moment następuje, gdy pastor zarządza, by wraz z grupą towarzyszących mu konno tragarzy przepara-

wić się przez wezbraną wodę. W następstwie tej aroganckiej decyzji ginie miejscowy tłumacz, z którym bohater zdążył wytworzyć bliską, być może erotyczną więź. Na dodatek coraz bardziej wchodzi mu w paradę stary Ragnar (Ingvar Eggert Sigurðsson), charyzmatyczny przewodnik i gawędziarz. W przeciwieństwie do wymoczkowatego i wyobcowanego kapłana to mężczyzna krzepki, zadomowiony w swoim cieple i mocno wrośnięty w „bezlitosną wyspę”. W pewnym momencie porównuje światobliwego Duńczyka do diabła, choć przecież demony, które w nim drzemą i namnażają się z każdym kilometrem, mają konkretne imiona: pycha, lęk, wyrzuty sumienia, podbiegłe przemocą męskie i seksualne frustracje.

O tych stłumionych uczuciach czy wypalonych ideałach Pálmason i jego stała operatorka Maria von Hausswolff opowiadają niczym rasowi naturaliści. Widzimy zatem, jak różne formy życia toczy robak, jak zima ten rozkład zakrywa, a wiosna odsłania; jak z czasem wszystko roztopia się w swoim naturalnym otoczeniu, ażeby mogło narodzić się z tego nowe. Kiedy zaś ukryte stany ducha i ciała odbijają się w mijanych po drodze widokach, daje o sobie znać wrażliwość Pálmasona jako malarza tudzież artysty wizualnego. Wzrok zastyga na wodospadach, kłębach mgły i erupcjach lawy, przedziera się przez wieczny wygwieżdż i wszechogarniającą wilgoć albo zawieszają się na pustce otaczającej ludzkie siedziby.

Jakby na przekór niej w środku rozgrywa się całkiem bujne życie.

Okoliczności islandzkiej przyrody uczą jednak pokory i nie mamy do czynienia z typowo pocztówkowym pięknem. Nic dziwnego, że o rychłym wyjeździe z tej bezdrzewnej, kamienistej wyspy marzy Anna, starsza córka duńskiego osadnika, u którego zamieszkuje pastor, gdy wreszcie, półżywy na skutek choroby i wyczerpania, przybywa do celu swej wyprawy. Im bardziej staje na nogi i postępuje budowa świątyni, tym bardziej pogłębia się jego wewnętrzny rozpad. Dostrzega to ojciec Anny, patrząc z niepokojem na jej rosnącą zażyłość z księdzem. Ten, który miał zjednoczyć w wierze wspólnotę (skądinąd całkiem zgraną), nosi w sobie coś toksycznego, co wyczuwa i Ragnar, i jego wierny pies, bo zwierzęta również mają w tym dramacie swoje role do odegrania.

W niezmordowanym świetle białych nocy, przy pojedynczych dźwiękach folkowego rogu, oglądamy świat groteskowo przekręcony, widziany okiem ślepym na przebaczenie, współczucie, na jakiegokolwiek namiętności. W odróżnieniu od innych ascetycznych i nieludzkich pastorów, z „Fanny i Aleksandra” Ingmara Bergmana czy „Uczty Babette” Gabrieli Axela, postać Lucasa ma bardziej tragikomiczny rys i do końca pozostaje enigmą. Nie wiadomo, czemu właśnie on, raczej nienawykły do trudów podróży i kontaktu z naturą, został wysłany na obcą, mało przyjazną ziemię. Nie wiemy, dlaczego zamiast dopły-

STOWARZYSZENIE NOWE HORYZONTY / MATERIAŁ PRASOWY





GODLAND

(*Volada land/Vanskabte Land*) – reż. Hlynur Pálmason.
Prod. Islandia/Dania/
Francja/Szwecja 2022.
Dystryb. Stowarzyszenie
Nowe Horyzonty.
W kinach.

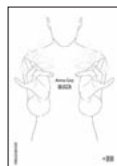
Hlynur Pálmason
urodził się w południowo-
wschodniej Islandii
– w regionie, gdzie
powstał jego najnowszy
film. Zadebiutował
nakręconym w Danii
ekscentrycznym
dramatem „Zimowi
bracia” (2017),
a następnie zrealizował
„Biały, biały dzień”
(2019). W „Godland”,
podobnie jak
w poprzednim tytule,
wystąpiła jego córka,
Ída Mekkín Hlynisdóttir,
tu wcielając się w rolę Idy.

nać na miejsce, wybrał najtrudniejszą z dróg. Można jedynie spekulować, jakie są przyczyny tego, iż mimo świadomości różnic, jakie dzielą Lucasa i wiejską społeczność, coraz bardziej od niej odstaje i coraz trudniej czynić mu kapłańską powinność. Tymczasem w relacjach z gospodarzem, z Ragnarem, Anną i jej młodszą siostrą Idą ujawnia się coraz to nowe oblicze duszpasterza – jakkolwiek takie określenie wybitnie nie pasuje do kogoś, kto chwilami jawi się wilkiem w owczej skórze. Czy raczej owcą, której ze strachu wyrosły wilcze zęby.

Ten wymagający cierpliwości film, stylizowany formatem i ściętą w rogach ramą kadru na stare fotografie, rozpoczyna się bardzo efektowną fałszywką. Oto inspiracją dla całej historii miały być zachowane do dzisiaj kolodionowe zdjęcia, wykonane na szklanych płytkach przez zamorskiego pastora, przemierzającego ongiś Islandię w celach apostołskich. Rzekome znalezisko oznacza dla Pálmasona coś więcej niż scenariuszowy pretekst. Przez całą drogę główny bohater dźwiga na plecach charakterystyczny sprzęt: statyw, wielki drewniany aparat, przenośną ciemnię (zdjęcia w tej technologii muszą być wywołane natychmiast), i w tym także jest coś z misjonarskiego ofiarництва. Ale utrwalanie w kadrze tubylców staje się, ze względu na kontekst historyczny, synonimem władczego spojrzenia, choć równocześnie dla nich samych może to być zaszczytem i nowością.

Związany z Danią islandzki reżyser nie czerpie nadmiernie z narodowych czy cywilizacyjnych antagonizmów. Rytuał fotografowania, metoda „mokrych płyt” i związane z nią osobliwe utensylia przydają filmowi smaczków innych niż polityczne, pozwalając spojrzeć na ludzi, zwierzęta i rzeczy okiem nie tyle pioniersko-zdobyczym, ile dziewczym. Czyli zupełnie inaczej aniżeli milczący boży posłaniec, który okazuje się szaleńcem i nawet nie patrząc w obiektyw widzi świat na opak, włącznie z własnym poświęceniem. Zresztą wieziony przez niego pokryty słomą krzyż, który miał zwieńczyć nowo powstały kościół, już na początku wyprawy, na skutek księżowskiej buty, zostaje porwany przez wodę. ©

Lektor: W innym świecie



■ Anna Goc

GŁUSZA

Wydawnictwo Dowody na Istnienie,
Warszawa 2022,
ss. 248, Seria Reporterska.

CZEMU WŁAŚCIWIE SŁUŻY DZIENNIKARSTWO I JAK POWINNO się je uprawiać? Zamiast odpowiedzi radzę lekturę tej książki. I naprawdę nie dlatego, że autorka jest moją redakcyjną koleżanką.

Ta lektura otwiera bramę do świata, którego większość z nas nie zna, a cichy dramatyzm opisywanych przez Annę Goc ludzkich historii i dylematy, przed jakimi stają bohaterowie, długo nie dają o sobie zapomnieć. Oto obok nas żyje społeczność pod wieloma względami wykluczona – nie z racji pochodzenia, religii, poglądów czy stanu materialnego (choć z językiem jest już coś na rzeczy). Społeczność ludzi głuchych.

Niesłyszące małżeństwo ma słyszącego syna: syn zachorował i stracił przytomność, rodzice nie potrafią wezwać telefonicznie pogotowia. Słyszący kilkuletniak musi służyć niesłyszącej matce za tłumacza u lekarza. Molestowana seksualnie niesłysząca dziewczynka długo nie potrafi przekazać swojego upokarzającego doświadczenia. To proste przykłady, ale są też znacznie bardziej skomplikowane. Anna Goc opowiada o sporach wokół koncepcji dotyczących edukacji ludzi głuchych i o tym, jak ślepe przywiązanie do pewnej teorii może krzywdzić tych, którym chciało się pomóc. O tym, czym różni się PJM (polski język migowy) od SJM (systemu językowo-migowego), dlaczego PJM powinien być traktowany jako pełnoprawny język i dlaczego stosowanie w terapii „metody oralnej” – uczenia głuchych języka fonicznego – może łączyć się z przemocą. O dzieciach „bezyjęzycznych”, jak mały Wiktor, który „nie potrafił się nauczyć języka polskiego od matki, bo jej nie słyszał. Ani migowego, bo nikt z jego bliskich nie migał”. I o głuchych Polakach, którzy po polsku nie tylko nie mówią, ale po prostu naszego języka nie znają.

Reporterski opis konkretnych przypadków podbudowany jest solidną wiedzą, zdobytą podczas kilkuletniej pracy nad książką, co oczywiście zwiększa jej siłę rażenia – fragment poświęcony pewnej poznańskiej placówce edukacyjnej dla głuchych, opublikowany wcześniej w „Tygodniku”, wywołał sporą burzę. Jest też międzynarodowe tło, z niezrealizowanym pomysłem Miasta Głuchych w Dakocie Południowej. A ile w Polsce żyje osób z większym lub mniejszym ubytkiem słuchu? Zdaniem Polskiego Związku Głuchych – nawet pół miliona. © P

OLGA

Drenda:

Rewanż rzeczy zbędnych



KIEDYŚ W SKLEPIE TYPU „WSZYSTKO I TANIO” kupiłam Najbardziej Niepotrzebną Rzecz, właśnie dlatego, że była zupełnie niepotrzebna (a także niedroga). Fakt, że nie mogłam wyobrazić sobie jej potencjalnego zastosowania, zaważył na mojej decyzji. Najbliżej definicji tego obiektu byłoby słowo „kompozycja” lub „instalacja” – na którą to składał się mały, chwiejący się koszyk, plastikowa paproć, takież grzybek oraz puchaty, syntetyczny, różowy kurczak w okularach i kapeluszu. Jesienny sztafaż wykluczał dekorację wielką, chwiejną konstrukcją – ozdobę na meble. NNR wydawała się istnieć tylko dlatego, że ktoś miał zbędnego kurczaka, grzybka i małe okulariki. To w zupełności mi wystarczyło.

Po co świadomie kupować i trzymać w domu coś, co kompletnie na nic się nie przydaje? Człowiek praktyczny nazwałby wręcz NNR śmieciem albo badziewiem, i zapewne pozbyłby się go, skoro niczemu nie służy. Człowiek praktyczny i wysokoetyczny dodatkowo zirytowałby się, że jest to wyrób nie tylko zbędny, ale wykonany z tworzywa sztucznego i dokładający się do nadmiarowej masy na naszej planecie. To prawda, że nigdy nie produkowano tak wiele i nigdy tak wiele przedmiotów nie trafiało od razu do śmieci. To również prawda, że łatwo ulec impulsowi, by wymienić dobrze działające urządzenie na inne, tylko dlatego, że jest nowsze i że do takich posunięć czasem nakłaniają – o ile ich nie wymuszają – producenci, sprzedając rzeczy, których naprawiać nie warto. To prawda, że coś, co szybko i łatwo można kupić i zmontować, można też łatwo wyrzucić. Wyobrażam sobie również, że może zaistnieć w kimś pokusa, by wyegzorcy-

zmować z siebie chęć posiadania i poczuć się współczesnym ascetą, kimś bardziej wolnym czy doskonałym, kto poprzestaje na niewielkim zasobie (kiedyś ktoś wymyślił wyzwanie, by zmieścić swój dobytek w stu przedmiotach) i opiera się pragnieniu nowych dóbr. Nie wątpię, że perspektywa otoczenia, w którym nic się nie gubi, a bałagan nie powstaje samoistnie, przez spontaniczną entropię, musi być pociągająca.

Wtedy przypominam sobie, że rewersem „Rzeczy” Georges’a Pereca, gdzie pragnienie posiadania prowadzi do niespełnienia, jest „Człowiek, który śpi” tego samego autora, gdzie do tego samego celu wiedzie wyzbycie się pragnień i właściwości. To daremność „przepisów na życie”, ale obawiam się czegoś jeszcze. Obietnica ukryta w ograniczaniu, w pozbywaniu się, polega odrobinkę na przyjemności wcielenia się w rolę egzekutora. Decydujesz, co jest „potrzebne”, a co „zbędne”.

Kierowanie się wyłącznie kryterium przydatności kryje w sobie cień okrucieństwa, założenie, że na istnienie trzeba sobie zasłużyć. Ta postawa zraża mnie, bo znajduję w niej cień tych wszystkich komentarzy pod zdjęciami opuszczonych budynków: „trzeba wyburzyć, bo szpeci”. Pod starym samochodem: „na żyletki”. Utylitaryzm, który kryje czystą satysfakcję z unicestwiania. „Żeby był porządek”. Albo bezwzględność rodzica, który każe smutnemu dziecku pozbyć się ulubionego pluszaka, bo „już nie wypada”. Traktowanie jakiejś małej roślinki chemikaliami, bo śmiała wyrosnąć nie tam, gdzie trzeba. To ta straszna, lodowata igielka w człowieku, to zimne ostrze.

Kiedyś lubiłam zwiedzać opuszczone domy. Na ogół były to gospodarstwa, w których mieszkał kiedyś ktoś starszy i biedny, i z odejściem którego popadały w ruinę. Bieda nie miała nic wspólnego z dobrowolną ascezą, przeciwnie: w każdym z nich, choć dokumentował czyjeś trudne i skromne życie, znajdowały się wzruszająco zbędne rzeczy, durnostojki, gazety dawno po terminie, opakowania, plastikowe kwiatki, to, co straciło swoją funkcję użytkową lub nigdy jej nie miało. Przedmioty, które proszą się o brutalne pytanie „po co ci to?” (Żeby mieć, ot co! Poza tym wspaniale jest być ostentacyjnie sentymentalnym). Głównie to z nich zapamiętywałam. Jestem przekonana, że świat bez miejsca na zbędność, przypadkowość, bezużyteczność, a nawet zmarnowanie czegoś byłby światem może zoptymalizowanym i funkcjonalnym, ale przypominającym w najlepszym wypadku wielkie centrum logistyczne, z którego nigdy nie da się wyjść.

Dlatego cieszę się z małych rewanżów rzeczy zbędnych. Nie muszę chyba dodawać, że wciąż mam w domu NNR. Niedawno znalazłam archiwalne ogłoszenie: ktoś sprzedawał chińskie piórniki z lat 80., takie zamykane na magnes, i kredki świecowe ze słonikiem z tej samej epoki. Te niedrogie, niemodne i swego czasu szybko wyparte przez przebojowy zachodni import przedmioty zachęciły kogoś, by wydał na nie niemal 900 złotych. Było w tym geście coś wyjątkowo zbędnego, ale ucieszył mnie i uspokoił: to dobrze, że żyjemy w świecie, w którym wciąż możliwe są takie akty dezynwoltury.

©

Najbardziej
Niepotrzebna
Rzecz
w moim
domu.



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Margines zbytku



TRZY I PÓŁ TYSIĄCA ZŁOTYCH BĘDZIE WAS kosztować obiad w kopenhaskiej Nomie. Łącznie z dobranymi po kolei do potraw winami – przejrzałem listę, znam część tych etykiet, zaiste pamiętne, piłbym z rozkoszą nawet na czczo. Ale jeśli aku-

rat postanowiliście się katować na amerykańską modłę „suchym stycznem”, to nie szkodzi, w tej samej cenie jest też selekcja odpowiednich soków owocowych i naparów.

Wolne żarty, nie sądzę wszak, by bywalcy naszego kącika kulinarnego cierpieli na aż tak spektakularny nadmiar wolnej gotówki. A nawet jeśli są tu tacy, to marne szanse, żeby załapali się na stolik – terminy na kwartał do przodu rozchodzą się w ciągu godziny od otwarcia rezerwacji.

Taka jest, nomen omen, re-noma tej „najlepszej na świecie” restauracji. Wszelkie rankingi należy ostrożnie brać w szczypcę, takie, jakich używają w jej kuchni do komponowania ozdobnych insektów z cienkich płatków owocowej galaretki. Ale, tak czy siak, Noma gra od 20 lat w czołówce wyrafinowanej gastronomii. Trudno mi sobie wyobrazić, że o niej nie czytaliście, ale na wypadek, gdyby ktoś przespał dwie dekady w ośrodku holistycznej medytacji (miałby okazję spotkać szefa Nomy, René Redzepiego, oddającego się różnorodnym „podróżom duchowym”, typowym dla dziecięcia New Age): jest to projekt absolutnie pionierski, jeśli chodzi o odarcie *fine dining* z francuskiego sztafetu i składników. W Kopenhadze powstała tzw. nowa kuchnia nordycka, oszczędna w paletach i ornamentach, umiejscowiona sprytnie – pomimo barokowej zawilóści – zachować surową, niemal mniśnią aurę.

Pasibrzuchów znudzonych truflami, *foie gras* i przepiórkami w sarkofagach te wszystkie kremy z mózdzku renifera podawane w czaszce tegoż albo skóra ze sztokfiszki obłana białą czekoladą i posypana bladopastelowym kwiecikiem musiały nęcić nowością, choć żaden z nich (i żaden z nas) nie miałby ochoty na stałe popijać niedźwiedziego mięsa syropem z rokitnika. Redzepi udowodnił, że siostry z „Ucztu Babette”, gdyby tylko zrzuciły protestancki gorset skromności, mogłyby wystawić bankiet nie mniej fikuśny od tego, co przyrzadziła ich francuska służąca. Wylansował też modę na surowe aranżacje, grające „naturalnymi” elementami, jako ta czaszka renifera, kości, plastry miodu, gałązki, liście i mchy. Noma stała się obowiązkowym dla ambitnych adeptów wyższej gastronomii punktem odniesienia oraz skrzyżowaniem świątyni ze szkołą.

Dlatego aż do jesieni zeszłego roku model biznesowy restauracji spinał się m.in. dzięki bezpłatnej pracy 30 stażystów.

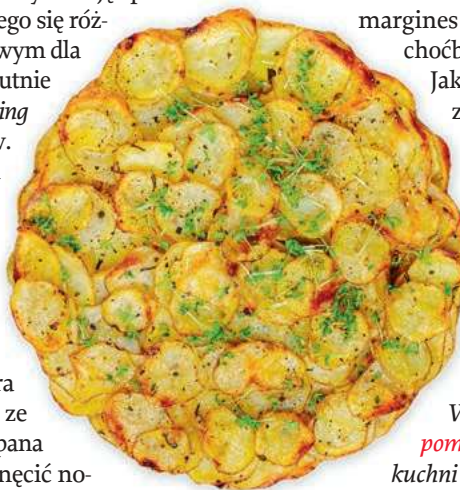
Dopiero wtedy, pod naciskiem nowego pokolenia, znacznie bardziej pyskatego i „roszczeniowego”, to się zmieniło. Na pewno był to jeden, choć zapewne nie kluczowy czynnik decyzji, żeby z końcem przyszłego roku zamknąć restaurację – choć Noma pozostanie jako „laboratorium” i miejsce różnych okazjonalnych inicjatyw.

Redzepi nie był pierwszym trzygwiazdkowym szefem, który rzucił ostatnio robotę. Różnica jest taka, że nie opowiadał tylko o swoim zmęczeniu, tęskniąc rodzinie lub „innych planach”, lecz podważył sensowność – zarówno finansową, jak i moralną – modelu, którego był współtwórcą i jednym z doskonalszych wcieleń.

Cóż, zawsze to jakaś radość z późnego nawrócenia na „zrównoważony model” kogoś, kto przez 20 lat ostro pomiatł ludźmi w imię doskonałości iluzji teatru dla wybranych. Zmowa milczenia (każdy z pomiatanych miał nadzieję, że się od trampoliny w Nomie odbije i założy coś podobnego) pęka już od pewnego czasu, ale i bez tego wiadomo, że każdy rodzaj najwyższego luksusu, narcystycznego perfekcjonizmu i wyśrubowanej subtelności opiera się na zgiętych karkach licznej, aż nazbyt licznej służby z mniej lub bardziej metaforycznej piwnicy. Szef Nomy słusznie zrozumiał, iż lepiej zeskoczyć z fali, zanim się rozprysnie o kamień – po co czekać, aż za kilka sezonów rezerwacje będzie można robić z ledwie tygodniowym wyprzedzeniem.

Wraz z końcem Nomy nie zginie jednak *fine dining* – o czym piszą gazety, potrzebujące ujmować proste fakty w „szersze narracje”. Najwyżej przygaśnie i pojawi się z nową nazwą, może z powrotem francuską, już dość tego celebrowania Północy (ale na wystawę nordycką „Przesilenie” w warszawskim Muzeum Narodowym idźcie koniecznie). Pewien margines próżnego zbytku jest nam niezbędny, choćbyśmy go odrzucali na gruncie moralnym.

Jak powiedział amerykańskiej gazecie jeden z uczniów Redzepiego, który sam prowadzi w Finlandii sieć prostych kanapkarni: „Mamy zabronić ludziom wspaniałych przeżyć i kazać tylko w kółko jeść ziemniaki?”. A cóż macie przeciw ziemniakom? Ale to prawda, gdy znajd ich miski ulatuje para, przecież odruchowo spoglądamy w niebo. ©P



Ziemniaki jako antyteza fine dining? Widocznie fiński szef nie zna potrawy pommes de terre Anna. Wymyślił ją szef kuchni Cafe Anglais (tego z „Ucztu Babette”) na cześć paryskiej kurtyzany Anny Deslions, znanej z erudycji i rozległych artystycznych znajomości. Są to trochę uduchowione ziemniaki zapieczone w maśle. Cienkie plasterki (3 mm) ziemniaków rozkładamy warstwowo w tortownicy wysmarowanej masłem i wyłożonej papierem do pieczenia tak, by zachodziły na siebie, solimy, polewamy szczodrze stopionym masłem, kładziemy jeszcze ze dwie takie warstwy, przykrywamy krążkiem papieru do pieczenia, dociskamy czymś ciężkim i zapiekamy – czas i temperatura zależą od gatunku ziemniaków. Po wyjęciu i odwróceniu powinna wyjść zapiekanka zrumieniona z wierzchu i jedwabista w środku.



DZIKI NAPAR

Zanim herbata dotarła do Polski, nasze prababki doskonale sobie radziły nie tylko susząc zioła, ale też robiąc porządne herbaty z tego, co rośnie koło domu.

KRZYSZTOF STORY

WCIESZYNIE Z KRAŃÓW PŁYNIE WODA IDEALNA DO PARZENIA herbaty – miękka i pozbawiona nadmiaru minerałów. To jednak nie wystarczy, bo prawdziwy smak zależy od tego, jak się czujesz, gdzie jesteś i czyje ręce przed chwilą nalewały gorący płyn do twojej czarki. Dlatego zawartość czajnika stojącego na drewnianym stole w mieszkaniu przy ulicy Limanowskiego smakuje wesoło, życzliwie. W tym domu herbata zawsze oznacza święto, zawsze jest wspólna.

Piotrek bierze niewielki łyk i mówi: – Od znajomego czeskiego herbaciarza usłyszałem kiedyś: „Wy, Polacy, macie Kościół. My mamy gospody i herbatę”. Choć jesteśmy po polskiej stronie Cieszyna, to podejście do herbaty jest tu iście czeskie.

Przez całą wiosnę w mieszkaniu Piotra i Ani Mojżyszków pachnie lasem i łąką. Na balkonie suszą się zebrane wczoraj liście. Na kuchennym kredensie stoją słoje ze składnikami, jak u alchemików. Spontaniczne komponowanie porannej herbaty jest ich najważniejszym wspólnym rytuałem. Kto pierwszy wstaje, ten tworzy smak dla całej rodziny. Na najbardziej brawurowe mieszanki decyduje się 5-letnia Wanda, zwana Wandziorem-Bandziorem. Co będzie jutro: lipa, berberys, jarzębina, werbena cytrynowa, a może trochę głogu? Nie zgadniesz.

Na plantacji

Zagadaliśmy się, a miało być o herbacie, o *Camellia sinensis*, konkretnym gatunku, który od wieków dodaje nam energii,



ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

otuchy i ciepła. Wspiera nas w najbardziej zasmarkanych momentach naszych przeziębień, towarzyszy randkom, plotkom i rozstaniom, a w plecaku noszą go ratownicy górcy na całym świecie. Ale dygresje to nic złego przy takim temacie, bo opowieść o herbach zaczyna się od pewnej nieplanowanej drzemki. Według legendy chiński cesarz Shennong, który w trosce o własne zdrowie pił jedynie przegotowaną wodę, przysnął pod drzewem. Wtedy wiatr strącił kilka listków dzikiej herbaty do cesarskiego dzbanu. Nieświadomy władca wziął wielki łyk, a napar zamiast mu zaszkodzić, oczarował smakiem.

Piotrka herbata oczarowała kilkanaście lat temu. Swoją legendę opowiada, prowadząc mnie na wzgórze wśród łąk. Idziemy zbierać składniki, które będą popijał w listopadowy wieczór. Nazywa to miejsce swoim Sanktuarium i rozumiem dlaczego – muszę się pilnować, by nie zapomnieć, że jestem niedaleko Cieszyna, a nie w alpejskiej dolinie albo na plantacji w Sri Lance. O dobre miejsce do zbiorów nie jest łatwo: w promieniu 5 kilometrów nie może być żadnych upraw, bo te są regularnie zlewane pestycydami. Najlepsze są dawno opuszczone wsie, gdzie drzewa owocowe zdążyły zdziczeć, a łąki zarosnąć rozmaitym kwieciem. Właśnie takie jest Sanktuarium.

Przyjechać trzeba rano, zanim słońce wygoni z liści wszystkie substancje odżywcze. Ten sam liść zerwany w południe da napar tak gorzki, że aż wykrzywia usta. Piotr tłumaczy,

co jest trujące (wilczomlecz), a co pyszne: – Chodzi o zawartość garbników w liściu. To one sprawiają, że herbata ma w sobie moc i energię. Czereśnia jest świetna z pąkami i kwiatami. Jabłoń z samymi pąkami. Malinę i poziomkę zrywam tylko przed zakwitnięciem, potem tracą cały smak.

Wszystko opiera się na doświadczeniu, godzinach spędzonych w naturze i wyczuciu czasu. Grusza, z której Piotrek zbierał kwiaty dzień wcześniej, teraz nie ma ani jednego płatka. Liście też najlepsze są świeże. My dzisiaj skupiamy się na stokrotkach (poza smakiem przepięknie wyglądają w herbacie, gdy rozwijają się w miarę zaparzania) i liściach klonu. To eksperyment, Piotrek nigdy wcześniej ich nie zbierał: – Cały sezon trwa od kwietnia do pierwszych przymrozków, ale najwięcej smaków w naturze jest wiosną. Zimą zbiera się jeszcze pędy malin i jeżyn.

Wkrótce mamy całe palce oblepione sokiem klonowym, a Wanda – podołek pełen stokrotek. Siadamy na trawie, Piotr wyciąga termos, czajnik i cztery czarki. Przelewa, układa liście, woda powoli nabiera koloru. Pierwsze krople zaparzonej herbaty Piotr wylewa na ziemię: – To w podziękowaniu. Nie uprawiam tych roślin, a one i tak o mnie dbają – traktuję to jak cud. Wiem, że nie mogę drzewu zabrać za dużo, bo za rok nie dostanę nic. Jeśli krzew ma ciężki rok, trzeba dać mu odpocząć. Ludzie nie mają pojęcia, ilu rzeczy można się nauczyć na łące.



Struktura liścia

⇒ Płyn, który mamy w czarkach, nie jest „tą herbatą” – na wzgórzach pod Cieszynem nie rośnie *Camellia sinensis*. Piotrek miał kiedyś pomysł założenia w Polsce plantacji, ale to nierealne, bo poniżej 5 stopni roślina nie przeżyje: – Myślałem o szklarni, ale wyszłoby drogo, niesmacznie i nienaturalnie. Z wykształcenia jestem etnologiem i przeglądając literaturę natrafiłem na zapiski o oksydacji dzikich roślin w Polsce. Spodobało mi się – taka nasza wersja herbaty, przygotowywana z odpowiednich dzikich roślin. Okazało się, że zanim herbata dotarła do Polski, nasze prababki doskonale sobie radziły nie tylko susząc zioła, ale też robiąc porządne herbaty z tego, co rośnie koło domu.

To, co pijemy, Piotrek nazywa „dziką herbatą”. Można by powiedzieć, że to najbardziej polski napar – bo powstaje przez oksydację naszych największych skarbów: dzikich liści maliny, poziomki, jeżyny, klonu czy tarniny. Ta historia odbija się nawet w języku. Herbacianą mapę Europy można podzielić na trzy części – wschodnia popija „czaj”, zachodnia siorbie „tea”, „tee” albo „thé”, a my mamy swoją „herbatę”. Pierwsze dwa słowa pochodzą od nazwy rośliny w różnych dialektach chińskiego. W dużym uproszczeniu „czaj” powoli wędrował do nas przez azjatyckie stepy i dzisiejszą Rosję, a „tea” przyływała w ładowniach herbacianych kliprów pod banderami kolonialnych imperiów. Nasza herbata powstała zaś z połączenia chińskiego oryginału „thea” ze słowem „herba”, czyli zioło. Dzikie, łąkowe herbaty od początku mieszczą się w polskiej tradycji – mamy na to, jak widać, papiery.

Wracamy do domu. Dziką herbatę przetwarza się dokładnie tak samo jak tę, którą kupujemy w sklepach. Uzbierane liście, kwiaty i pąki rozkładamy na płótnach w korytarzu i na balkonie. Poleżą tu kilka godzin – w tym czasie zwiędną, tracąc nawet kilkadziesiąt procent wody, a ich różnorodni lokatorzy znajdą sobie nowe domy. Dopiero wieczorem zbieramy je i siadamy przy stole. Dla Piotra, jego żony Ani i Wandy to ulubiona część procesu – bierzemy do ręki garście liści i przecieramy je, zgniatamy, a czasem nawet ucieramy tłuczkiem. Można by to robić maszynowo, ale oni wolą wszystkiego dotknąć, wszystkim się ubrudzić. Chodzi o to, by naruszyć strukturę liścia, tak by zgromadzone w nim enzymy zaczęły reagować ze sobą i z tlenem.

– Fachowo mówiąc, właśnie zaczyna się oksydacja enzymatyczna, potocznie można też powiedzieć fermentacja – tłumaczy mi Piotrek. – Ale przyznasz, że dzika herbata brzmi lepiej niż „oksydowane zioła”. W dzikich roślinach nie ma teiny, ale dzięki oksydacji stają się eliksirem pełnym witamin i związków odżywczych.

Pogniecione, poszarpane liście upychamy do słoików. Te muszą być wcześniej dokładnie wyparzone, inaczej herbata spleśnieje zamiast zoksydować. Piotrek: – Ile błędów robię do dziś, nawet nie policzę. Poziomka na przykład jest bardzo delikatna, wiele razy mi zgniła.

Oksydacja w słoikach zależy od trzech parametrów: czasu, temperatury i dostępności tlenu. Pół obrotu zakrętki za mało, słoik zbyt blisko grzejnika albo dzień spóźnienia i cały urobek idzie do kosza: – To właśnie oksydacja lub jej brak decyduje o tym, jaką dostaniemy herbatę. Mocne czarne herbaty fermentują cały dzień, zielone lub żółte są

suszone prawie od razu, oksydacja zachodzi przez 20 minut. Dzikie herbaty z reguły potrzebują więcej czasu, nawet trzy, cztery dni.

Wędrowka

Ucieramy tak, że w całej kuchni pachnie klonem. Nad stołem pełnym liści toczy się rozmowa.

– Dobre herbaty zacząłem pić na studiach. Roman Wirth, mój kolega, jeździł wtedy do Japonii, przywoził różne wynalazki i zamiast siedzieć na wykładach z etnologii, braliśmy czajnik, dwie czarki i szliśmy nad Olzę – wspomina Piotr. Ania dodaje: – Razem kupiliśmy sobie czajnik, zaczęliśmy te herbaty niezręcznie popijać. To był taki litrowy czajnior, wtedy nie wiedzieliśmy, że im mniejszy, tym lepszy.

Coraz bardziej chłonili ten herbaciany świat i jego historię. Piotrek: – Wszystko zaczęło się w Chinach i długo tam się zamykało. Dopiero z IX wieku pochodzą pierwsze wzmianki o obecności herbaty w Japonii. Według legendy pewien mnich skradł pierwszą sadzonkę i przywiózł ją do Kraju Kwitnącej Wiśni. Japończycy mają piękne przysłowie: „Pijemy herbatę, aby zapomnieć o hałasie świata”, i zgodnie z nim stworzyli też herbaciane ogrody.

Przy stole w cieszyńskiej kamienicy staje się jasne, że herbata to opowieść, która od tysięcy lat wędruje przez świat, a każdy dopisuje do niej swój własny rozdział. Odbijają się w niej polityka, klimat i ludzkie ułomności. W Chinach i Japonii używano prostych czarek, bo pito tam w większości zieloną herbatę – liście zalewano letnią wodą. Europejczycy zalewali liście wrzątkiem, więc do czarki trzeba było dodać ucho. I tak powstała filiżanka.

Skąd wzięła się herbata z mlekiem? Anglicy zaczęli je dolewać właśnie po to, by herbatę ostudzić, bo beznadziejna (w porównaniu z chińską) angielska porcelana pękała z gorąca. Warto jeszcze dodać, że *Camellia sinensis* w Europie była na początku niewyobrażalnie droga. Dopiero gdy brytyjska Kompania Wschodnioindyjska zwierzyła w herbacie większy interes, któremu poświęciła flotę szybkich i ładownych kliprów (kurs do Chin w obie strony zajmował pół roku), stała się bardziej powszechna. Do dziś 60 proc. herbaty na świecie pochodzi z Chin i Indii.

Przypominam sobie wszystkie herbaty swojego życia i znajduję ogromną różnorodność. Od tybetańskiej herbaty z masłem (dodającej energii w wysokich górach), przez gotowany od razu z przyprawami masala czaj w Indiach, po odpoczynek w przydrożnym barze w Azerbejdżanie, gdzie herbatę pije się z malutkich szklanek w kształcie klepsydry. Dzięki temu płyn w dole trzyma ciepło, a góra stygnie i szybciej nadaje się do picia, naczynie co chwilę uzupełnia się naparem z czajnika.

Piotrek przypomina o Maroku, które też ma swoją herbacianą opowieść. Pije się tam herbatę z miętą i dużą ilością cukru, a nalewa podnosząc imbryk wysoko ponad szklanekę rozmiaru naszego kieliszka. Ta ekwilibrystyka to sposób na okazanie szacunku gościowi. Ale jest też inna teoria: – Dzięki temu na powierzchni herbaty tworzy się piana. W Maroku usłyszałem, że spełnia ona to samo zadanie, co turban na głowie, chroni herbatę przed pustynnym piaskiem i pyłem.

Chodzi o zawartość garbników w liściu. To one sprawiają, że herbata ma w sobie moc i energię. Czereśnia jest świetna z pąkami i kwiatami.

Malinę i poziomkę zrywa się tylko przed zakwitnięciem, potem tracą cały smak.



KRZYSZTOF STORY

Piotr Mojżyszek, Cieszyn, maj 2022 r.

W domu Mojżyszków herbatę podaje się w czarkach. Te powodują, że pijemy wolniej, czujemy ciepło na rękach i przede wszystkim... siorbiemy (co w Chinach i Japonii jest obowiązkowym elementem etykiety). Skąpa polska tradycja jest inna, bo do nas herbata przyjechała w rosyjskich samowarach w połowie XIX wieku. Rosjanie na początku przelewali gorący płyn na spodeczki, z których się piło, dopiero później nastąpiła epoka szklanki i kubka. Pytam, czy i my dopisaliśmy w tej historii własny rozdział.

– Tak, ale niezbyt piękny – śmieje się Piotrek. – My na te spodeczki położyliśmy cytrynkę i kostkę cukru. Oraz z niechlujstwa zaczęliśmy pić herbatę z fusami, co jest absolutną katastrofą. Europa zresztą do dzisiaj nie do końca nauczyła się herbacianej kultury. Wiesz, dlaczego tak mało się u nas pije zielonych herbat? Wielu ludzi uznaje je za niesmaczne, a prawda jest taka, że po prostu nie umiemy ich dobrze zaparzyć.

Ostatni łyk

Słoiki gotowe, Piotr i Ania pokazują mi swój herbaciany inwentarz. Są oczywiście pięknie zdobione czarki, ale też same herbaty. Sporo podróżyowali, byli na plantacjach w Wietnamie, Gruzji czy na Sri Lance. Dzisiaj herbata wygląda już zupełnie inaczej niż ta z legendy o cesarzu i jego drzemce. Nie jest już drzewem, tylko małym krzewem, bo tak ją łatwiej zbierać.

Na najlepszych plantacjach to dalej człowiek ręcznie wybiera odpowiednie liście, miękkie i drobne. Ta selekcja jest najważniejsza przy zielonych herbatach, w których praktycznie nie ma oksydacji, więc ciężko „oszukać” smak. I choć wszystko zaczyna się od liści konkretnego gatunku, to różnorodność herbat na świecie jest ogromna.

– Najdroższą herbatą na świecie jest Oriental Beauty z Tajwanu. Jej wyjątkowość polega na tym, że zaczyna fermentować już na krzewach, po tym, jak owady nadgryzają liście. Tajwańczykom kiedyś się taka inwazja owadów przydarzyła, stwierdzili, że tego się nie da pić, i wysłali do Europy. A myśmy się zachwycili – mówi Piotrek. Opowiada mi o pierwszych wiosennych dardzylingach (jedne z najlepszych indyjskich herbat, z dystryktu o tej właśnie nazwie), o idealnych na zimowe wieczory ulungach (zwanych też herbatami turkusowymi albo smoczymi), które można zalewać wrzątkiem nawet dziesięć razy, ale za każdym razem tylko na dwa oddechy – wtedy smakują najlepiej.

Piotr wyjmuję dwa zawinięte w papier krążki o średnicy płyty CD. To pu-erh, która może fermentować nawet kilkadziesiąt lat i jest jak wino, im starsza, tym lepsza: – Te dwa kupiłem w 2017 r., gdy urodziła się Wanda. Podaruję jej, jak skończy 18 lat.

Z Anią od ponad 10 lat robią warsztaty edukacyjne, na których herbata jest pretekstem do opowieści o świecie, przyrodzie i ludziach oraz oczywiście – do czajowania w dobrym towarzystwie. Współorganizują też w Cieszynie festiwal Święto Herbaty, gdzie zjeżdżają się herbaciarze z kilku krajów, artyści i podróżnicy. Na początku pandemii otworzyli „Dziki Smak” – mały internetowy kram z autorskimi herbatami prosto z beskidzkich łąk.

A co z naszym klonem? Opuszczam Cieszyn z jasnymi instrukcjami. Kilka dni później trzeba mi przystąpić do suszenia. Inaczej wszystko zaraz zgnije, a ja zostanę bez herbaty. Liście wyjmuję ze słoja i ciacham nożyczkami. Rozkładam je na blaszce i na 20 minut wrzucam do piekarnika. Siedzę przy piekarniku cały dzień. Z 2 kilogramów zieleniny zostanie mi za chwilę około 100 gram herbaty, a na cały proces poświęcę trzy dni.

Przypomina mi się fragment rozmowy z Piotrem: – Moja babcia mieszkała pod samym lasem, trzymała kury i krowy. W jej domu całe lato zbierałeś to, co chciałeś jeść zimą. Na kaszel nie szło się po syrop do apteki, tylko wyciągało słoik z lipą i czarnym bzem. Wtedy tego tak nie idealizowałem, ale cieszę się, że od małego widziałem, ile to pracy wymaga. Pamiętam, jak kiedyś z bratem odkryliśmy piękne małe borowiki. Otczyliśmy je mchem dla ochrony przed postronnymi i codziennie obserwowaliśmy, jak rosną. Pierwszy raz widziałem cud.

Pisząc ten tekst, piłem wiele herbat, a większość była zaparzona w pośpiechu. Niedociągnięcia nadrabiałem miodem i cytryną, w końcu już zaczął się grudzień. Mam pewność, że Piotrek by się nie obraził – sam mówi, że w hotelach uwielbia czasem wypić „szpetnego liptona” z dwiema łyżeczkami cukru. Jeśli herbata jest historią kompletną, to może też opowiadać o zabieganiu, stresach i grudniowej szarówce.

Tym cenniejsze stają się momenty, w których gorący napar staje się ceremonią, spotkaniem, radością. I takie herbaty mi się zdarzały. Zwłaszcza ostatnia, ta z kwiatami stokrotki, z której kubka właśnie wziąłem ostatni łyk. Można powiedzieć: skończyła się herbata. Piotrek powiedziałby, że skończyła się opowieść.

© KRZYSZTOF STORY

STANISŁAW

Mancewicz: Wartość



RZEC TRZEBA, ŻE SZTURMY WIELBICIELI BĄDŹ TO P. TRUMPA W USA, BĄDŹ P. BOLSONARO W BRAZYLII WYWOŁUJĄ OCZYWISTE OBawy, że podobnie może być i u nas, gdy oto Gospodarz i jego ludzie przegrają tegoroczne wybory. Ponieważ wszyscy, jak tu sie-

dzimy, uwielbiamy się bać, widzimy oczyma wyobraźni sceny nieśmieszne, zarówno w ogóle, jak i w szczególe.

Że oto nie amerykański człowiek bizon, lecz jego polski krewniak człek żubr będzie żwawo ganiał po wymarłym polskim parlamencie, będzie tam machać flagą, poirytowany będzie rozbijając drzwi i meble, rozpaczając będzie nad losem Polski i wykrzykiwać hasła bądź to kibicowskie, bądź to antyelitarnie, bądź to antyszczepionkowe, bądź jakiegokolwiek. Jest to proste do wyobrażenia, bo dziś do wyobrażenia jest wszystko, a nawet więcej. Niechybnie usłyszymy wtedy nowe definicje polskości i patriotyzmu, co zresztą nie będzie szokujące, definicje te bowiem wciąż się tu dezaktualizują i powstają ich wersje nowe. Bardziej pasujące i do czasów, i do konkretnych ludzi, i do ich umysłów.

Gdy niepostrzeżenie – popatrzmy – człowiek wchodzi w wiek senioralny, orientuje się, że nie tyle przestaje rozumieć komunikaty wydawane przez oprogramowanie własnego telefonu, ale nic nie łapie z nowości w świecie wartości. Dawniej tak nie było. Wartości to były wartości, i nie były to wcale pieniądze – oczywiście ta opinia może się wydać wielu Czytelnikom szalenie retro. Ale nawet Gospodarz, od dawien dawna znany z dewaluowania i przewalutowywania, gdy gwarzył o wartościach, to w zasadzie nie mówił o szmalu. Świat się jednak zmienia w okamgnieniu i także zmienia się nasz Gospodarz. Zważmy, że to on i tylko on definiuje świat wartości dla najszerzych kręgów swych zwolenników, ale i też przeciwników. Nie jest to zadanie łatwe i wdzięczne. Ale ktoś musi.

No więc weźmy wartość pierwszą z brzegu, jakże – nie tylko ostatnio – ważną, eksploatowaną powszechnie, propagandowo, religijnie, partyjnie i bezpartyjnie, czyli suwerenność. Suwerenność jest wartością pierwszoliigową i należy do ulubionych wartości Gospodarza. Za pomocą opowiadań o suwerenności, o jej utracie bądź odzyskaniu, niezależnie od pory dnia i roku, można w Polsce zdobyć władzę, ale – co równie ważne – mówienie o suwerenności zamyka buzię każdemu. Skuteczność w zamykaniu bliźnim buzi osiąga się na sto procent tylko wtedy, gdy bliźnich wzywa się do walki o suwerenność, a owo wezwanie jest także insynuacją, że owi bliźni są najzwyklejszymi zdrajcami. I tu Gospodarz zawsze miał wspomniane sto procent. Miał, bo przecież coś jednak się zmieniło. Będziemy się teraz skracać – czekające na nas tzw. pieniądze z Unii Europejskiej były przez wiele miesięcy bardzo fe. Ich wypłata – wszyscy to wiemy – była bowiem uzależniona od zejścia z drogi bezprawia wytyczonej przez Gospodarza.

O suwerenności wymyślonej przez Gospodarza słyszymy od lat, a jest to płyta puszczana we wszystkich dyskotekach, w których ten pan jest laureatem nagrody o nazwie Człowiek Roku. No więc usłyszeliśmy wreszcie, nie tak dawno, jego stanowcze „jak nie, to nie”. Że owszem, możemy wziąć pieniądze zachodnich Europejczyków i je tu wydać, ale niestety, *sorry*, bez żadnych warunków. Bez warunków, gdyż – panie dziejku – najważniejszą naszą wartością jest suwerenność. „*Ladies and Gentlemen!* – mówił Gospodarz w każdym domu kultury – wymaganie przez obcych, byśmy przed pójściem do łóżka myli nogi, nie wchodzi w grę. To nas obraża. To jest atak na Polskę. Nie chcemy tej forsy, niech się wypchają”.

No więc przyjęliśmy to stanowisko z godnością i bez żadnej dyskusji. Umyliśmy sobie nogi (prywatnie) i zapadliśmy w spokojny sen zimowy. Z gawry wyrwało nas w zeszłym tygodniu donośne bum! Halo! Wstawać! Świat wartości się zmienił! Trąc piastkami oczka przeczytaliśmy, że Gospodarz bez specjalnej zenady dodał wreszcie do katalogu swych wartości i kwaśny zapach banknotów, i mycie. To nowość. A opozycja zrobiła przy okazji to, co zawsze, czyli nic specjalnego, ale niehigienicznego. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Zamów prenumeratę wydania drukowanego „TP”!

nie zużywa prądu!

pachnie! ...szeleści

* można czytać wspólnie

możę kolekcjonować i zabrać do lasu

możę po nim kreslić!

przyciąga wzrok

czytam bez dostępu do internetu

nie zbiera ciasteczek

w ogóle ładnie wygląda!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TP”

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

Cennik ważny od 3 listopada 2022 r.

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate



PARTNER MARKETINGOWY

SALES||manago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Historia walki, oporu, poświęcenia. Solidarności i pomocy.

To także nasza historia.



Lektury dotyczące Ukrainy w „Tygodniku” są ważne i opowiadają o rzeczach czasem aż nieprawdopodobnych. O tym, jak trudno jest się jej bronić, i o tym, jak skutecznie to robi. O uporze Ukrainy. Jest w nim także element niepoddający się zimnym analizom. Determinacja Ukrainy, która ani myśli o rezygnacji wobec szaleństwa Rosji. Duch oporu, który jest faktycznym bohaterem każdej zamieszczonej na naszych łamach korespondencji stamtąd.

ks. Adam Boniecki

Wydanie specjalnie „Tygodnika Powszechnego” już w sprzedaży.

Szukaj w najlepszych punktach z prasą lub zamów swój egzemplarz na zamowienia@TygodnikPowszechny.pl
E-wydane kupisz pod adresem powszech.net/slaukrainy

WSPÓŁWYDANIE:



DOFINANSOWANIE:

Wydanie sfinansowano z Funduszu Stabilizacyjnego dla Kultury i Edukacji 2022
Federalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Niemiec
i Goethe-Institut www.goethe.de.



Federal Foreign Office

